

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/600

1997

1947  **1997**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**T. JASTRUN: JEDNAK NOWA GENERACJA
ANKIETA „KULTURY”**

**L. UNGER: ŻYCIE ZACZYNA SIĘ
PO PIĘĆDZIESIĄTCE**

S. ŁARIN: SEKRET „KULTURY”

**W. KARPIŃSKI: PRYWATNA HISTORIA
WOLNOŚCI**

SPIS RZECZY

Tomasz Jastrun:	<i>Jednak nowa generacja (I) – Ankieta „Kultury”</i>	3
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli: Życie zaczyna się po pięćdziesiątce</i>	24
S. Łarin:	<i>Sekret „Kultury”</i>	53

ARCHIWUM POLITYCZNE

Włodzimierz Marciniak:	<i>Federacja Rosyjska – Spółka Akcyjna z o.o.</i>	65
Stefan Abner:	<i>Kabel, Pierścień i polskie nadzieje</i>	73

WYWIADY „KULTURY”

Krystyna Kurczab-Redlich:	<i>Rozmowa z politologiem prof. Andriejem Zagorskim</i>	83
---------------------------	---	----

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Ostatnie wybory tysiąclecia</i>	92
Stanisław Lem:	<i>Na marginesie powodzi</i>	102

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraińskie kontrasty i konflikty</i> ..	104
------------------	--	-----

KRONIKA KULTURALNA

Wojciech Karpiński:	<i>Prywatna historia wolności</i>	111
Juliusz Mieroszewski:	<i>Nieznane wspomnienia</i>	123
Leszek Szaruga:	<i>Trzyczęściowa panorama</i>	134
Wolha Łabaczeuska:	<i>„Polesie, jakiego nie znamy”</i>	137
–	<i>Komunikaty:</i>	
	<i>Konkurs na sztukę</i>	142
	<i>Polcul Foundation</i>	143
	<i>Komisja Fundacji Stypendialnej im. J. i S. Brzękowskich</i>	144

NOTATKI REDAKTORA

CI, CO ODESZLI

Marian Hemar:	<i>Prezydent Władysław Raczkiewicz</i> ..	152
Agnieszka Maciejowska:	<i>Wspomnienie o Leo Lipskim</i>	155

KSIĄŻKI

M Broński:	<i>„Wyszalnia” (O „Dziennikach” Stefana Kisielewskiego)</i>	159
Leszek Szaruga:	<i>Literaturoznawczy horror</i>	166


–	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	169
---	----------------------------------	-----

A. Albrecht, J. Odrowąż-Pieniążek, W. Toporowski, Z. Wierzbicki:	<i>Listy do Redakcji</i>	173
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	176

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień/Septembre 1997

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr med. W.S. Adamus – po raz 9-ty – DM 100,00	F. 330,00
C.P. Czuchwicki, Panorama, SA (Australia) – po raz 25-ty .	F. 220,00
Dla uczczenia pamięci Henryki Jakuszew (Żeni), zmarłej 7.08.1997 w Berkeley, CA (USA) – Przyjaciele z Paryża	F. 200,00
Dla uczczenia pamięci naszego Męża i Ojca śp. dr. Andrzeja Stanisława Szczepanika, zmarłego w Melbourne 1.05.1997 – Żona, Córka i Syn, Mt Waverley, Vic (Australia) . . .	F. 715,00
Lech Krysiwicz, Montreal – po raz 11-ty – dol. can. 80,00 .	F. 336,00
Józef Lewandowski, Skogas (Szwecja) – ku pamięci Tamary Karren-Zagórskiej, zmarłej w Londynie 4.04.1997	F. 200,00
Bolesław T. Łaszewski, New York, po raz 28-my, dol. 76,00 .	F. 460,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 15-ty	F. 100,00
Seweryn Palicki, Lidingo (Szwecja) – zamiast kwiatów na grób Włodzimierza Lisika, byłego więźnia obozu koncentracyj- nego Stutthof, zmarłego 5.08.1997 w Ludwika (Szwecja) SEK 200,00	F. 153,00
Prof. Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 3-ci	F. 600,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA) – po raz 47-my – dol. 20,00	F. 120,00
Bezimiennie, Paryż – po raz 32-gi	F. 200,00
●	
Zbigniew Kmiotowicz, Leeds (W. Brytania) – zamiast kwiatów na trumnę Janiny Puć – na pomoc dla Polaków w Kazach- stanie £ stg. 25,00	F. 235,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż – na pomoc dla Powodzian w Polsce	F. 500,00

DZIEKUJEMY

W bieżącym 600-tym numerze *Kultury* zamieszczamy tłumaczenie artykułu S. Łarina, który ukazał się w lipcowym zeszytzie prestiżowego miesięcznika rosyjskiego *Nowyj Mir*, a został napisany z okazji 50-lecia naszej działalności.

Z zasady unikamy akcentów jubileuszowych, ale tu zrobiliśmy wyjątek gdyż zwalczając komunizm i imperializm sowiecki zawsze dążyliśmy do stworzenia atmosfery przyjaźni między naszymi narodami.

Jednak nowa generacja (I)

Ankiętę robimy na prośbę Redaktora Jerzego Giedroycia. Na podstawie takich ankiet przeprowadzonych w kilku szkołach w miastach i na prowincji, napisaliśmy tekst z licznymi cytatami z wypowiedzi – ma to być portret nowego pokolenia, oparty na zwiężtych, szczerych i anonimowych odpowiedziach, jedynie z zaznaczeniem płci i klasy.

Zależy nam by uzyskać autentyczny materiał, co i jak sami czujecie, jak widzicie siebie, swoje pokolenie, nasze społeczeństwo i Polskę.

Samanta Stecko (studentka, generacja „X”)

Tomasz Jastrun (poeta, m.in. felietonista paryskiej *Kultury*, nieco starsza generacja).

Zadaliśmy uczniom 13 pytań, które dotyczą spraw, które wydają się nam dzisiaj najważniejsze. Oto tekst naszej ankiety, którą przeprowadziliśmy w drugiej połowie roku 96:

1. Czy czujesz, że należysz do odrębnego pokolenia? Jeśli tak, czy możesz w kilku zdaniach wymienić te odrębności?

2. Czy czujesz się mocno związany z Polską? Czy pojęcie patriotyzmu, miłości ojczyzny jeszcze dla Ciebie coś znaczy? Czy byłbyś gotów do ofiar dla ojczyzny? Młodzi w czasie powstań oddawali za Polskę życie, czy to miało, czy to ma sens?

3. Czy lubisz dzisiejszą Polskę? Ten kraj odzyskał

niedawno wolność, buduje demokrację i kapitalizm. Czy jest to miejsce, w którym chcesz żyć?

a. Co w dzisiejszej Polsce lubisz i akceptujesz?

b. Co Ciebie drażni, czego nie akceptujesz?

4. Co myślisz o naszym życiu politycznym? Czy masz ochotę w przyszłości włączyć się w działalność polityczną? Jeśli masz krytyczny sąd o naszej sferze politycznej – co jej dolega i dlaczego tak jest?

5. Czy używane w języku naszej polityki pojęcia lewica, prawica, „Solidarność”, postkomuniści, coś ci jeszcze mówią, a jeśli tak to z czym Ci się kojarzą. A może te pojęcia nie mają już racji bytu?

6. Jaka partia polityczna jest Ci dzisiaj najbliższa i dlaczego? A jaka Ciebie najbardziej drażni? Ewentualnie jaki polityk i dlaczego jest przez Ciebie lubiany a jaki nie?

7. Czy należy pamiętać o komunizmie i minionych latach gdy Polska była PRL-em?

8. Czy jesteś osobą wierzącą? Jaki jest Twój stosunek do instytucji Kościoła? Czy spełnia on swoją rolę przewodnika duchowego, czy wykracza poza nią?

9. a. Czy jesteś za dopuszczaniem przerywania ciąży? A jeśli tak to z ograniczeniami czy bez?

b. Czy jesteś za karą śmierci?

10. Czy Polacy są tolerancyjni? Czy w Polsce istnieją uprzedzenia rasowe, niechęć do ludzi odmiennych? Jeśli tak to wymień postacie nietolerancji, kto pada ich ofiarą?

11. Co jest dla Ciebie dominującą, najważniejszą wartością w naszych czasach? Czy byłbyś gotów jej bronić?

12. Co jest dla Ciebie najważniejsze w życiu: miłość, rodzina, ojczyzna, pieniądze, kariera, wykształcenie. Wymień po kolei w hierarchii ważności.

13. Jak widzisz przyszłość Polski? I swoją przyszłość? Pesymistycznie czy optymistycznie. Co jest dla nas szansą. A co nam zagraża?

Formułując pytania staraliśmy się nie sugerować odpowiedzi i nakłonić uczniów do szczerzej refleksji. Na prośbę

nauczyciela uczniowie na lekcji pisali swoje odpowiedzi podając wiek, płeć i klasę. Anonimowość pozwalała im pisać swobodnie. Pytania potraktowali poważnie, niemal wszystkie odpowiedzi sprawiają wrażenie rzetelnych, często wzruszają swoją szczerością.

W swoich badaniach udało nam się wyjść poza stolicę, pytaliśmy uczniów ostatnich klas warszawskiego elitarnego II Liceum im. S. Batorego, VI LO im. T. Reytana, XXVII LO im. J. Dąbrowskiego, ankietowaliśmy też Zespół Szkół Mechanicznych im. M. Konarskiego i Technikum Mechaniczno-Elektryczne im. M. Konarskiego w Warszawie, dalej Liceum im. Żeromskiego w Kielcach. Uzyskaliśmy odpowiedzi ze szkół w niewielkich miasteczkach: Nowe Miasto nad Pilicą i Pionki. Są również odpowiedzi z niewielkiej wiejskiej szkoły z okolic Białobrzegów.

Omówienie odpowiedzi na tak różne tematy, tak bogatych w treść, pisanych spontanicznie jest zawsze kwestią interpretacji. Dlatego zależało mi aby analizę tych kilkuset ankiet rozpisać na dwa głosy i aby to było oko i głos dwóch różnych pokoleń.

Jesteśmy inni, ale bez przesady

Dla wielu uczniów jest oczywiste, że należą do innego pokolenia, że jest ono odmienne od poprzednich, ale zwykle traktują ten fakt bez emocji, a różnice nie są wedle nich dramatyczne. Znalazła się nawet grupa uczniów, którzy uważają, że nie należą do innego pokolenia. Uczeń III klasy z Batorego pisze: „Nie należę do żadnego pokolenia (...) Jedyne co może mnie wyróżnić spośród innych pokoleń to moja niewiara w konstrukcje budowane przez ludzi – anarchia bez anarchii”. Często jako element różnicujący podają muzykę, sposób ubierania się, i coś co istnieje, ale jest trudno uchwytnie. Często piszą o innym stosunku do świata, ale piszą o tym bez emocji. Uczeń z Liceum im. Dąbrowskiego w Warszawie (klasa III), uważa, że: „Nie ma dwóch jednakowych pokoleń, nasze jest: bardziej konsumpcyjne, ‘wyluzowane’, mniej wojujące, bardziej niezależne, przywiązujące większą wagę do wykształcenia, bardziej zapracowane”. Wielu

uczniom różnice pokoleniowe wydają się oczywiste: „Jesteśmy inni niż nasi rodzice, to widać”. Uczeń z warszawskiej szkoły im. Reytana pisze: „Czuję, że należę do innego pokolenia. Jego odrębność przejawia się w zwiększonych szansach na przyszłość, myśleniu o tej przyszłości.”

Czytając te odpowiedzi zastanawiałem się, gdzie się podziały czasy pokoleniowego buntu? Młodzi często nie zgadzają się ze światem jaki zastali, ale nie chcą go zmieniać, nie posiadają swojej wizji, są trzeźwi i nie mają zbyt wielu złudzeń, uważają, że nasz świat ma wiele wad, ale jest jedyny, więc lepiej dostosować się, lub żyć na boku swoim życiem: „Dajcie nam żyć, a my damy wam żyć”, oto jest ich credo.

Uczennica z IV klasy liceum w Pionkach pisze: „Dzisiejszy młody człowiek wie, że musi liczyć zwłaszcza na samego siebie. Rodzice nie zawsze chcą i mogą zapewnić mu utrzymanie, więc to on zaczyna dbać o siebie samego. Jedni rozumieją, że największą inwestycją jest dla nich zdobycie wykształcenia, zarzucają naukę, by zacząć zarabiać, niekoniecznie w uczciwy i legalny sposób. To jest rzeczą charakterystyczną: nasz stosunek do pieniędzy. Dla coraz większej grupy ludzi staje się on jedynym, lub jednym z najważniejszych celów w życiu.”

Ale jest też rzeczą charakterystyczną, że młodzież zwykle dystansuje się od postawy jedynie konsumpcyjnej. Uczennica z liceum w Pionkach pisze: „Drażni mnie, że dla wielu ludzi najwyższą wartością są pieniądze”, jej koleżanka pisze: „Nie utożsamiam się z taką postawą, ale myślę, że dobrze jest, że zarówno ja jak i moi koledzy i koleżanki nie liczymy na to, że ‘ktoś nam coś da’”. Jej kolega z liceum w Pionkach (klasa III) pisze, że ma mroczną wizję swego pokolenia: „Tak, czuję, że należę do odrębnego pokolenia. Pokolenia, które jak na razie cały czas błądzi, pomiędzy rzeczywistością, która jest jak zawsze bardzo brutalna, a światem wytworzonym przez siebie. Należę do pokolenia zagubionego, pokolenia, które nie wie co dobre a co złe, pokolenia, które jest głęboko rozbite i zdezorientowane przez obecną sytuację...”

Grupa uczniów, którzy widzą swoje pokolenie krytycznie jest wyraźna, ale nie dominuje. Uczennica z III klasy Liceum im. Żeromskiego w Kielcach pisze: „Moje pokolenie cechuje kompletny chaos i nieład”. Jej koleżanka ze szkoły im. Batorego uważa, że jej pokolenie jest: „pozbawione wszelkich

idei, celów, wręcz dążeń. Jesteśmy zmęczeni życiem już u jego początku. Wątpimy we wszystkie wartości, zbuntowani ale bunt ten nie przybiera określonego kierunku...” Uczennica z wiejskiego liceum, z drugiej klasy, pisze: „Moje pokolenie zafascynowane jest światem komputerów, samochodów, i narkotyków. Moi rówieśnicy nie są otwarci na przyrodę są zamknięci w sobie, bo boją się jutra. Najgorsze z tego jest to, że wszyscy to widzą i nikt nie próbuje tego zmienić.”

Częściej jednak uczniowie piszą, jak 17-letnia uczennica z Batorego: „Tak, zdecydowanie należę do nowego pokolenia. Jego mottem jest wkładać tyle energii w naukę co w zabawę i odwrotnie. Ludzie starają się myśleć o przyszłości nie rezygnując z tego co się dzieje teraz.” „Młode pokolenie wydaje się być bardziej skoncentrowane na sobie” – pisze inna uczennica. Jej koleżanka z Reytana uważa, że: „Dzisiejsza młodzież jest bardziej otwarta, przyjazna. Jednocześnie żyje w trudnych czasach.”

Uczniowie często podkreślają, że ich nastawienie do życia jest bardziej praktyczne niż ich rodziców. Dziewczyna, lat 18, z warszawskiego technikum pisze: „Uważam, że należę do odrębnego pokolenia. Jest to pokolenie po części związane z poprzednim, ale w sumie inne. Inaczej podchodzimy do życia, bardziej zależy nam na nauce, wyższym wykształceniu. Oczywiście lubię też poszaleć, pohulać, ale z umiarem. Mam też inny stosunek w temacie założenia rodziny – oczywiście, chcę mieć męża, dzieci, jednak najpierw chcę skończyć szkołę, studia, mieć dobrą pracę. A nie tak jak kiedyś, tylko szkoła podstawowa, praca i dom.” A jednak ta sama uczennica uważa, że ma sens oddawanie życia za ojczyznę. Takie paradoksalne, praktyczno-romantyczne zestawienia są częste. Istotną i często wymienianą nowością naszych „nowych czasów” jest „swoboda decydowania o sobie”. Uczeń z wiejskiej szkoły napisze: „Podoba mi się to, że można wykorzystywać swoje pomysły.”

Ojczyzna kochana, ale z umiarem

„Patriotyzm, miłość ojczyzny – to górnotłone zwroty, których nie lubię. Nie jestem zwolennikiem manifestowania tych uczuć. Wydaje mi się, że ważniejsze są czyny. Oddawanie życia za ojczyznę ma sens tylko wtedy, kiedy przyniesie to wy-

mierne, wysokie zyski. Jednak nawet wtedy jest to dla mnie problematyczne. Bohaterem można zostać w inny sposób” – pisze uczeń z Kielc. Jego kolega z Batorego sądzi, że: „Granice nie grają ważnej roli w życiu. Traktuję je jak coś w rodzaju podziału na większe ‘województwa’ świata. A wielkie słowa tracą sens z pokolenia na pokolenie. Dla mnie stanowią już jedynie dawne ideały.” Uczeń z Liceum im. Batorego pisze: „‘Patriotyzm’ albo ‘miłość ojczyzny’ brzmią dla mnie równie ‘współcześnie’ co waćpanna albo asan. A o ofiarach pomyślę jak będą potrzebne”. Uczennica ze szkoły zawodowej pisze: „Dzisiejsza młodzież w bardzo małym stopniu interesuje się ojczyzną. Nie są wychowani w domach gdzie myślą przewodnią jest patriotyzm.” Jej koleżanka ze szkoły jest przekonana, że: „Słowo patriotyzm powoli zatracą swój sens.” Ale nawet ci, którzy wątpią, zwykle doceniają rolę poświęceń dla ojczyzny poprzednich pokoleń, podkreślają rolę powstań. Czyli tego patriotyzmu w odpowiedziach jest wcale nie tak mało, ale ów patriotyzm rzadko jest głębiej motywowany. Jak się wydaje, dogorywają w młodym pokoleniu wielkie polskie mity, chociaż uczniowie często powołują się na powstania. Nie lekceważą heroicznej historii, chociaż nie jest ona dla nich żywa, nie zapładnia ich wyobraźni. Powstania tak, jeśli to było racjonalne i mogło ocalić ojczyznę. Niektóre polskie gesty i symbole ich wzruszają, ale należą już tylko do muzeum przeszłości, dzisiaj w naszych racjonalnych czasach nie ma sensu i potrzeby ich powtarzać. Podkreślają, że był to inny czas i nie wolno go przykładać do naszego, a ich sytuację porównywać do losu poprzednich pokoleń. Uczennica z Liceum im. Dąbrowskiego, klasa III, pyta: „Patriotyzm? Widzę młodych ludzi z granatami w ręku, mały chłopiec z ulotkami, wojna, wojna... ironiczne spojrzenia moich kolegów, patriotyzm? Dyskoteka, codzienne życie, dziewczyna, chłopak – może konieczność?”

Pytanie o gotowość oddawania życia za ojczyznę jest chyba zbyt ostateczne i budziło często zakłopotanie. Uczniowie zauważają, że dzisiaj tak dramatyczne wybory nie są konieczne. A jednak zaskakująco często uczniowie deklarują gotowość oddania życia, nie tylko za ojczyznę, ale też za takie wartości jak wolność i prawda. Czasami odpowiedź jest paradoksalna jak maturzysty z Nowego Miasta: „Nie przejawiam widocznych cech miłości do ojczyzny, ale gdyby zaszła

potrzeba, byłbym gotów złożyć swoje życie dla ojczyzny. Być może wychodzę z założenia, że mało mam do stracenia.”

Wielu uczniów chciałoby kochać ojczyznę i być gotowym do ofiar dla niej, ale przyznają, że mają problem z wyraźnym obrazem własnego kraju. Wielu, którzy deklarują miłość do ojczyzny zastrzega się, jak jedna z uczennic: „Ten związek nie jest na tyle silny, że nie mogłabym wyjechać stąd na stałe.” Albo, jak pisze inna uczennica: „Nie jest to uczucie na tyle silne, abym była skłonna ponosić ofiary dla ojczyzny.” Uczennica z Technikum Chemicznego w Pionkach uważa, że: „Obecnie nie ma żadnych wzorców do naśladowania, nie byłabym gotowa do poświęceń za ojczyznę.”

Wydaje się, że więcej uczniów z małych ośrodków jest gotowych wyjechać z Polski, gdyby zapewniono im dobre warunki na emigracji. To ciekawość świata, ale też niepewność swego losu i chęć wyrwania się z prowincji. Ale na podstawie tych ankiet nie zaryzykowałbym sądu, że na wsi i w małym miasteczku jest trudniej kochać swoją ojczyznę.

Odpowiedzi uczniów są dowodem, że nie ma jakiegos dramatycznego upadku uczuć patriotycznych w młodym pokoleniu. Nie lubią wielkich słów, drażni ich patos, są nieufni. A też wydaje się dzisiaj łatwiej być szczerym i powiedzieć, że: „mam Polskę w nosie”.

Co Cię w Polsce drażni, a co się podoba?

Uczniowie dość powszechnie zauważają, że Polska jest w okresie przejściowym, że to jest czas szczególny, że drogi nie są jeszcze pewne, więc różne rzeczy mogą się jeszcze zdarzyć.

Uczeń z liceum z Nowego Miasta nad Pilicą, pisze: „W dzisiejszej Polsce bardzo lubię przywiązanie do kultury i obyczajów. Drażni mnie natomiast postawa społeczeństwa nie akceptująca odmienności pewnych ludzi.” Równie sarkastycznie odpowiada uczeń na pytanie, czy lubi Polskę?: „Tak i Nie. Lubię właściwie to, co zachowało się w nas z tradycji i zwyczajów, co jest prywatne, intymne – nie lubię tego, jacy ludzie są ‘na zewnątrz’ – braku zaufania, grzeczności... polityka dla mnie nie istnieje”. Wiele jest takich głosów: „Lubię Polskę, ale jest niebezpiecznie na ulicach, brudno, nie-

chlujnie". Uczennice z Batorego drażni „arogancja Polaków, małomiasteczkowość i to, że żadnej pracy nie mogą wykonać perfekcyjnie”. Uczennicę ze szkoły zawodowej denerwuje, „brud na ulicach i na przystankach autobusowych”. Szczególnie dziewczęta narzekają na mankamenty estetyczne Polski, na braki w tej dziedzinie częściej narzekają uczniowie z dużych miast. Wydaje się, że coraz bardziej powszechne wyjazdy za granicę, których ślad jest w odpowiedziach, pozwalają młodzieży dostrzec nasze zaniedbania. Rodzi się nadzieja, że nowe pokolenie zadba, by poprawić wygląd polskich domów i ulic.

Uczennica z II klasy wiejskiej szkoły pisze, że nie lubi Polski, „bo ludzie w niej żyjący zapomnieli już, że niedawno odzyskali wolność. Jednak w takim kraju muszę żyć, bo tu jest moje miejsce”. Tę uczennicę „drażni też, że ludzie z miast wysmiewają się z ludzi takich jak ja, czyli ze wsi. A oni nie wiedzą, że tu jest tak pięknie”. Uczniowie z wiejskiej szkoły krytyczniej patrzą na Polskę. Uczeń z II c pisze: „Czasami wydaje mi się, że nie jest to kraj, w którym chcę żyć. Tym bardziej, że dochodzi do coraz większego rozwarstwienia społeczeństwa. Jak długo można czekać?”

Polska jest powszechnie postrzegana jako państwo wolne i demokratyczne, bardzo niewielu uczniów ma co do tego wątpliwości. Dojrzewający na progu wolności, są w stanie tę wolność docenić. Typowy jest głos ucznia z liceum technicznego: „Lubię, że w Polsce jest wolność słowa, prawa dla każdego obywatela i dostatek w sklepach”.

Często optymizm miesza się z pesymizmem. Uczeń z technikum chemicznego w małym miasteczku Pionki napisze: „W zasadzie to lubię swoją ojczyznę [...] Dzisiejsza Polska nie jest taka zła. Dzisiejsza Polska odradza się... Znacznie podnosi się stopa życiowa, kraj kwitnie i rozwija się. Jednak obok tych optymistycznych akcentów, wiele jest również niepewności. Coraz więcej jest biedaków, narkomanów, recydywistów, zabójców, prostytutek. Kraj gnije od środka – i to mnie przeraża...”

Uczniowie ze wsi i z małych ośrodków ostrzej widzą, że w Polsce istnieje duży margines ludzi zdeprawowanych i zniszczonych przez alkohol.

Uczennica z Reytana pisze: „Dzisiejsza Polska to brudne

ulice, polityka, niemyci ludzie, ordynarni ludzie, korki na ulicach, spaliny, nienawiść, huk... ale dzisiejsza Polska to także miejsce z którym wiążą się moje uczucia, w którym dorastam, miejsce gdzie mam rodzinę, przyjaciół, miejsce cudownych spacerów, niesamowitych uniesień, tu są góry, morze, lasy, jeziora, tu są mądrzy ludzie, tę Polskę lubię.”

Cyrk polityki

Opinia uczniów na temat polskiej sceny politycznej jest jednomyślna. Wśród odpowiedzi nie znalazłem chyba ani jednej (!!!), która by akceptowała nasze życie polityczne. Uczniowie na ogół używają bardzo mocnych słów i epitetów: cyrk, banda bałwanów, banda komediantów, idioci, same głupki, jedno wielkie bagno, itd. itd. Motyw bagna i stołków powtarza się szczególnie często. Uczennica ze szkoły im. Batorego napisze: „Denerwuje mnie stosunek jednych polityków do drugich, ta nienawiść, oszustwa, obrzucanie się błotem. Uważam to za wysoce niesmaczne”. Dla uczennicy z III klasy liceum w Kielcach „politycy to jedna wielka mafia. Oni zwalczają się wzajemnie po to by mieć jak najwięcej korzyści materialnych, a nie po to, by ratować, budować kraj”. Cafa sfera polityczna jest przez uczniów postrzegana poza ideologią, poza ścieraniem się idei i racji. To dżungla i gra żarłocznych egoizmów. Nie ma prób usprawiedliwienia złej kondycji polskiej sceny politycznej, choćby brakiem tradycji, półwieczem komunizmu, złymi nawykami przeszłości. A ta jednoznaczność druzgocącej opinii w jednakim stopniu dotyczy liceów, szkół zawodowych, szkół w małych ośrodkach i na wsi. Nic dziwnego, że niemal nikt nie deklaruje, że w przyszłości zamierza włączyć się aktywnie w życie polityczne. „Nie zamierzam przyłączyć się do tej jatki” – pisze uczeń z Kielc. Liczni uczniowie bez wstydu przyznają się, że nie interesują się polityką, mają ją w nosie.

Kiedy robiliśmy naszą ankietę nie istniał jeszcze AWS. Krytykowano więc poszczególne partie narodowe jak ZChN, która wielu uczniom kojarzy się z obskurantyzmem, a nawet z Iranem. Uczennica pisze: „Najbardziej drażnią mnie, nie-

stety, partie prawicowe ze swoją demagogiczną retoryką i z przekonaniem, że zbawią naród przed klęską”. Choć cieszy się zwykle sympatią prawica, ale nie mniej ostro atakowany jest Aleksander Kwaśniewski i SLD. „Poglądy lewicowe nie odpowiadają moim nieśmiałym poglądom” – pisze uczennica. Ta „nieśmiałość” jest powszechna, ale dotyczy tylko braku jakiejś wizji, a nie krytyki stanu rzeczy. Jedną z uczennic z Batorego popłakała się, kiedy Aleksander Kwaśniewski został prezydentem. Ale tak duże emocje są rzadkie, obecny prezydent ma też swoich zwolenników, bo mówi po angielsku i umie się zachować. Sporą popularnością cieszy się Unia Polityki Realnej i jej kabaretowy przywódca Korwin-Mikke, bawi uczniów jego przekora. Uczeń z Reytana pisze: „Nie identyfikuję się z żadną partią i nie mam zamiaru tego zrobić. Denerwuje mnie Aleksander Krzaklewski, uśmiech wywołuje Janusz Korwin-Mikke (cenię go jedynie za grę w brydża)”. Dostrzegani są jako politycy Jacek Kuroń i Andrzej Olechowski. Lech Wałęsa przywoływany jest za zasługi, ale wcale nie tak często, jest natomiast krytykowany za brak form.

„Solidarność” postrzegana jest jako historia i to historia odległa, budzi bardzo pozytywne uczucia gdy chodzi o przeszłość, sporo uczuć negatywnych za dzisiaj. Uczennica z klasy IV liceum z Nowego Miasta nad Pilicą pisze: „Jeśli Związek Zawodowy ‘Solidarność’ chce brać udział w wyborach, chce wziąć władzę, to w takim razie kto będzie bronił robotników przed ‘Solidarnością’?”. Chyba najczęściej uczniowie z miast akceptują Unię Wolności, co pokrywa się z preferencjami studentów.

Wielu uczniów pisze, że nie chcą w ogóle podawać nazw partii, twierdzą, że polityką się nie interesują lub, że ich ona brzydzi. Na wsi i w małych miasteczkach pewną popularnością cieszy się PSL i jej politycy. Uczniowie z miast za to często krytykują przywódcę PSL-u Waldemara Pawlaka. Ale paradoksalnie, to jest najbardziej wyraźna a też zrozumiała różnica w poglądach między uczniami z miast i wsi.

Widoczna jest raczej słaba orientacja w naszym politycznym bałaganie. I właściwie trudno się uczniom dziwić. Pojęcia lewica i prawica nic dla nich nie znaczą w sensie historycznym, najczęściej zdarzają się najprostsze skojarzenia:

lewica – to komuniści, prawica – dawna opozycja. Uczennica uważa, że „lewica i prawica ma mniej więcej takie samo znaczenie”. Uczeń z Kielc pisze: „Te pojęcia znam teoretycznie, gorzej praktycznie, bo przestałem już się orientować, kto jest z lewicy a kto z prawicy. Członkowie jednej i drugiej strony szybko się zmieniają, a ich poglądy jeszcze szybciej w zależności od kierunku wiatru”. Uczniowie z reguły nie potrafią pojąć lewica i prawica osadzić w kontekście historycznym, czy nawet w doświadczeniach politycznych innych krajów. Chwilami ma się wrażenie, że są przekonani, że te pojęcia narodziły się w Polsce ostatnich lat. Lewica i prawica często kojarzy się uczniom z konfliktem: „Lewica walczy z prawicą, ‘Solidarność’ z postkomunistami. Dlaczego ten kraj się nie połączy?” – pyta uczennica z Kielc, a jej kolega pisze: „Pojęcia te się mieszają, nie są jednoznaczne”. Ktoś inny uważa, że: „Lewica – kiedyś terror, teraz coś co ma rację bytu. Prawica – setki partii po 10 osób w każdej plus ‘Solidarność’ i ludzie podobni Chrzanowskiemu.” Rzadkie są bardziej dojrzałe refleksje. Uczeń warszawskiej szkoły im. Reytana pisze: „Siedem lat po faktycznym odzyskaniu niepodległości, kiedy gospodarka wychodzi powoli na prostą, polscy politycy marzą jedynie o tym by się wdrapać na najwyższy stołek i jak najdłużej się na nim utrzymać. W pewnym stopniu to naturalne, ale panowie, ile można! Dziwi mnie natomiast fakt, iż prawica przez tyle lat nie potrafiła się zjednoczyć. Nie jestem aż tak młody by tych pojęć nie rozpoznać [lewica, prawica] choć uważam, że obecnie straciły rację bytu. Lewica zawsze kajała mi się z czymś złym, negatywnym, prawica czymś do niej antagonistycznym, działającym często w ukryciu. Ach, te młodzieńcze fantazje! Zarówno jedni jak i drudzy są odpowiedzialni za obecną sytuację. Postkomuna – określenie słyszane z ust niby-prawicowców, mające na celu tylko szkalowanie niby-lewicy. ‘Solidarność’ teraz to dla mnie nic więcej niż jeszcze jedna, w dodatku wyjątkowo nieudolnie, ba, nawet śmiesznie prowadzona ‘partia’.”

Chaos myślowy na temat naszej polityki sąsiaduje ze zdrowym rozsądkiem. A pewien uczeń w wyraźnej desperacji napisał, że najlepszy polityk to Piłsudski.

Pamięć przeszłości

Kilku uczniów przypomina słowa Żeromskiego o ranach, które trzeba szarpać, by się nie zablizniły błoną podłogi. Częste są jednak takie głosy, jak uczennicy z Kielc: „Oczywiście należy pamiętać o komunizmie”, ale „musimy iść naprzód i żyć życiem dzisiejszym a nie wczorajszym”. Generalnie, większość jest za pamięcią przeszłości, ale nie należy z tym przesadzać. Dziewczyna z kl. III pisze: „O komunizmie należy pamiętać. Tak samo jak pamiętamy o Rewolucji Francuskiej, podbojach Rzymian”. Jej koleżanka pisze: „Czuję, że należę do odrębnego pokolenia. Starsze pokolenia cały czas żyją latami wojny, komunizmu, czy roku 1981. Ja tego nie pamiętam i znaczy to dla mnie bardzo mało. Patrzę w przyszłość”. Czyli pamięć tak, ale bez przesady. Bo jak zauważy uczennica z Kielc: „musimy iść naprzód i żyć życiem dzisiejszym, a nie wczorajszym”.

Wierzą w Boga, wątpią w Kościół

Większość uczniów deklaruje się jako wierzący i praktykujący, jednak niemal wszyscy krytykują Kościół za wkraczanie na teren polityki. Jedna z uczennic pisze: „Czasami staram się nie chodzić do kościoła, aby tego nie słuchać”. Uczennica z II klasy: „Jestem osobą wierzącą. Kościół wykracza poza swoje kompetencje. Wtrąca się w nie swoje sprawy. Nie rozumie swego posłannictwa i roli”. Uczeń, który deklaruje się jako wierzący pisze: „Kościół spełnia swoją rolę przewodnika duchowego, chociaż bardzo niezręcznie”. Do najłagodniejszych opinii należy taka, że „Kościół wykracza poza rolę przewodnika duchowego”, albo „ostatnio w Kościele jest za dużo polityki”. A to głos skrajny, ale niezadki ucznia z IV klasy technikum: „Wierzę w Boga, lecz nie w Kościół, w księży i cały ten teatr. Wykracza poza rolę przewodnika duchowego dla starszerek. Katolicyzm jest zbliżony do faszyzmu np. ksiądz Rydzyk i Radio Maryja”. Ten sam uczeń deklaruje cały zestaw cnót patriotycznych i gotowość oddania życia za ojczyznę w razie potrzeby.

Uczennica z Nowego Miasta, klasa IV, pisze, że jest osobą wierzącą. „Mam jednak zastrzeżenia do instytucji Kościoła. Nienawidzę niektórych księży. Wielu z nich to ludzie obłudni, dla których najważniejsze są pieniądze. W mojej miejscowości ksiądz proboszcz jest człowiekiem znienawidzonym przez całą młodzież tejże miejscowości”. Uczennica z technikum w Pionkach, klasa IV, zwierza się: „W kościele szukam ukojenia, a takiego nie znajduję. Nasłucham się o polityce, aborcji itd. A to nie podnosi mnie na duchu, nie wskazuje drogi. Dlatego modlę się w domu”.

Uczniowie z technikum w Warszawie są niemal w 100% zgodni w swojej krytyce instytucji Kościoła. Uderza przy tym, że niemal wszyscy deklarują się jako wierzący. Oto garść typowych wypowiedzi: „Za dużo polityki, za mało modlitwy”. Albo: „Kościół nie jest już ‘Domem Bożym’, jest domem zaślepionych katolików i chrześcijan”. Uczennica: „Jestem osobą wierzącą. Mam krytyczny stosunek do Kościoła, nie spełnia swojej roli, wpycha się do polityki, a przecież to nie jego miejsce. Popatrzmy jakimi samochodami jeżdżą księża, jak oni się zachowują, już nie mówiąc o przestrzeganiu święceń czystości”.

Bardzo wielu uczniów dostrzegło polityczne zaangażowanie Kościoła podczas wyborów prezydenckich, podkreślają, że skala tego zaangażowania była nie do przyjęcia i budzi ich żywy niesmak.

Spodziewałem się, że odpowiedzi uczniów ze szkoły zawodowej i wiejskiej będą mniej liberalne i mniej krytyczne wobec Kościoła, naszego życia politycznego i polskiego społeczeństwa niż uczniów ekskluzywnej szkoły im Batorego. Uczniowie ze wsi i z małych miasteczek częściej deklarują głęboką wiarę, może nieco mniejszy, ale też nikły procent akceptuje bez krytyki instytucję Kościoła, lecz gdy ta krytyka się pojawia to jest bardzo ostra i oparta o fakty.

Szczególnie w głosach ze wsi i z małych miasteczek powtarza się motyw luksusowych samochodów księży, płodzenia dzieci, „zawrotnych sum za pogrzeby, chrzty i śluby”. Uczennica z IIc z wiejskiej szkoły pisze: „Idąc do kościoła, chcę słuchać rozważań o Bogu, a nie o związkach homoseksualistów”. Jednak to mówienie z ambony o polityce jest najczęściej powtarzającym się zarzutem. Typowy jest taki głos: „Jestem osobą wierzącą. Do kościoła nie chodzę bo mam

do niego złe nastawienie. Nie lubię gdy w kościele ksiądz wygłasza swoje mowy polityczne. Uważam, że ksiądz nie powinien wtrącać się do polityki, a do tego na mszy. Podczas wyborów na prezydenta ksiądz z ambony, przez całą mszę wygłaszał swoje mowy polityczne i kazał ludziom głosować na Wałęsę. [...] jeśli chcę się nasłuchać o polityce, to wolę włączyć telewizor." Najbardziej łagodna krytyka brzmi zwykle tak: „Tak, jestem osobą wierzącą. Moim zdaniem Kościół za dużo wtrąca się do polityki, nie powinien tego robić. Jego zadaniem jest nawracanie ludzi”. Albo: „Jestem osobą wierzącą. I uważam, że Kościół wykracza poza swoje uprawnienia. Nie rozumiem dlaczego wtrąca się do polityki”.

Z setek odpowiedzi bardzo nieliczne mówią o instytucji Kościoła bez zastrzeżeń. Jedna z uczennic pisze: „Kościół jest potrzebny, myślę, że spełnia rolę przewodnika duchowego”. Ta uczennica jako chyba jedyna przypomina zasługi Kościoła przed rokiem 89, ale też pisze na koniec: „myślę, że Kościół niektóre kwestie powinien pozostawić nam do rozstrzygnięcia”. Ta sama uczennica jest za aborcją bez ograniczeń, bo: „jest to sprawa sumienia każdej kobiety”. Są też takie głosy pełne konfuzji: „Myślę, że Kościół przejąłby najchętniej władzę i praktykował średniowieczne zwyczaje. Są duchowni z powołania, bezinteresowni, są duchowni, którzy zakładają rodziny. Gdzie jest prawda? W co mam wierzyć?”

Aborcja

„Myślę, że lepiej jest gdy kobieta usunie ciążę niż później dziecko ma pójść do domu dziecka lub na śmietnik (były już takie przypadki). Kościół nie powinien się w to wtrącać a i mężczyźni nie powinni o tym decydować. Kobieta sama wie co będzie najlepsze dla niej i dla dziecka, zna również skutki przerwania ciąży, jeśli się na to decyduje to jest to tylko jej sprawa i jej sumienia” – pisze jedna z uczennic z Warszawy. Inna dziewczyna, która deklaruje się jako wierząca pisze: „Jeśli ktoś chce popełnić błąd, proszę bardzo – niech to zrobi w higienicznych warunkach – bo przecież i tak, i tak, jeśli się uprze to to zrobi”. Ta sama uczennica na pierwszym miejscu na liście rzeczy najważniejszych stawia „miłość”.

Uczniowie z Nowego Miasta w swoich głosach za przerywaniem ciąży wykazują więcej emocji. Dziewczyna z klasy IV pytana, czy jest wierząca, odpowiada: „Wierzę w Boga, a nie w księży”. Pytana o przerywanie ciąży deklaruje się za, bez ograniczeń, pisze: „Jeśli Kościół taki mądry, to niech zrobi w klasztorach przedszkola, a później szkoły, niech sam wychowuje, karmi dzieciaki”. Pragmatyczny stosunek do życia, również do moralności jest jednak górą. Myślę, że uczniom podobałaby się formuła: „dosyć pieprzenia o moralności, którego tak wiele słyhać na polskiej prawicy i z ambon, nas interesują fakty”. Stosunkowo wiele dziewcząt, które deklarują, że są za przerywaniem ciąży, zarazem zastrzegają się, że same nigdy by tego nie zrobiły. Przeważa jednak pragmatyzm w podejściu do tego zagadnienia. Mało jednak kto jest za przerywaniem ciąży bez ograniczeń. Uczniowie ze wsi częściej są przeciwnikami przerywania ciąży niż z miast i małych miasteczek. Czyli przygniatająca większość jest za ustawą zezwalającą na przerywanie ciąży, nie bardzo jednak liberalną. Tak samo zdecydowana większość uczniów jest za karą śmierci, dla pewnego typu szczególnie zwyrodniałych przestępców.

Polacy są bardzo nietolerancyjni

Uderzająca, a nawet niepokojąca jest jednomyślność uczniów w ocenie polskiego społeczeństwa jako nietolerancyjnego. Dotyczy to wszystkich badanych przez nas szkół. Mówiąc jednym głosem, uczniowie rzadko podają konkretne przykłady agresji. Tylko jeden z uczniów z Nowej Wsi zauważył, że: „W Polsce nietolerancja rośnie, ale prawie nigdy nie przeradza się w agresję”. Uczennica z liceum w miasteczku Pionki pisze: „Oczywiście, że Polacy są nietolerancyjni”. Potem zastrzegają się, że oczywiście nie wszyscy, ale ta gorliwość potwierdzenia naszej nietolerancji jest powszechna. Młodzi wybijają na czoło niechęć ludzi do wszystkiego co odmienne. Uczennica pisze: „Dzisiaj skazani na przejawy nietolerancji są głównie ludzie z mniejszości narodowych, emigranci, ludzie innego wyznania, innego koloru skóry, innej orientacji seksualnej, ludzie o innych poglądach [...]

Atakowani są ludzie o niższym bądź nawet wyższym statusie majątkowym”. Najczęściej jako nietolerancyjni, bardzo niebezpieczni wymieniani są skini. Ich agresja i zagrożenie ze strony tej grupy jest stałym motywem w ankietach.

Uczniowie zauważają u starszych uprzedzenia wobec chorych na AIDS, a też ludzi niepełnosprawnych. Twierdzą, że sami są tolerancyjni dla odmienności seksualnych. Jednym tchem jako obiekt niechęci wymieniani są: Żydzi, Cyganie, Murzyni, Rumuni, ludzie z dawnego ZSSR. Uczniowie piszą o tym wszystkim w tonie żywej nagany, sami więc nie dzielają tych uprzedzeń. W kilkuset odpowiedziach znalazłem bodaj tylko jedną deklarację, którą można określić jako znak uprzedzeń i braku tolerancji.

Uczennica z technikum w Pionkach, uważa, że ofiary nietolerancji w Polsce, to głównie: „Innowiercy i niewierzący, Romowie, czarnoskórzy i Azjaci, upośledzeni niepełnosprawni”. Uczennica z Kielc pisze: „Wbrew pozorom w Polsce jest ogromna nietolerancja. Ludzie płaczą na ‘Liście Schindlera’ a w rzeczywistości są urodzonymi antysemitami”. Uczennica z warszawskiego technikum twierdzi, że „Polacy są największymi antysemitami i rasistami w Europie”. Takie skrajne głosy nie były rzadkie. Uczennica z Liceum Batorego sądzi, że Polakom: „brakuje tolerancji. Ofiarami najczęściej padają Żydzi, ale także ludzie innych religii, czy koloru skóry”.

Żydzi jako ofiara uprzedzeń są wymieniani tak często, że doprawdy musimy stwierdzić, że uczniowie z różnych szkół, z miast i miasteczek a też wsi, potwierdzają, że w Polsce nadal żywe są uprzedzenia, które można określić jako antysemityzm. To słowo jest bardzo w Polsce nie lubiane. Ze świecą szukać antysemitę, który pogodziłby się z tym słowem. Ale jak inaczej nazwać obraz, który wyłania się z ankiet? Jest to na dodatek antysemityzm bez Żydów, bo dla uczniów „Żyd” jest też pojęciem zupełnie abstrakcyjnym. Paradoksu antysemityzmu bez Żydów uczniowie nie dostrzegają. Ale ankieta mówi też wyraźnie, że w tym właśnie pokoleniu wygasa przekazywanie tej fobii. Nie tylko dlatego, że obiekt jest niewidoczny. Ale też dlatego, że „inni” budzą wśród młodych raczej ciekawość niż niechęć. Nie widać u nich na razie skłonności do myślenia spiskowego.

Przed kilkoma laty robiłem dla miesięcznika *Res Publica* podobną ankietę, pytając o to czy istnieje w Polsce antysemityzm a też o stosunek uczniów do odmienności homoseksualnej. Tolerancja dla gejów była powszechna, ankieta też potwierdziła istnienie w starszym pokoleniu antysemityzmu, jak również fakt, że młodzież uważała starsze pokolenie za nietolerancyjne.

Uczniowie sami siebie bardzo jednoznacznie widzą jako tolerancyjnych, sugerują, że to jedna z istotnych różnic pokoleniowych. Niewielu uczniów pisze, jak chłopak z technikum: „W Polsce istnieją uprzedzenia rasowe, jednym z przykładów jest moje otoczenie w szkole”. Uczniowie pośrednio lub wprost sugerują: „My jesteśmy tolerancyjni” a świat dorosłych tolerancyjny nie jest. A ten temat ze wszystkich pytań budzi chyba największe emocje. I uczniowie są niemal w 100% zgodni w widzeniu Polaków jako nietolerancyjnych, sami deklarują niechęć do uprzedzeń innych i walkę o swoją tolerancję.

Obraz nietolerancji polskiego społeczeństwa wydaje się wyolbrzymiony i przesadzony, nie można go jednak lekceważyć. Wydaje się zarazem, że uczniowie nie wiedzą jakie postacie nietolerancji występują w wielu innych krajach. Ale ten jednoznacznie surowy sąd jest jednak faktem. I rodzi się tu ważne pytanie – na ile własna tolerancja młodzieży jest tylko deklaracją, „grzechem młodości”, na ile jest ich ugruntowanym światopoglądem. Siła tego głosu młodzieży każe wierzyć, że mamy do czynienia z tolerancją prawdziwą.

Miłość i rodzina a przeszłość we mgle

Pytaliśmy co jest najważniejsze: miłość, rodzina, ojczyzna, pieniądze, kariera, wykształcenie? Miłość i rodzina wygrały zdecydowanie w tym trudnym rankingu, na trzecim miejscu jest zwykle wykształcenie. Pieniądze lokują się dalej na skali wartości, często są blisko końca. Uczennica II klasy, Batory: „Myślę, że najważniejsza w naszych czasach jest miłość i szacunek dla innych”, jej koleżanka ze szkoły zawodowej pisze, że „bez miłości człowiek jest samotny”.

Ważne, że uczniowie zdecydowanie deklarują przewagę

wartości duchowych nad materialnymi. Czują jednak zagrożenia ze strony żarłocznej komercji. Głosy przeciwko amerykańskiej są jednak rzadkie. Uczennica z Nowego Miasta z klasy II pisze: „W naszych czasach, choć liczą się jedynie pieniądze, dla mnie ważna jest miłość i dobro ludzi”.

Chociaż wcześniej uczniowie często deklarowali, że są bardziej nastawieni na przyszłość niż na przeszłość, to mają kłopot z deklaracją, jak widzą przyszłość Polski. Zaskakująco często są pesymistami, albo wahają się, częściej optymistycznie widzą swój własny los, niż los kraju. Uczniowie ze wsi i małych miasteczek, widzą przyszłość nieco ciemniej niż ich koledzy z dużych ośrodków, ale ta różnica nie jest tak duża, jak duża wydaje się nadal w Polsce przepaść między miastem i prowincją. Uczennica z wiejskiej szkoły z klasy III pisze: „Nie lubię dzisiejszej Polski, tego pogmatwania, ciągłego porównywania do komunizmu. Tak buduje się nowa Polska, tylko nie wiadomo ile to będzie trwać, ale może warto poczekać?” Mimo swego sceptycyzmu wobec przyszłości uczniowie nie wpadają jednak w panikę, to raczej rezerwa i ostrożność: „Przyszłość widzę w kolorach przymglonego optymizmu” – pisze uczennica z Liceum im. Batorego, i ciekawe, bo ten motyw mgły o raczej jasnej barwie powtarza się w odpowiedziach. Uczennica z technikum w Pionkach pisze: „Żyję tu i teraz, a przyszłości poddam się, bo muszę”.

Wielekroć uczniowie piszą, że „potrzebujemy sporo czasu”. Niektórzy, ale nieliczni twierdzą, że zagraża nam Rosja, rzadziej wspominają o Niemczech. Uczniowie nie widzą dla Polski dużych zagrożeń zewnętrznych. Uczennica z klasy III ze szkoły im. Batorego uważa, że: „Największym zagrożeniem jest antagonistyczny stosunek ludzi, którzy tę Polskę budują. Jeżeli nie zabijemy się sami, to może nie zabijemy szansy na lepszą ojczyznę”. Uczennica z Batorego pyta: „Co nam zagraża? My sami sobie zagrażamy”. Inny uczeń pisze: „Sami sobie zagrażamy, ciągłymi swadami, brakiem jedności i widzeniem świata w sposób romantyczny, Polska jako centrum wszechświata i że wszyscy powinni czuć tę naszą specyfikę narodu wybranego”.

Uczeń II klasy Liceum im. Żeromskiego z Kielc uważa, że zagrożeniem dla nas jest „obecny stan naszego społeczeństwa, pogoń za własnym interesem i nieoglądanie się na

innych”. W wielu odpowiedziach powtarza się myśl, że najbardziej nam zagraża nasza własna głupota. Wydaje się, że uczniowie z dużych miast widzą przyszłość zdecydowanie bardziej optymistycznie niż z małych ośrodków, co chyba nie dziwi.

Uczennica z Batorego pisze: „Myślę, że jestem optymistką. Moje pokolenie może wpłynąć na losy Polski, może je zmienić na lepsze. Siła leży w nas samych. Musimy tylko sami w to uwierzyć. Czego sobie i innym życzę”.

Jednak nowa generacja

Gdybym miał w dwóch słowach określić, jak widzę polską młodzież kończącą szkoły licealne i zawodowe w dużych miastach i na prowincji, powiedziałbym, że ta młodzież „jest fajna”. Liberalna, myśląca niezależnie, trochę sceptyczna, trochę smutna, nie jest zbuntowana, ale nie jest też zgorzkniała, myśli bardzo realnie. Ale przecież miłość i rodzina, wolność, należą dla młodych do najbardziej istotnych rzeczy. Wiedzą, że pieniądze są dzisiaj niezbędne i gotowi są o nie walczyć, podobnie jak są gotowi bronić swojego kraju jeśli uwierzą, że jest rzeczywiście zagrożony. Niemal wszyscy deklarują się jako wierzący, mają jednak niezwykle krytyczny stosunek do instytucji Kościoła. Jeszcze ostrzej widzą naszą scenę polityczną, a na politykach nie zostawiają suchej nitki. Kościół chyba nie powinien lekceważyć tak powszechnej krytyki jego politycznego zaangażowania. Ale szczególnie fatalnie wypada ocena naszej sceny politycznej. Jeśli jednak w uczniowskiej wizji naszego życia politycznego jest choćby część prawdy, to nie można liczyć na to, że nasi politycy tę krytykę w ogóle raczą zauważyć.

Tolerancję uczniowie widzą jako wartość szczególnie ważną, boli ich powszechna, wedle ich opinii, nietolerancja starszego pokolenia. Nie potrafią jednak przytoczyć zbyt wielu brutalnych faktów, które to potwierdzają. Chyba wiedzą, że polska nietolerancja opiera się głównie na głędzeniu, mają jednak rację, że od słów do czynów bywa nie tak daleko. Czy sami są aż tak tolerancyjni jak to deklarują? Jest jednak istotne, że w ich słowach wyczuwa się walkę

o własną tolerancję, że to właśnie pytanie wywołało wiele emocji.

Trudno jest mierzyć otwartość i liberalizm, ale mam wrażenie, że odpowiedzi uczniów z Kielc przewyższają warszawskie elitarne licea w sferze myślenia, które możemy nazwać otwartym i liberalnym. Uczniowie z małych ośrodków są może nieco bardziej zróżnicowani w stosunku do instytucji Kościoła, ale oni też w zdecydowanej większości Kościół krytykują, krytyka tam bywa nawet ostrzejsza, bo opiera się o fakty, które uczniowie przytaczają.

Gdyby wśród młodzieży zrobić referendum w sprawie aborcji, przegłosowałoby dużą większością głosów ustawę dopuszczającą przerywanie ciąży, z licznymi jednak jej ograniczeniami. Zdecydowanie opowiedzieliby się za karą śmierci.

W odpowiedziach młodzieży trzeźwość sądu nie zmienia się na ogół w cynizm: „Nikt nie wybiera sobie czasów, w których będzie żył, cieszę się, że Polska się rozwija, że możemy się normalnie uczyć, pracować...” – pisze trzeźwo uczennica z Reytana. Można mówić o braku wielkiej emocji, ideologii, jakiejś wizji w świecie młodego pokolenia. Królują rozsądny sceptycyzm. Ogromna większość uczniów deklaruje się jako wierząca, ale siła religii chyba zbladła i bez wahania można powiedzieć, że ogromnie podupadł autorytet Kościoła. Wydaje się, że świat młodego pokolenia jest bardziej kolorowy niż pokoleń dawnych, ale gdy patrzy się w głąb, czy nie traci barw i głębi?

Uczniowie bywają niekonsekwentni, ale te niekonsekwencje zwykle konsekwentnie się powtarzają i są zrozumiałe. Trudno być konsekwentnym gdy nie ma się jednej wizji świata, życia społecznego, polityki. Uczniowie zdają się widzieć jak groźna była w przeszłości jedna wizja i jedna ideologia. Są więc w jakimś sensie bardziej dojrzałi niż ich poprzednicy, ale za brak naiwności też płaci się pewną cenę. Ich świat jest mniej zrozumiały i bywa bardziej smutny, może dlatego rozjaśniają go iskrą ironii. Ich sceptycyzm nie jest obojętnością, raczej wynikiem braku złudzeń.

Z naszej ankiety wyłonił się obraz jednorodny i spójny. To jednak jest nowa generacja. Można powiedzieć, że dziewczęta i chłopcy z bardzo różnych szkół i z różnych części

kraju myślą uderzająco podobnie. I wydaje się, że polska młodzież upodabnia się pod wieloma względami do młodzieży w USA i w krajach Europy Zachodniej. Różni ją chyba większy idealizm, i są wyraźne skrawki myślenia romantycznego, jeszcze nie przetrawionego przez komercję.

Duża ilość przeprowadzonych przez nas ankiet, a jest ich kilkaset, rozmaitość szkół, nasza pewność, że były pisane uczciwie, pozwalają nam jednak uwierzyć, że wstępuje w życie nowe pokolenie, o wiele bardziej liberalne od pokoleń poprzednich. Obraz jest tak sympatyczny i w sumie optymistyczny, że każe mi go zabarwić odrobiną sceptycyzmu. Czy uda się młodym ocalić swoje ideały, skoro nie mają one wyraźnego kształtu i twardej skorupy? Skoro nie ma w nich żarliwości i buntu? Jak działać będzie na nich czas? Jak starzeć się będą ich poglądy? Czy nie przemielą ich młyny komercji, nie zdeprawuje siła przyciągania pieniądza?

Trzeba jednak powiedzieć, że jednoznaczność i siła wypowiedzenia się za wartościami liberalnymi, każą myśleć, że mamy do czynienia ze zjawiskiem autentycznej i głębokiej zmiany myślenia najmłodszej generacji i nowego patrzenia na świat, wedle idei: niech w ramach naszego świata każdy ma swój własny indywidualny świat, byle innym nie robić krzywdy.

Może niepokoić pewien brak entuzjazmu młodzieży wobec życia. Młodzi są też poza ideologią, ale co im zaproponowano? Powszechnie deklarują się jako wierzący katolicy, ale wydaje się, że rzadko ich wiara jest aktywna i głęboka, łatwo im więc krytykować instytucję Kościoła.

Wydaje się, że dzisiaj różnice pokoleniowe nie powodują konfliktów. Oni zastali świat, o którym wiedzą, że jest niedoskonały, ale też wiedzą, że bardzo trudno go naprawić, być może jest to niemożliwe. Dlatego jeśli z czymś się nie zgadzają, to zwykle nie buntują się a tylko „olewają”. A przecież ten świat nowy, świat, którego nie wybrali, co lubią podkreślać, jest kształtowany coraz częściej przez młodych i dla młodych, nic dziwnego, że czują się pewniej w cywilizacji technicznej niż ich rodzice. Ale czy czują się pewnie w świecie, którego sens nie wydaje się oczywisty?

Tomasz JASTRUN

Widziane z Brukseli

ŻYCIE ZACZYNA SIĘ PO PIĘĆDZIESIĄTCE

1. CZY MOŻE BYĆ „ŚNIADANIE NA MOKREJ TRAWIE?”

Może. Murawa przed Białym Domem była jak gąbka. Tryskała wodą. Z nieba lało jak z cebra. Z czoła pracowników protokołu Białego Domu w Waszyngtonie także. Był 22 kwietnia 1993, dzień otwarcia Muzeum Holocaustu w stolicy USA. Podobnej inwazji szefów państw i rządów (mających związek z drugą wojną światową), a w tym prawdziwej parady polityków z Europy po-komunistycznej, Białe Domy nie przeżył od dnia pogrzebu prezydenta Kennedy'ego. Każdy z gości domagał się i spodziewał oddzielnego spotkania no i naturalnie, fotografii z prezydentem Clintonem. Porządek dnia Clintona już liczył 10 stron papieru formatu A4. Trzeba więc było znaleźć jakieś wyjście. Inaczej skandal murowany. Znalaziono: audiencja grupowa, w trakcie której każdy dostojnik będzie miał kilka minut na „w cztery oczy” i zdjęcie z Clintonem.

To jest wersja oficjalna. Nieoficjalnie, dyskretnie, tak aby nikogo nie obrazić, Clinton spotkał się oddzielnie i po kolei z prezydentami Polski, Czech i Węgier: Wałęsą, z Havlem i Goenczem. Po tej serii Clinton zmienił pogląd na świat. Cała prezydencka środkowoeuropejska trójka powiedziała mu bowiem, każdy oddzielnie, ale to samo: Stany Zjednoczone powinny doprowadzić do objęcia ich krajów gwarancjami

NATO. Leży to bowiem w interesie tych krajów, Stanów Zjednoczonych i NATO. No i Clinton rozszerzył.

Taka jest legenda. Czy tak było naprawdę, tylko historia powie. Ale nawet jeżeli to nie jest cała prawda, to niektóre elementy się zgadzają. I, przede wszystkim, zgadza się wynik.

Zaczął się wcześniej. Już w 1991 roku, po rozpadzie ZSSR, stratedzy z NATO doszli do wniosku, że bezpieczeństwo sojuszu jest zagrożone nie tyle otwartą agresją na terytorium jednego z jego członków, co skutkami destabilizacji w wyniku trudności gospodarczych, politycznych i społecznych, a także sporów etnicznych, w krajach Europy Środkowej. Nazywał się ten wniosek „Koncept strategiczny 1991”. Wychodził, nie wspominając o tym, z założenia, że to właśnie tego typu destabilizacje wywołały dwie wojny światowe w Europie w ciągu pół wieku, nie mówiąc już o narodzinach dwóch najbardziej krwawych dyktatur w historii świata. Jak na jeden wiek i jeden kontynent wystarczy – powiedzieli „konceptyjni stratedzy 1991” i przystąpili do opracowywania planów zapewniających uniknięcie recydywy.

Pomysł nie był nowy. Sojusz już nieraz się rozszerzał. W 1952 roku wchłonął Grecję i Turcję, w 1955 roku Niemcy (zachodnie), w 1982 – Hiszpanię. Za każdym razem, rozszerzenie było ratyfikowane przez parlamenty narodowe bez przeszkód, sporą większością głosów. Żaden kandydat nie został odrzucony. Nie było kontrowersji. Panował, za każdym razem, zgodny pogląd, że rozszerzenie NATO wzmacnia sojusz w zimnej wojnie z ZSSR.

Po 1991 roku powstało pytanie czy ta sama operacja, ale po zimnej wojnie, jest możliwa i pożądana, czy wzmocni, a nie osłabi sojuszu atlantyckiego? Wstępna odpowiedź była pozytywna. Dalsza akcja rozwijała się jak w dobrym scenariuszu. Poszczególne etapy są znane. W 1994 roku, rok po „śniadaniu na mokrej trawie” w Białym Domu, szczyt NATO powołał „Program dla Pokoju”, coś w rodzaju (bardzo nieufnie przyjętej) poczekalni przed rozszerzeniem, wstępnej fazy „dotykania” kandydatów, egzaminu ich dojrzałości z trzech m.in. zasadniczych przedmiotów: demokracji, wolnego rynku, cywilnej kontroli nad wojskiem. NATO, które postanowiło działać bardzo ostrożnie, dało sobie przy tym rok na dodatkowe studia.

Nie warto wracać do szczegółów, wszystko to jest już w podręcznikach. Warto tylko przypomnieć waleczny epizod spotkania Wałęsy z Jelcynem, jesienią 1993 roku w Warszawie (a raczej w Magdalence). Wielka historia szczegóły tego spotkania wstydliwie przemilcza, ale wiadomo w jaki sposób Wałęsa skłonił Jelcyna do uznania prawa Polski do wyboru sojuszników. *Kultura* miała wtedy i ciągle ma wątpliwości czy Wałęsa, prezydent suwerennego państwa, powinien był prosić prezydenta innego suwerennego państwa o zgodę na wybór partnera czy sojusz, ale w końcu, nie licząc wypitego alkoholu (taka jest specyfika regionu), wielkiej szkody nie było, a sprawa rozszerzenia NATO na pewno zyskała na dynamizmie. I choć Jelcyn, po otrzeźwieniu, zgodę Rosji na rozszerzenie NATO odwołał, to sprawa ta właściwie już nigdy potem z porządku dziennego nie zeszła.

Cztery lata później, mapa Europy się zmieniła. Na lepsze. Postaram się udowodnić, że dla wszystkich.

II. CZY NATO MOGŁO NIE BYĆ?

Mogło. Mogło być zupełnie inaczej. Wprost przeciwnie. Jeszcze niedawno nie tylko rozszerzenie, ale samo trwanie NATO, nie było dla wszystkich oczywiste.

Wojskowe sojusze, wiadomo, rodzą się w obliczu wspólnego zewnętrznego zagrożenia. I, normalnie biorąc, powinny umrzeć kiedy zwyciężają. Niknie bowiem cement jaki spaja członków sojuszu w obliczu wspólnego wroga.

Tak było zawsze, najbardziej dramatyczny przykład to sojusz USA-ZSSR, który nie przeżył zwycięstwa nad Hitlerem. Odwrotnie, trzy lata po wspólnym zwycięstwie, USA i ZSSR stały się rywalami, a nawet (wydawać się mogło, że śmiertelnymi) wrogami.

NATO powstało, to nie rewelacja, dla sprostania groźbie ekspansji sowieckiej. W 1991 groźba sowiecka się rozwiązała (niektórzy eksperci twierdzą, że nigdy nie istniała). W ciągu, historycznie biorąc, bardzo krótkiego czasu, rozpadł się ZSSR, Pakt Warszawski, wojska sowieckie ewakuowały się z Europy Środkowej, a także, w zasadniczym stopniu, z krajów bałtyckich.

Stary nasz znajomy, doradca kilku ostatnich genseków na

Kremlu, Georgij Arbatow, uprzedził Amerykanów: „My wam zrobimy kawał, my was pozbawimy wroga”. I zrobił. Kawał się udał. Rosja cofnęła się do granic sprzed 300 lat. Zabrakło wroga.

Otóż Arbatow nie był sam. Pewna liczba obserwatorów, także zachodnich (na nich zawsze liczyć można) była zdania, że wraz z zimną wojną i rozkładem Paktu Warszawskiego, powinien się skończyć i rozłożyć Pakt Atlantycki. Przecież, powiadali eksperci, nawet jeżeli formalnie sojusz nie zniknie, to po utracie wroga, pozostanie z NATO pusta muszla, coś w rodzaju rozległej, mało precyzyjnej, właściwie niepotrzebnej, ale za to kosztownej strefy wzajemnej adoracji.

Ale, tak jak u Twaina, wiadomości o śmierci NATO okazały się przedwczesne. Co więcej: sojusz nie tylko odmówił zejścia, ale, jak wiemy, odwrotnie, zaczął się rozwijać.

Naturalnie, priorytety i akcenty się zmieniły. Więż i poczucie solidarności osłabły, egoizm poszczególnych państw zajął miejsce uprzedniej koalicji kolektywnego strachu, ale sojusz poszedł naprzód. Jego strategiczna doktryna została zmodernizowana, dostosowana do nowych warunków. Najważniejsze: jego zintegrowana struktura wojskowa została utrzymana, a jego infrastruktura była stale unowocześniana. Krótko mówiąc, po przeżyciu utraty wroga, NATO przeżył drugi kolejny najbardziej niebezpieczny moment w życiu każdego sojuszu: początek (do końca daleko) reformy wewnętrznej funkcjonowania.

Jeden z bardzo ostrych krytyków rozszerzenia NATO chciał być dowcipny i złośliwy i zauważył, że rozlatujące się małżeństwo można ratować w dwojaki sposób. Można albo pójść do psychologa, specjalisty od spraw harmonii małżeńskiej, albo ratować się ucieczką do przodu, czyli splodzić dziecko, a nawet kilka. Wbrew sobie, krytyk miał rację, NATO jest w ciąży i wszystko wskazuje, że będzie to miało dobry wpływ na szczęście małżeńskie.

III. CZY MOŻE BYĆ SOJUSZ BEZ WROGA?

Nie. Nie może. Dlaczego więc NATO przetrwało mimo utraty wroga. Albowiem wcale go nie utraciło. Zmieniło.

I też niezupełnie. Jak się mianowicie okazało (w istocie to nie była niespodzianka), ZSSR, który z uwagi na swoją siłę rażenia i uszkodzenia, pokrywał, w percepcji Zachodu, cały horyzont zagrożeń, nie wyczerpywał w istocie listy strachów. Autentycznych. Istnieją inne źródła niepokoju. Wystarczy skromny remanent (kolejność jest przypadkowa, ktoś inny mógłby ustalić inną, bogatszą zapewne listę):

– Bośnia. Bez NATO Europa sobie poradzić nie mogła. Woląta *Yankie go home, this is our bussines*, ale gdyby nie NATO to wojna trwałaby do dziś, gdyby naturalnie starczyło jeszcze muzułmańskich Bośniaków do mordowania. Inne Bośnie są ciągle jeszcze możliwe. Albania już była w drodze i też już by zginęła gdyby nie NATO (głównie Włosi, ale...). Czy trzeba przypominać, odpukać, Kosowo? Macedonię? Wszystko to (efekt domina!), w sąsiedztwie dwóch państw NATO?

– Groźba proliferencji nuklearnej i chemicznej: legalnej (np. Korea Północna, lub też dostawy Rosji dla Iranu) i nielegalnej: coraz szerszy czarny rynek materiałów rozszczepialnych.

– Fundamentalizm muzułmański i arabski (w chwili pisania tych słów odnaleziono cały arsenał w Brooklynie, który miał wysadzać poszczególne stacje metra nowojorskiego).

– Terroryzm, narkotyki i generalnie biorąc, wszystkie inne przejawy internacjonalizacji przestępczości, pląg z którymi poszczególne państwa oddzielnie albo poradzić sobie same nie potrafiłyby albo byłoby to znacznie trudniejsze i droższe.

– Przede wszystkim jednak, choć w dyplomacji woli się to dyskretnie przemilczać, panuje niepokój wokół ciągle możliwej destabilizacji Rosji. Nikt sobie nie może pozwolić na lekceważenie tej ewentualności. Porozummy się: groźba masywnego uderzenia ze strony Rosji już (niektórzy twierdzą „na razie”) nie istnieje. Ale Rosja, mocarstwo atomowe i największa armia na kontynencie, to kolosalny kraj w konwulsjach, przechodzi kilka transformacji równocześnie; polityczną – od dyktatury do demokracji, ekonomiczną – od gospłanu do gospodarki rynkowej, ustrojową – od monopartii do pluralizmu, międzynarodową – od imperializmu do partnerstwa, psychologiczną – od kultu siły i wodza do tolerancji

i poszanowania prawa, cywilizacyjną – od niewolniczego czekania na rozkaz z góry do poczucia odpowiedzialności za podejmowane decyzje, kulturalną – od cenzury do wolności słowa, no i najtrudniejszą, rewolucję w mentalności ludzi – od kompleksu niewolnika do poczucia wspólnoty społeczeństwa obywatelskiego.

Otóż, dopóki jest Borys Jelcyn i są Czubajs, Niemcow i ich ekipa, reguły gry są mniej więcej znane i, przy wszystkich zdarzających się potknięciach, w zasadzie szanowane. Rosja Jelcyna, ta która podpisała „Akt” paryski z NATO i wykluczyła użycie siły w stosunkach ze światem, nie jawi się jako źródło fizycznego zagrożenia. Nikt jednak nie wie co będzie po Jelcynie albo zamiast niego.

Inaczej mówiąc, niepewność co do przyszłego rozwoju Rosji nie pozwala strategom na założenie, że nigdy już Rosja nie użyje swej potęgi w celach Zachodowi wrogich, lub choćby sprzecznych z jego interesami. Że nigdy już Zachód nie będzie narażony na szantaż ze strony Rosji. Bez uprawiania propagandy strachu, czy wyolbrzymiania drugorzędnych epizodów, ludziom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Zachodu nie wolno zapominać o rozstrzelaniu parlamentu rosyjskiego w październiku 1993 r., o sukcesach nacjonalistów i komunistów w wyborach do Dumy, o bezsensownej i brutalnej wyprawie na Czeczenię, o kwestionowaniu niepodległości Ukrainy, szantażu wobec Bałtów, „strategicznym partnerstwie” z Chinami, itd. itp.

Tu nie chodzi o pesymistyczną tendencję pamięci. Wszystkie te epizody mogły mieć reperkusje międzynarodowe. Tylko istnienie NATO pozwala albo zażegnać groźbę, albo, w nieco gorszym scenariuszu, bezpiecznie pozostać na uboczu.

IV. CZY MOŻE BYĆ SOJUSZ BEZ PRZYJACIOŁ?

Nie. Nie może. Dlatego ma. Drugi powód przżycia NATO ma charakter wewnętrzny. NATO było i jest zasadniczym, niezastąpionym czynnikiem pojednania byłych wrogów, a dziś sojuszników, przede wszystkim Niemiec i Francji, jest gwarantem stabilizacji wewnętrznej sojuszu, sprawia, iż

konflikt z użyciem siły między jego członkami jest niewyobrażalny. Turcja i Grecja już by do siebie dawno strzelały gdyby nie ich obecność w NATO.

NATO sprawia także, że nikt się dziś nie obawia nawrotu idei totalitarnych w Niemczech. Nikt przytomny nie wątpi dziś w przywiązanie Niemców do demokracji. Ale naturalnie nikt przytomny nie uważa, że sytuacja polityczna, a zwłaszcza geopolityczna, są wieczne i że skromność i umiar na zawsze pozostaną niemiecką specjalnością. Niemcy są dziś jedną z największych potęg gospodarczych świata i największą potęgą w Europie. Zjednoczenie, zrazu kosztowne, stanie się w końcu, już właściwie jest, źródłem wzmocnienia Niemiec. Trudno sądzić, że taka potęga gospodarcza i demograficzna nie zrodzi odpowiednich aspiracji politycznych. Tylko w ramach NATO (a także, to jasne, w ramach Unii Europejskiej, ale to inny temat), potęga niemiecka jest pod kontrolą, nie stanowi groźby ani dla przeciwników politycznych, ani dla... sojuszników.

Niemcy poza NATO byłyby źródłem troski wszystkich innych państw w Europie (o Polsce wspominać nie trzeba). Jeżeli gaulistowska Francja rozpoczęła, zygzakami, ale jednak, zbliżenie z NATO, to, nie ma co ukrywać, stało się tak także dlatego, że w pojęciu Francji tylko mocna integracja pozwoli na skuteczną kontrolę potęgi niemieckiej.

Krótko mówiąc, im bardziej NATO przesuwają się na wschód, tym bardziej Niemcy przesuwają się na zachód, ku środkowi Europy. Geopolityka, jak mawiał Stalin, nie jest nauką ścisłą, ale Europa dziś śpi spokojniej niż kiedykolwiek. Równanie jest jasne: im bardziej Niemcy są europejskie, tym mniej Europa jest niemiecka.

Trzeba zresztą powiedzieć, że sami Niemcy rozumieją ten aspekt, że są (sceptycy mówią, że na razie, bo tak im wygodniej) zwolennikami jak najdalej posuniętej integracji, m.in. ze względu na ich własny *image* jako państwa pokojowego, oddającego swą potęgę, no powiedzmy jej część, w służbę międzynarodowej wspólnoty.

V. CZY MOŻE BYĆ ŚWIAT BEZ NATO?

Może. Teoretycznie biorąc, OBWE (wyrośła z konferencji w Helsinkach w 1975 roku Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie) czy UZE (Unia Zachodnioeuropejska, w zasadzie załączek zbrojnego ramienia Unii Europejskiej), są czy mogłyby być zdolne do zastąpienia NATO w roli gwaranta bezpieczeństwa. W rzeczywistości jednak, żadna z nich do tej roli nie dojrzała.

a) OBWE ma, to niewątpliwe, poważny urok i zalety. Grupuje wszakże wszystkie kraje europejskie, a nawet posowieckie z Azji, wszyscy mają równe prawa, nie ma członków drugiej klasy i każdy ma prawo sądzić, że jego interesy będą mogły być uczciwie przedstawione i skutecznie bronię.

Ale to teoria. OBWE jest za duża, sparaliżowana jest zasadą *consensusu*, która w warunkach równości 56 państw członkowskich sprowadza wszystkie decyzje do najmniejszego, czyli właściwie żadnego, wspólnego mianownika. Chodzi przecież o decyzje odpowiadające interesom wszystkich członków, których czasem dzielą zupełnie zasadnicze różnice. Kiedyś Malta była w stanie paraliżować całość. Niedawno, z powodu konfliktu z Armenią o Karabach, Azerbejdżan szantażował storpedowaniem szczytu w Lizbonie, czego *in extremis* udało się uniknąć tylko drogą zawstydzających wygibasów formalnych.

W Albanii firma OBWE przydała się dla nadania misji Vranickiego atrybutów legalności, ale bez interwencji wojskowej Zachodu, głównie Włoch i infrastruktury NATO, żaden byłby kanclerz austriacki niczego by nie zdziałał.

W byłej Jugosławii OBWE (ani żadna inna organizacja poza NATO), nie potrafiła odegrać poważniejszej roli, nie była zdolna do akcji w tego typu skomplikowanym (ani to wojna domowa, ani wojna międzynarodowa) konflikcie. Niektóre pomysły ocierały się nawet o próg śmieszności. Wystarczy przywołać przykład owych słynnych ewangelicznych „trójek” jakie Europa wysyłała na teren najbardziej zapiekłych nienawiści etnicznych w Europie czy też słynnych „łodziarzy” (nazwanych tak z powodu ich białych unifor-

mów), to znaczy bezbronnych obserwatorów europejskich, którym kazano unieszkodliwić pierwszych od czasów Hitlera autorów ludobójstwa w Europie.

Tylko wojskowa interwencja NATO (pierwsza w historii sojuszu) najpierw zmusiła walczące strony do przerwania działań zbrojnych, a potem za pośrednictwem USA i tego co krytycy nie wahają się nazwać dyktatem Hallbrooka narzucił pokój wymyślony w Dayton.

Można wątpić w trwałość tak negocjowanego pokoju i takiego jak w Dayton, uregulowania kwestii bośniackiej, ale bez NATO wojna by jeszcze trwała i to z udziałem coraz większej liczby stron wojujących i coraz większego okrucieństwa.

b) UZE kiedyś może dojdzie do stanu działania, w imię którego została powołana do życia, kiedyś może stanie się podstawą istnienia zintegrowanych sił wojskowych Europy, ale na razie, można tego żałować, ale taka jest prawda, nic nie wskazuje aby była to perspektywa historycznie bliska. Bardzo ograniczony, i jest to eufemizm, postęp w narodzinach europejskiej wspólnej polityki obronnej i zagranicznej, nakazują daleko posunięty sceptycyzm. Prywatnie przy tym, odpowiedzialni politycy europejscy, którzy zgodni co do konieczności utrzymania jak najsilniejszego NATO, są zdania, że nie należy forsować i nadymać sztucznie UZE bo osłabi to NATO. NATO (głównie dzięki USA), dysponuje bowiem możliwościami technologicznymi niedostępnymi dla większości państw członkowskich, takich jak systemy wczesnego ostrzeżenia, samoloty AWACs czy zintegrowany system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. USA dysponują także wojskową technologią, której nie wszystkie detale są znane europejskim sojusznikom. Dla UZE, a więc bez USA, operacje *out of area* byłyby znacznie trudniejsze, bardziej kosztowne, jeżeli w ogóle możliwe.

Wielu z nas nie zawsze aprobuje (kiedy się nas ktoś o to pyta) politycznych celów USA lub sposobów ich realizacji. Ale nie trzeba ukrywać, że USA to jedyne państwo zdolne do podjęcia się politycznego i logistycznego przywództwa tego co się nazywało kiedyś wolnym światem demokracji. Są czymś w rodzaju logicznego lidera, bez którego, nie zawierajmy sobie głowy, ewentualne akcje zbiorowe w obliczu jakiegoś

niebezpieczeństwa, byłyby znacznie trudniejsze, a właściwie w ogóle niemożliwe.

Do tego dochodzą czynniki, nazwijmy je, psychologiczne. Kraje członkowskie NATO mają cały szereg wspólnych interesów, ale zachodzą między nimi czasem także poważne różnice. W warunkach kiedy wszystkie one włączone są w szalenie skomplikowaną sieć najróżniejszych procesów międzynarodowych, kiedy technologia sprawia, że informacje kursują z szybkością światła, zachodzi ryzyko nieporozumienia, niezrozumienia cudzych intencji, przerysowania wagi konfliktu, nie uzasadnionego zaostrzenia sporu. NATO jest tą organizacją, która pozwala tego ryzyka uniknąć. Tutaj znane są – w zasadzie – prawdziwe układy i prawdziwe intencje. Tutaj prowadzone są konsultacje i następuje wyhamowanie być może groźnej dynamiki sporu i wyjaśnienie jego okoliczności. To w NATO następuje to, co fachowcy nazywają „denacjonalizacją” polityki bezpieczeństwa, rodzi się wspólna *identity* natowska.

Nie należy przy tym wstydliwie pomijać aspektu finansowego: to obecność USA w Europie pozwala członkom NATO na poważną redukcję ich wysiłku wojskowego. Belgia np., można tak powiedzieć, już w ogóle nie ma własnych, narodowych sił wojskowych.

Otóż, tylko NATO jest gwarantem obecności USA w Europie. Odwracając to stwierdzenie można powiedzieć, że główna słabość UZE polega na tym, że w żadnym stopniu nie gwarantuje zaangażowania się USA w obronę bezpieczeństwa Europy, co naturalnie usuwa w cień jej nieliczne zalety. Mówiąc brutalnie, powstanie skutecznie funkcjonującego wojskowego apartau UZE wzmocniłoby izolacjonizm amerykański, a co najmniej ułatwiłoby akcję i argumentację zwolenników izolacjonizmu.

Już dziś liczba żołnierzy amerykańskich w Europie (100.000) spadła o dwie trzecie (wynosi dziś 7% sił zbrojnych USA wobec 15% w latach 80-tych) i choć strategicznie biorąc dziś ten poziom wydaje się wystarczający, nie można, choćby z powodu budżetowych trudności Waszyngtonu, wykluczyć nowych redukcji. Amerykanie nie są filantropami, choć oni sami często tak myślą, ich obecność w Europie służy także politycznym i gospodarczym (inwestycje), to znaczy w sumie

globalnym interesom superpotęgi pod nazwą USA. Ale służy także najlepiej pojętym interesom Europy. USA już dwa razy w tym wieku zostały wrzucone w wojnę w Europie. Nikt nie pragnie nowej światówki, ale gdyby miało do czegoś w tym rodzaju jednak, broń Boże, dojść, to bez USA Europa, nie trzeba tego udowodniać, byłaby właściwie bezbronna.

NATO kiedyś zapewne zniknie, stanie się anachronicznym zabytkiem, rozmyje się w czymś innym, miejmy nadzieję, lepszym projekcie. Wraz z ogólnym, bolesnym, ale widocznym, postępowaniem integracji Europy, powstaną nowe formy współdziałania kontynentalnego, być może także w strefie bezpieczeństwa. Na razie jednak, choć jest już po zimnej wojnie, kiedy coś przeszkadza spokojnie spać, to się ciągle puka do drzwi NATO. Dopóki dzień nirwany nie nadejdzie, na pogrzeb NATO jest za wcześnie.

Co świetnie rozumieją kraje spoza NATO. Trzy z nich już są w przedsiönku starego, niepozornego kompleksu budynków na brukselskim przedmieściu Evere. Inne czekają w ogonku na zewnątrz.

VI. CZY WARTO SIĘ PCHAĆ DO NATO?

Warto. Kandydatom nie trzeba się dziwić. Kraje byłego Paktu Warszawskiego chciałyby wszystkiego naraz: i bezpieczeństwa (NATO) i dobrobytu (UE). Jeżeli jednak dążenie do dobrobytu (to nie program na jutro i nie za darmo, ale to inny temat) było powszechnie zrozumiałe i, choć bez entuzjazmu, na Zachodzie akceptowane, to wielu, na tym samym Zachodzie, nie rozumiało dlaczego „po sezonie”, to znaczy po zimnej wojnie i rozpadzie ZSSR, państwa Europy Wschodniej i Środkowej uważają, że nie tylko ich dobrobyt, ale także ich bezpieczeństwo zależy od wejścia w struktury zachodnie, w tym przypadku do NATO. Odpowiedzi jest kilka, wybrałem trzy przykłady, lista jest zapewne niepełna:

1) Psychologia

Państwa, zwłaszcza niektóre, byłej strefy sowieckiej, postanowiły natychmiast po śmierci ZSSR, zrobić wszystko

aby uniemożliwić na przyszłość automatyczne wpisywanie ich w geopolityczną, ale i psychologiczną kategorię „Wschodu”, utożsamianego z zacofaniem, biedą, zniewoleniem, antycywilizacją. Nie było im trudno wykazać, że imperium sowieckie to był taki dziwny twór gdzie metropolia była biedniejsza i bardziej zacofana niż kolonie czy satelici. Polacy, Czesi czy Węgrzy i Bałtowie, łatwo mogli udowodnić, że kiedy oni mieli już uniwersytety (i to niektóre znane na świecie), Rosja była jeszcze w jarzmie Mongołów. Bułgarzy nie krępowali się w przypominaniu, że to od nich Rosja wzięła alfabet i chrześcijaństwo, Rumunia powoływała się na łacińskie korzenie ich języka. Czesi dobijali sceptyków wykazując, że Praga leży na zachód od Wiednia.

2) Historia

Nikt na dawnym „Wschodzie” nie zapomniał lat sowieckiej dominacji, a wiele narodów ma zakodowane w świadomości doświadczenia dominacji jeszcze carskiej. Kiedy Zachód z podziwem i sympatią (oba uzasadnione) śledził losy Gorbaczowa, Jelcyna i rosyjskich reform i oskarżał niespokojne państwa Europy po-sowieckiej o katastrofizm, antyrosyjskość, szowinizm etc., były „Wschód”, od Tallina po Sofię, miał ciągle w pamięci i w wyobraźni, ciężar imperium rosyjskiego. W percepcji narodów Europy Środkowej i Wschodniej nie ma w zasadzie różnicy między imperialnym zjawiskiem sowieckim a rosyjskim. Można się z tą koncepcją nie zgadzać, ale faktem jest, że dla byłych kolonii, bolszewizm był tylko jedną z form przejawiania się imperializmu rosyjskiego, dobrze im znanego, bo z autopsji. Chodzi tu bowiem o kraje, państwa i społeczeństwa o starej tradycji, historii i kulturze, które zostały, i to nieraz przez wieki, poddane ostrej indoktrynacji i dominacji, i bardzo negatywnym, jeżeli nie wprost destrukcyjnym, wpływom potęgi i interesów Rosji.

Naturalnie, jak wiemy, niektóre kolonie (np. właśnie Polska), o wyższym standardzie kulturalnym i cywilizacyjnym niż Moskwa, potrafiły, i to skutecznie, tym wpływom do pewnego stopnia się opierać, ale przecież do dziś jeszcze, po wielu latach od otwarcia sowieckiej lodówki, państwa te

muszą przewycięzać, i to wielkim kosztem, bilans rujnącej i destabilizującej, kulturalnej i gospodarczej sowieckorosyjskiej dominacji.

Są, jak zawsze, wyjątki. Albańczycy byli po prostu izolowani. Słowacy i Chorwaci byli pod ochroną, można powiedzieć, najpierw Austro-Węgier, a potem schizmatyka Tito. Serbowie i Bułgarzy mają do Rosji stosunek odmienny: nie zapominają, że to Moskwa wyzwoliła ich prawosławne społeczeństwa z ucisku imperium otomańskiego.

Nie zmienia to jednak właściwie konsensusu co do dwóch założeń. Po pierwsze, że demokracja w Rosji nie stanowi zjawiska o gwarantowanej przyszłości. Dla niektórych na Zachodzie, rozpędzenie kulomiotem parlamentu było perypetią, chwilowym odstępstwem od normy, nadzwyczajnym i niesympatycznym, ale jedynym w ówczesnych warunkach sposobem rozwiązywania sporu demokracji Jelcyna z anachronicznym, antydemokratycznym sowieckim jeszcze sowietem. Ale dla Europy posowieckiej normalne w Rosji było właśnie strzelanie do sowietu, pokojowe załatwienie sporu byłoby niespodzianką.

Po drugie, że, jak uczy doświadczenie, nie tylko zawsze możliwe jest odrodzenie tendencji imperialnych w Rosji, ale że wcale jeszcze one nie znikły. Zwolennikom tego rozumowania nie jest trudno je uzasadnić. I tak np. dla Zachodu ekspedycja czeczeńska była wewnętrzną sprawą Rosji, a Czeczeńcy winni byli pogwałcenia zasad nienaruszalności terytorium Rosji. Dla krajów byłego bloku sowieckiego, wojna w Czeczenii była dowodem na trwałość nie tylko odwiecznych tendencji imperialnych w Rosji, ale także na ciągłość brutalnych metod rozstrzygania tego rodzaju sporów. Dla Zachodu wypowiedzi Żyrynowskiego to majaczenie demonta. Dla Europy „porwanej”, jak mówił Kundera, to ostrzeżenia, których lekceważenie może mieć tragiczne skutki. Dla Zachodu deklaracja Dumy uznająca rozwiązanie ZSSR za niebyłe, to polityczna fantastyka, dla tej Europy, która miała okazję poznać ZSSR, to jądro tęsknoty Rosjan.

Doradca Jelcyna, Riurikow, powiedział (tak jak Michelet o...Belgii), że Ukraina to państwo prowizoryczne. Aleksiej Podbieriozkin, przywódca ruchu o poetyckiej nazwie „Duchowe dziedzictwo” powiedział: „Rosja stanowi imperium.

Rosja nie może istnieć w żadnej innej postaci. Takie jest jej historyczne przeznaczenie”. To że Podbieriozkin, znany z mętniactwa, to powiedział, to pół biedy. To, że nikt poważny się od tego, jak zresztą i od Riurikowa, nie odciął, powinno być traktowane bardziej na serio.

Państwa, które, tak jak Bałowie, nie z własnej winy, „gościć” muszą spore mniejszości rosyjskie, mają jeszcze inne powody do troski. U Bałtów, na Ukrainie i w Mołdawii, etniczni Rosjanie uprawnieni do głosowania do Dumy w Moskwie, masowo oddawali swe głosy na kandydatów nacjonalistycznych i komunistycznych.

Zgodnie z tym podwójnym założeniem, choć rzadko się o tym otwarcie mówi, integracja z NATO stanowi dla wielu krajów jedyny skuteczny środek odstraszenia Rosji, a ekspansja NATO na wschód najlepszy sposób zapobieżenia nowej ekspansji Rosji na zachód.

3) *Moralność*

Jest to argument delikatny, nie dla każdego zrozumiały i nie dla każdego, zwłaszcza na Zachodzie, przekonujący. Pojęcie moralności czy, precyzyjniej, długu moralnego, nie jest kategorią polityczną. W tym wypadku jednak warto się nad nim chwilę zatrzymać.

Nikt nie kwestionuje faktu, że kraje Europy Wschodniej i Środkowej zostały opanowane przez ZSSR siłą i podstępem, że ich podbój pozostał przez prawie pół wieku symbolem sowieckiej wersji Jałty i że, w tym sensie, to one zapłaciły (wystarczy przypomnieć epizod z planem Marshalla) za dobrobyt Zachodu.

Nikt też nie kwestionuje faktu, że zimną wojnę wygrał przede wszystkim wojskowy wysiłek USA i NATO (rakiety i wojna gwiezdna) oraz ofiarność Zachodu, co sprawiło, że wszelki wyścig zbrojeń stał się dla ZSSR nie do wygrania ani nawet do wytrzymania.

Nikt nie kwestionuje także zasług Gorbaczowa, który w historii zostanie nie za wolę zaplanowanej likwidacji państwa sowieckiego, bo on nigdy takich intencji nie miał, a za to że zrozumiał, iż nie dysponuje siłą zdolną do uratowania syste-

mu i że, poza epizodami w Wilnie czy w Baku, nie próbował zawrócić historii siłą.

Ale nikt też nie powinien kwestionować faktu, że to dzięki przede wszystkim opozycji polskiej (co nie znaczy, że należy lekceważyć inne ruchy oporu), udało się wymusić pokojowe zakończenie zimnej wojny, umożliwić pokojowe, a nie gwałtowne, przekazanie władzy przez komunistów w ręce demokratów. Że, inaczej mówiąc, to dzięki takiej ewolucji, Zachód wygrał zimną wojnę bez gwałtu, bez, właściwie, jednego strzału, najtańszym możliwie kosztem.

Otóż, to na podstawie takiej analizy, kraje posowieckie postanowiły wystawić Zachodowi rachunek. Nic wielkiego, żadne rewindykacje, po prostu tylko otwarcie drzwi na Zachód, który zmuszone były opuścić na skutek sowieckiej przemocy. Po to aby, ich zdaniem, taka sowiecka wersja Jałty nie mogła się już nigdy powtórzyć, kraje te postanowiły wejść do tych struktur zachodnich, które *a priori* podobną operację wykluczają. I zapukały do drzwi NATO.

VII. CZY MOŻNA O TYM MÓWIĆ BEZ HIPOKRYZJI?

Można. Trzeba spróbować. Bądźmy poważni, nikt dziś się nie obawia inwazji rosyjskiej, takiej jak w 1956 roku na Węgrzech czy w 1968 roku w Czechosłowacji, ani nawet presji takiej jak najazd Chruszczowa na Warszawę w październiku 1956. Ale, historia jak wiadomo jest nauczycielką życia, lepiej być, na wszelki wypadek, i dla dobrego samopoczucia, pod dobrym parasolem. A to NATO właśnie stanowi jedyny sprawnie funkcjonujący kolektywny mechanizm obronny w Europie. Istotne argumenty zawrzeć można w kilku prostych punktach:

- 1) Zachód wygrał zimną wojnę i przesunięcie jego granic, to znaczy granic jego bezpieczeństwa, o kilkaset kilometrów na wschód jest logicznym rezultatem tego zwycięstwa.
- 2) Ukrywanie tego, lub zamazywanie, prowadzi do karykatury. Jeżeli rozszerzenie NATO nie ma na celu zwiększenia stopnia bezpieczeństwa Zachodu, to cała operacja nie ma

żadnych szans w procesie ratyfikacji: żaden przytomny parlament zachodni nie zatwierdzi zmiany karty NATO tylko z powodów filantropijnych i sentymentalnych wobec krajów, które tylko niewielu posłów potrafi odnaleźć na globusie.

Powoływanie się przy tym – jak to się zdarza w USA – na to, że ekspansja zachodnia na wschód ma na celu umocnienie gospodarki rynkowej czy demokracji w Polsce czy na Węgrzech, jest w tych warunkach nie tylko zawracaniem głowy, ale i niebezpiecznym absurdem. Jeżeli bowiem celem rozszerzenia NATO nie jest umocnienie bezpieczeństwa jego członków, a niesienie demokracji i rynkowej gospodarki, to należy natychmiast włączyć do NATO nie Polskę czy Węgry a Rosję i Białoruś, bo to one przecież najbardziej potrzebują pomocy w tej dziedzinie.

3) Objęcie krajów Europy Środkowej i Wschodniej gwarancjami NATO jest nie tylko naturalnym, historycznie i moralnie uzasadnionym aktem zadośćuczynienia za lata kiedy to przy obojętności Zachodu, ZSSR okupował połowę Europy, ale leży także w politycznym i wojskowym interesie Zachodu.

Interes ten nie polega na tym, że pozostawione w jakiejś szarej strefie niczyjej państwa Europy Środkowej i Wschodniej zwróciłyby się ku Moskwie i zechciały wrócić do jakiejś nowej formuły bloku sowieckiego. To absurd, żadne państwo, które już raz to przeżyło, nawet jeżeli jest dziś rządzone przez byłych komunistów (oni to znają najlepiej) nie wróci z własnej woli do tego raju.

Groźba dla Zachodu polega natomiast na tym, że państwa odrzucone, pozbawione na trwałe dobroczynnych wpływów mechanizmów NATO (niekoniecznie od razu pełnej integracji), narażone będą na rozmaite wstrząsy, „konwulsje, a nawet pokusy załatwienia po swojemu niektórych sporów własnych czy sąsiedzkich, co sprawi, że wpadną one być może w chaos, w rozmaite Bośnie, za które, tak jak w Bośni właśnie, przyjdzie Zachodowi płacić, ale już znacznie wyższą cenę. Natomiast już sama perspektywa integracji z NATO sprawiła, że Węgrzy pogodzili się ze Słowacją i z Rumunią, i że w Rumunii, po raz pierwszy i to właściwie tylko dlatego, że NATO tego wymagało, mniejszość węgierska jest w rządzie w Bukareszcie.

4) To właśnie nie hipokryzja, a jasne i twarde rewindykowanie owoców zwycięstwa w zimnej wojnie stanowi – wbrew pozorom i obiegowym opiniom – najlepszy sposób na włączenie Rosji w krąg działań gwarantujących prawdziwą strukturę bezpieczeństwa Europy. To właśnie w obliczu determinacji przede wszystkim USA, Rosja w końcu musiała się nie zgodzić, bo o taką zgodę nikt się do niej nie zwracał, ale uznać nieunikniony charakter faktu rozszerzenia NATO i jego konsekwencji. I wysnuć z tego właściwe wnioski. To tylko na zasadzie tej determinacji, Zachód, a faktycznie USA, potrafiły doprowadzić Rosję do podpisania „Aktu założycielskiego” w Paryżu, normującego stosunki NATO z Rosją i odwrotnie.

Mniejsza o śmieszny tytuł tego dokumentu. Tysiące takich papierków zalega zakurzone półki archiwów ministerialnych na całym świecie. Ile jest wart traktat paryski, tylko historia wykaże. Ale, cierpliwa i zdecydowana argumentacja, mądrość taktyczna i (przepraszam za wzruszenie) wierność słusznej i sprawiedliwej idei, w końcu się opłacają: wystarczy wspomnieć choćby o skromnym, ale w zasadzie lojalnym współdziałaniu Rosji pod dowództwem NATO w Bośni.

Świat lubi patos i symbole. W przeddzień szczytu w Madrycie, prezydent Kwaśniewski udzielił wywiadu dla brukselskiego dziennika *Le Soir*. Największe wrażenie zrobiła jego uwaga, że tuż obok jego gabinetu, w którym udzielał wywiadu i gdzie podejmowane są dziś najważniejsze decyzje dla Polski, w odniesieniu m.in. do członkostwa w NATO, znajduje się sala, gdzie podpisany został kiedyś Pakt Warszawski...

VIII. CO MOŻE NA TO ROSJA?

Może dużo i mało. Podsumujmy, rysuje się nowa mapa Europy. Nie tylko geograficzna. Z punktu widzenia Rosji, to jasne i zrozumiałe, jest to zasadnicza zmiana na gorsze nie tylko ilościowa, w sensie stosunku sił, ale i jakościowa: to nowy, gorszy status międzynarodowy, koniec glorii i wpływów supermocarstwa, klęska prestiżowa na zewnątrz, ale i w

domu, trudności w polityce wewnętrznej. Prawda się wydała: o miejscu na ziemi i pozycji w kraju nie decydują już decybele i głowice atomowe. Próba siły przeniosła się do statystyk gospodarczych i technologicznych. Nie ilość i precyzja głowic, a jakość i szybkość komputerów wyznaczają rangę kraju. Rosyjskie veto wobec idei rozszerzenia NATO, najbardziej spektakularnego dowodu na ten transfer, było więc, w optyce Kremla, uzasadnione, wręcz nieuniknione.

Rosyjskiego, a także zachodniego (bo i takie jest), *niet*, nie należało przed Madrytem i nie należy po Madrycie, lekceważyć. Natomiast można i należy z nim dyskutować. Bez pogroźek czy szantażu, ani z jednej ani z drugiej strony. To nie jest łatwe, ale jest możliwe.

Skargi i zażalenia Rosji wobec ekspansji NATO można ułożyć w rozmaite katalogi i kategorie. Klasyfikacja, wynik wielu (czasem nudnych) rozmów i bardzo znużonej grzebarniny w często także okropnie nudnych tekstach, jaką proponuję, jest naturalnie najzupełniej arbitralna. Ktoś inny, np. zawodowy politolog czy polityk, mógłby, gdyby chciał i potrafił, zupełnie inaczej i, może lepiej, ją ułożyć. Kolejność tego remanentu także jest dowolna.

Co więc Moskwa zarzuca idei i realizacji planu rozszerzenia NATO o jej byłe kraje satelickie? Oto, punkt po punkcie i w schemacie „za i przeciw” a raczej „przeciw i za”, spis argumentów i projekt repliki (byłoby może celowe, a na pewno interesujące, gdyby nasi czytelnicy pomogli *Kulturze* uzupełnić ten spis z natury).

a) Groźba dla Rosji?

ROSJA: – *Rozszerzenie NATO stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa Rosji.*

KULTURA: – Nieprawda. NATO jest sojuszem defensywnym. Nawet kiedy ZSSR zagrażał innym, NATO się broniło, ale nie próbowało Moskwy choćby zaczepić. Byłe nie prowokować, takie było hasło. Dlaczego sojusz miałby to robić teraz, kiedy Rosja nie jest już (na razie?) agresywna, ani naprawdę groźna? NATO nie ma powodu aby grozić Rosji, chyba, że Rosja sama go dostarczy. (Nie bawmy się w słowa: NATO chce, to jasne, w maksymalnym możliwie stopniu,

zredukować rosyjską zdolność rażenia, uszkodzenia i „mieszania” na mapie świata i chce, to także jasne, dopiąć tego na najlepszych dla siebie warunkach, ale czyni to na zasadzie równych szans w toku negocjacji, jak np. START I czy II (ewentualnie) III, wiedeńskich rokowań (CFE) o redukcję broni konwencjonalnej itd.

b) *Żelazna kurtyna?*

R: – *Zachód przecina Europę nową żelazną kurtyną. Stwarza nowy podział Europy, co prowadzi do izolacji Rosji, pcha Rosję w objęcia Chin.*

K: – Nieprawda. Nie ma nowego podziału Europy, jest tylko inny podział. Z europejskiego punktu widzenia, jest to podział lepszy. Czy ktoś spoza Kremla może powiedzieć, że lepszy i normalniejszy, bardziej sprawiedliwy dla Europy, był podział narzucony przez Stalina? NATO się już kilkakrotnie rozszerzało, za każdym razem mapa Europy wyglądała inaczej. No i co, czy to tylko od tego zawałił się ZSSR?

Czy ktoś – nawet w Rosji – rzeczywiście sądzi, że dodanie trzech wymęczonych (teraz doszła do tego jeszcze powódź) krajów do 16 bogatych i (niektórych) potężnych państw już tworzących Sojusz, mogłoby rzeczywiście zagrozić ogromnej, atomowej Rosji? Gdyby tak było, świadczyłoby to przecież o kolosalnej słabości Rosji. I powstałoby pytanie czy z tak słabym krajem w ogóle należy prowadzić poważne rozmowy?

Nie ma żelaznej kurtyny i nie będzie jej tak długo jak długo jej Rosja sama nie spuści. Nie można przecież izolować kraju, który przecina 11 stref czasu. Kraj taki może się tylko sam izolować, jak już zresztą w historii bywało.

Sojusz, lub „strategiczne (teoretycznie) partnerstwo” Rosji z Chinami, może być argumentem w próbie (z ich punktu widzenia słusznej) ograniczenia hegemonii USA na świecie, ale, jako prawdziwa alternatywa stosunków z Zachodem to po prostu absurd. Chiny i Rosja mają podobne potrzeby (technologia i kredyty) i podobne problemy, których rozwiązanie w obu wypadkach zależne jest od dobrych stosunków właśnie z Zachodem. Handel Chin z USA jest dziesięciokrotnie wyższy niż handel Chin z Rosją. Gdzież tu szansa na alternatywę. Kto z kim ma tańczyć to tango? I do jakiej muzyki?

c) *Szansa dla demagogii?*

R: – *Pączkowanie NATO zmusza Rosję do podwyższenia budżetu wojskowego kosztem wydatków socjalnych. Dojdzie więc do zaburzeń społecznych, co otworzy drogę do władzy w Moskwie dla demagogów i populistów.*

K: – Niewykluczone. Budżet wojskowy Rosji być może wzrośnie. Byłoby to jednak lekkomyślne i niepotrzebne. NATO się przez całe dziesięciolecia NIE rozszerzało, a wydatki zbrojeniowe ZSSR ciągle rosły. Argument rosyjski to zresztą czysta demagogia. Rosja zachowuje swoje 20 czy 30 tysięcy głowic atomowych i rakiet (teraz właśnie wypuściła nową jakąś raketową ponaddzwiękową „Wunderwaffe”), podczas gdy NATO nie tylko (nie czekając na Moskwę) usunęło z Europy Zachodniej cały system lądowych i pokładowych rakiet nuklearnych, ale zapewniło Rosję (Akt paryski), że nie ma ani zamiaru, ani potrzeby rozmieszczania broni nuklearnej na terytorium nowych członków.

d) *Słowo honoru?*

R: – *Rozszerzenie NATO jest złamaniem słowa danego Gorbaczowowi przez Bakera, byłego sekretarza Stanu czy (i) Kohla, że w zamian za zgodę ZSSR na pokojowe zjednoczenie Niemiec i wycofanie wojsk sowieckich z NRD, NATO nie przesunie swych granic na wschód.*

K: – Nieprawda. Pytałem fachowców: w żadnym dostępnym archiwum nie ma takiego dokumentu. Nikt, ani Kohl, ani nikt inny takiego słowa nie dawał. I dać nie mógł, bo nie miał niezbędnego mandatu wszystkich państw członkowskich NATO. Gorbaczow kręci, ale Szewardnadze, jego minister spraw zagranicznych potwierdza: o takim słowie honoru (?) nie słyszał.

e) *Chmura nacjonalizmu?*

R: – *Rozszerzenie NATO skompromituje młodą rosyjską demokrację, wyhamuje reformy, odrodzi rosyjski nacjonalizm i imperializm.*

K: – Nieprawda. Do tego nie trzeba NATO. Nacjona-

lizm i populizm rosyjski, pogromy i czarna sotnia, Protokoły Mędrców Syjonu, są starsze niż zimna wojna i NATO, tkwią korzeniami głęboko w historii Rosji. Ich pojawienie się nie jest funkcją sytuacji międzynarodowej. Zyrynowski nie urodził się w Madrycie, „Pamięć” to nie natowki produkt. Rosja podbiła pół świata wieki przed powstaniem NATO. Odwrotnie, to w odpowiedzi na nacjonalizm i imperializm rosyjski (sowiecki) doszło do narodzin NATO. Naturalnie, Zachód może rosyjskiej demokracji pomóc, ale jej istnienie i rozwój, rozwiązanie jej trudności zależy przede wszystkim, w praktyce wyłącznie, od samych Rosjan. Naprawdę zaszkodzić reformom i demokracji w Rosji mogą tylko Rosjanie.

f) Śmierć rozbrojenia?

R: – *Duma odmówi ratyfikacji traktatów rozbrojeniowych, m.in. START II i uniemożliwi sukces negocjacji START III.*

K: – Możliwe. Ale umowy rozbrojeniowe nie są żadnym prezentem Rosji dla Zachodu. Leżą one przede wszystkim w interesie Rosji, której zwyczajnie nie stać na podjęcie wyścigu zbrojeń. Aby poznać sytuację w armii rosyjskiej wystarczy czytać gazety. Rosyjskie. Lub list generała Rochlina. Rosyjskiego generała.

IX. CZY ROSJANIE SĄ SAMI NA ŚWIECIE?

Nie są. Prezydent Kwaśniewski nie powinien być (nie pamiętam przy jakiej okazji) wywalić, że rozszerzenie NATO ma dwóch przeciwników: Rosję i *New York Times*. Była to gafa, takich rzeczy publicznie się nie mówi, ale w ogromnym skrócie, do pewnego stopnia Kwaśniewski ma rację. Albowiem do remanentu rosyjskiego można jeszcze dorzucić kilka zachodnich; głównie amerykańskich, odmian moskiewskiego „niet”. Tak więc, według tej zachodniej szkoły (*New York Times* nie jest *hélas*, odosobniony), rozszerzenie NATO jest:

a) Groźne dla Zachodu?

ZACHÓD: – *NATO popętnia samobójstwo, albowiem*

udziela gwarancji krajom, które nie rozwiązały swoich problemów narodowościowych.

KULTURA: – Nieprawda, z wyjątkiem kilku dementów, czy antysemitów, usychających z braku Żydów, Polacy i Czesi takich problemów nie mają. Sama perspektywa wejścia do NATO sprawiła natomiast, że Węgry i Rumunia oraz, w innej skali, Bałtowie wygasili lub starają się wygasić zasadnicze ogniska ich problemów narodowościowych.

b) NATO się osłabi?

Z: – *NATO się osłabi, straci na koherencji i jedności celu, włącza bowiem państwa o wątpliwej przeszłości jeżeli chodzi o demokrację, podejrzanej (wychowanej w Moskwie) kadry dowódców i anachronicznej (posowieckiej) strukturze wojskowej, którą trzeba będzie dobroić i unowocześnić.*

K: – To, w pewnym stopniu, prawda. Coś w tym jest. Wchłonięcie zbyt wielkiej liczby nowych członków mogłoby rozrzedzić skuteczność działania NATO. Ale właśnie dlatego NATO – bądźmy poważni – przyjęło tylko jedno państwo, które się liczy z wojskowego punktu widzenia, to znaczy Polskę. Co do demokracji, to Hiszpania miała gorszą przeszłość, a jednak... Co do kadry po-sowieckiej, to podejrzliwość jest uzasadniona, nie tylko w wojsku zresztą. Jest to kwestia chyba jednego, a może nawet pół pokolenia. Ale z punktu widzenia czystej pragmatyki i zdrowego rozsądku, trudno jednak sądzić, że generałów polskich czy czeskich ciągnie bardziej do Moskwy niż do Waszyngtonu, do akademii Frunzego niż do West Point.

Proces adaptacji struktur NATO do zwiększonej liczby członków nie będzie łatwy. Już dziś, w 16-tu, są trudności. W 19-tu będzie naturalnie gorzej. Wystarczy wspomnieć o trudności konsultacji: im więcej w radzie, tym trudniej się dogadać. Z 16-oma członkami liczba narad, czyli biurokracji, podwoiła się w ciągu trzech lat. Po rozszerzeniu, a właściwie już dziś, powstaną trzy nowe ambasady czy misje wojskowe, dojdzie chmara urzędników. Reforma wewnętrznego działania sojuszu jest niezbędna. Inaczej, koła NATO rzeczywiście zabuksują.

Drogo będzie na pewno. Oficjalne (według niektórych, mocno zaniżone) obliczenia amerykańskie określają koszt operacji na 27 do 35 miliardów dolarów w ciągu następnych 13 lat, z czego nowi członkowie pokryć będą musieli ok. 1/3. Resztę po połowie USA i europejscy członkowie NATO. Ale na to nie ma rady. Jak wiedzą fachowcy, dozbrojenie w sojuszu jest zawsze tańsze niż w pojedynkę. Koszta więc będą, z tym, że jak z doświadczenia wiadomo, bezpieczeństwo nie ma ceny.

c) A gdzie Bałtowie?

Z: – NATO się rozszerzy o trzy państwa, które się niczego nie muszą obawiać i faktycznie na nic nie są narażone, pozostawiając w strefie niebezpiecznej Ukrainę i Bałtów, potencjalnie najbardziej zagrożonych.

K: – To prawda tylko pozorna. Jaka bowiem była alternatywa? Nie wpuszczać innych, Polski czy Czechów, czekając na Bałtów (o Ukrainie w NATO sami Ukraińcy na razie nawet nie szeptają, to zresztą inny temat). Odpowiedź jest właściwie podwójna. Po pierwsze, Bałtom, przynajmniej na razie, także nic naprawdę nie grozi. Coś w rodzaju agresji na Litwę, czy Estonię, Rosji się po prostu naprawdę nie opłaciłoby. Można przecież sobie wyobrazić opady i koszty na świecie. Po drugie, drzwi NATO pozostają otwarte. Wiadomo, to na razie teoria. Ale nie wykluczone (sporo zależy od sytuacji w Moskwie), że wraz z Rumunią i Słowenią, druga tura, na 50-lecie NATO, w kwietniu 1999 roku, w Waszyngtonie, obejmie także np. Estonię.

d) Skok w nieznane

Z: – Jak można wymagać, żeby Amerykanie byli gotowi ginąć za Budapeszt czy Bratysławę, kiedy nie potrafią ich odnaleźć na mapie i kiedy nie są w stanie odróżnić Słowacji od Słowenii?

K: – Nieporozumienie. NATO broniło Zachodu przez 50 prawie lat i nikt nie musiał ginąć za Lyon, czy Frankfurt. Teraz chodzi właśnie o to, aby to co NATO zrobiło dla

Zachodu, rozciągnęło na Wschód, tak aby nikt nie musiał już odtąd za nic ginąć. Co do zdolności rozróżniania Słowenii od Słowacji, to ja rozumiem, że jest to w USA kwestia wykształcenia, ale ignorancja nie powinna być kryterium decydującym o wyższych wyborach strategicznych.

X. O CO ROSJI NAPRAWDĘ CHODZI?

O dużo. Ale nie o to – a w każdym razie nie tylko o to – co wyżej powiedziane. Tylko, że można by zapytać, jeżeli to takie jasne, to dlaczego takie ciemne? Jeżeli oficjalnie przytaczane argumentarium rosyjskie (i tych w Ameryce, którzy się do Rosji w tej sprawie przyłączyli) nie przekonuje, nie wytrzymuje egzaminu, to o co właściwie chodzi? Poszukajmy. Prawdziwe powody rosyjskiego „niet” leżą widać gdzie indziej. Gdzie?

1. „Niet” antynatowskie ma zastąpić koherentną politykę zagraniczną Rosji, dostosowaną do potrzeb okresu po przegranej zimnej wojnie, politykę jakiej Rosji ciągle jeszcze nie udało się wypracować. Fakt, że ministerstwo objął Jewgienij Primakow, były szef wywiadu i stary bolszewik, wspomagany przez wiceministra Anatolija Afanasjewskiego, byłego ambasadora w Brukseli, najmniej elastycznego negocjatora z Zachodem, że akurat w dniu szczytu w Madrycie, Rosja przeprowadziła próbę nowej balistycznej rakiety do przenoszenia głowic atomowych, (startowała w bazie w Plesiecku, ale lądować miała psychologicznie w Madrycie), świadczy, że do dyplomacji jeszcze nie doszła nowa generacja. Primakow naturalnie będzie – jak przyjdzie jego pora – znakomitym kozłem ofiarnym, ale na razie Smolenskaja Ploszczadz ciągle czeka na swojego Czubajsa czy Niemcowa...

2. Gromkie „niet” jest skierowane także, a może przede wszystkim, na wewnątrz, ma ukryć – w starciu z atakami komunistów – przed rosyjską opinią publiczną fakt utraty przez Rosję statusu super mocarstwa, ma pozwolić Jelcynowi ratować twarz w sytuacji politycznie bolesnej dla Rosji.

3. „Niet” ma także, a może głównie, na celu windowanie ceny, kompensaty zachodniej za trudności Kremla w przeknięciu niestrawnej pigułki natowskiej. Udział Jelcyna w G-7 plus 1 (on to już nazywa na wyrost G-8), kredyty zachodnie, wspólne na zasadzie „Aktu paryskiego”, z NATO komisja konsultacyjna o dużych prerogatywach (Rosja będzie miała szanse wpływać na decyzje NATO zanim nowi członkowie przekroczą próg), gest Clintona: trzech nowych członków, a nie pięciu (żeby uniknąć przedawkowania, które mogłoby zaszkodzić Jelcynowi), świadczy, że ten postulat Jelcynowi udało się w pewnym, chyba dużym, stopniu zrealizować.

Czy znaczy to, że uzasadnione są – zauważalne gdzieś niedługo po umowie zawartej w Paryżu – aluzje do nowej Jałty? Nie. Absurd. Jałta to kwestia woli politycznej i stosunku sił, w tej chwili w oczywisty sposób korzystnego dla Zachodu. Odwrotnie. Mimo dużego ryzyka wywołania nieporozumienia można by, w obecnych warunkach, powiedzieć, że jesteśmy świadkami Jałty *à rebours*, faktycznego eliminowania Jałty w jej wersji z roku 1945, jesteśmy świadkami korekty historii, powrotu, poprzez równoległą integrację z NATO i Unii Europejskiej, do sytuacji normalnej, kiedy dochodzi do pokrycia się kształtu Europy geograficznej i politycznej z Europą cywilizacyjną i kulturową.

XI. CZY JEST WSPÓLNY INTERES?

Może być. Jaki bowiem z tego wszystkiego należy wysnuć wnioski? Czy znowu stają twarzą w twarz, dwa światy? Niekoniecznie. Nie do końca. Są w tym nowym równaniu pewne elementy wspólnego interesu. Łącznie, choć to zakrawa na paradoks, z Rosją. I tak:

1. Zachód poszerzył swoją strefę bezpieczeństwa, sprawił, że trzy (na razie) kraje (w tym jeden ważny), na wschód od Niemiec, weszły w fazę nie tylko demokracji, ale i gwarantowanego bezpieczeństwa. Niemcy znalazły się w środku, a nie na obrzeżu Europy. To psychologicznie bardzo ważny element dobrego europejskiego samopoczucia. Także rosyjskiego.

2. Paradoks sprawia, że dopiero teraz, w ramach NATO, i będąc definitywnie poza strefą wpływów rosyjskich, były państwa satelickie, mimo hipotez pamięci, są gotowe i są nareszcie zdolne, jako równi partnerzy, do nawiązania z Rosją naprawdę dobrych sąsiedzkich, a nawet przyjaznych stosunków. Nie będzie to łatwe, spadek jest ciężki, ale, przy obustronnej dobrej woli, jest to nareszcie możliwe. Szansa jest historyczna, reszta zależy od polityków.

3. Leży to w najlepiej pojętym interesie Rosji. Naturalnie, że z tej rundy Moskwa wychodzi osłabiona, politycznie i prestiżowo. Ale równocześnie, dopiero teraz Rosja, w oparciu o dobre stosunki z Zachodem, ustalone instytucjonalnie ramy współpracy (m.in. z najbogatszymi skarbnikami świata: Fundusz Walutowy czy Bank Światowy, Paryski Klub państw... wierzycieli), może da się przekonać, że nic jej z zachodniej strony nie grozi i że może spokojnie, i to z rosnącą zachodnią pomocą, zająć się prawdziwymi problemami swego ogromnego kraju.

XII. CZY ROSJA TO ROZUMIE?

Na pozór nie. Albo, w najmniej złym przypadku, nie do końca. Albowiem:

1. Rosja jest w toku ofensywy zmierzającej (przy pomocy znanych nam już argumentów) nie tylko do zapobieżenia drugiej rundzie procesu rozszerzania, ale i do formalnego wykluczenia z tego procesu byłych republik sowieckich. Jelcyn nie przestaje grozić, że w razie wchłonięcia np. jakiegoś Bałta, zerwie stosunki z NATO itd. Niepotrzebnie grozi. Jeżeli NATO dojdzie do wniosku, że włączenie np. Estonii leży w interesie sojuszu, to rosyjskie pogrożki procesowi nie powstrzymają, a Rosja stosunków naturalnie nie zerwie. Pozostanie wstyd.

Równocześnie, Rosja szykuje ofensywę nakierowaną nie na rządy zachodnie (już za późno), a na zachodnią opinię publiczną, zmierzając do zapobieżenia ratyfikacji Madrytu przez parlamenty narodowe szesnastki, a przede wszystkim

przez senat USA gdzie wymagana jest trudno osiągalna większość 2/3.

2. Możliwe, że NATO to niedobry pomysł. Na Zachodzie ludzie niechętni ekspansji NATO mogą mieć zastrzeżenia jak najbardziej godne szacunku. I prawdziwą troskę o sprawność NATO: „nie trzeba naprawiać – powiadają – czegoś co nie jest zepsute”. I realny niepokój o wysokość kosztów; jak przekonać podatnika z Arizony, że ma płacić za spokojny sen Polaków, kiedy on nie wie ile to ma kosztować, albowiem szacunek wysokości kosztów waha się między 35 a 125 miliardów dolarów?! I zawsze obecny izolacjonizm głębokiej Ameryki: dwa razy w tym wieku – przypominają – umieraliśmy w Europie, wystarczy. I niechęć do antysemickiej Polski: ks. Jankowskiego słycać niestety, lepiej w USA niż prof. Bartoszewskiego. I wreszcie jakiś rodzaj fascynacji ogromem Rosji: to – powiadają – jedyne państwo zdolne zniszczyć Amerykę.

To wszystko brzmi poważnie, ale nie te zastrzeżenia, albo nie one przede wszystkim, wysuwane są przez przeciwników natowskiego lądowania na Wschodzie. Z lektury dotychczasowej debaty wynika, że to nie niepokoje amerykańskie, a argumenty rosyjskie mają główny wpływ na poglądy, lub są podzielane przez wiele poważnych dzienników, publicystów, politologów i polityków zachodnich. Chodzi tu np. o artykuł George'a Kennana, wielkiego ongiś dyplomaty amerykańskiego, autorytet (nie wszyscy są o tym przekonani) w dziedzinie stosunków z Rosją, który uznał w (naturalnie) *New York Times*'ie, że ekspansja NATO to największy błąd Zachodu od końca II wojny światowej. W podobnym duchu wypowiada się list zainicjowany przez panią Susan Eisenhower, wnuczkę generała i prezydenta. List można by zlekceważyć, ale byłaby to lekkomyślność, albowiem memoriał wnuczki (która, co nie ma naturalnie nic do rzeczy, jest także żoną Ronalda Sagdajewa, wybitnego uczonego rosyjskiego, specjalisty od podróży na Wenus, zamieszkałego w USA), podpisany został przez 50-ciu panów o dużym ciężarze gatunkowym, jak m.in. były senator Nunn (znany ekspert od spraw wojskowych), sekretarz Obrony u Kennedy'ego, Robert Mc Namara, były szef CIA admirał

Turner, dwaj byli ambasadorowie USA w Moskwie Matlock i Hartman, fachowcy od spraw rosyjskich, profesorowie Pipes i Shulman i inni. „Senat będzie miał teraz okazję uratować USA” – powiedział pewien amerykański politolog mając na myśli możliwość odmowy ratyfikacji.

3. Jak można wytłumaczyć takie stanowisko? Jeżeli pominąć zwyczajnych durniów (jeden taki napisał, że znał tylko dwóch polityków w Europie, którzy uważali, że rozszerzanie może być źródłem siły: Hitlera i Stalina), to na tych listach nie ma przecież podpisów poputczyków, to już wyszło z użycia, są natomiast poważni ludzie, prawdziwi demokraci i na pewno amerykańscy patrioci. Jak należy rozumieć fakt, że ludzie tego kalibru posługują się argumentami jakby zaczerpniętymi z rosyjskiego arsenału, że nie wnieśli w debatę nad celowością albo, proszę bardzo, szkodliwością rozszerzenia NATO jakiś nowych idei, nie wyczerpanych już przez Moskwę?

Spór jest więc godny troskliwych studiów i wysiłków, niezbędnych jeżeli chce się tę ofensywę Moskwy zneutralizować. Nie będzie to łatwe, albowiem NATO, najsilniejsza i najpewniejsza organizacja obronna i wojskowa na świecie i w historii, nie umie się cywilom „sprzedać”, ciągle cierpi na małą skuteczność lub wprost nieudolność w promocji swego *image* na świecie. Jak wytłumaczyć, że to dopiero w przeddzień Madrytu, senator Jessie Helms zahaczył Clintona pytaniem o to jakiemu wojskowemu niebezpieczeństwu ma przeciwdziałać ekspansja NATO? Helms jest przewodniczącym komisji spraw zagranicznych Senatu USA. Jeżeli, po czterech latach od „śniadania na mokrej trawie”, nawet Helms nie wie o co chodzi, to czego można się spodziewać po farmerze z Oklahomy?

XIII. CZY NATO PRZEŻYJE TĘ BITWĘ?

Przeżyje, ale z trudem. Czy „casus Helms” wskazuje, że możliwe jest storpedowanie procesu ratyfikacyjnego i odesłanie drugiej rundy *ad calendas graecas*? Odpowiedź

brzmi: jest to mało prawdopodobne, ale możliwe, albowiem w polityce możliwe jest wszystko.

Co wtedy? Katastrofa? Nie, ale koszty ogromne, w dużej części Europy wiarygodność i prestiż Stanów Zjednoczonych poszłyby w drzazgi, zaufanie do USA zostałoby poważnie osłabione, równowaga na świecie zachwiana, stosunek sił Zachodu z Rosją, a potem z Chinami, zmieniłby się na korzyść tych drugich.

Dopiero wtedy, właśnie wtedy, w 50-tą rocznicę powstania NATO, okazałoby się, że – tak jak proponuje pani Eisenhower – świat postanowił pozostawić linię podziału Europy tam gdzie wytyczył ją Stalin, a której to linii – jak starsi ludzie pamiętają – nie chciał przekroczyć ponad 50 lat temu, jej dziadek, uznając w ten sposób porwanie połowy Europy za dokonane. I dopiero wtedy analogia do symboliki Jałty nabrałaby logicznego i politycznego uzasadnienia

Le pire – jak powiadają Francuzi – *n'est jamais certain* (najgorsze nigdy nie jest nieuniknione). Być może. Ale jest zawsze możliwe.

Pisane w Brukseli, 12 sierpnia 1997

Leopold Unger

PS. Tytuł tego artykułu odnosi się naturalnie do pięćdziesięciolecia utworzenia NATO. Szczęśliwy przypadek, który – jak wiadomo – jest formą manifestowania się nieprawidłowości, sprawił jednak, że można go także odnieść do dzisiejszego jubileuszu Kultury. Na zdrowie!

Sekret „Kultury”

Pięćdziesięciolecie polskiego pisma literacko-politycznego *Kultura*, wydawanego w Paryżu przez Instytut Literacki, czyli wydawnictwo literackie, przeszło w naszej prasie niemal nie zauważone.

Kultura zaczęła właściwie wychodzić w roku 1947, ale okrągłe pięćdziesięciolecie obchodzili wszyscy w ubiegłym, 1996 roku: najwidoczniej liczono istnienie pisma od daty powstania wydawnictwa, założonego rok wcześniej.

Jest też inny, moim zdaniem ważniejszy powód, by wspomnieć o tym piśmie. Mianowicie polskie wydawnictwo Czytelnik (Warszawa) zaczęło wydawać specjalną serię zwaną „Archiwum Kultury”. Jej pierwsze tomy już się ukazały; jest to korespondencja redaktora pisma, Jerzego Giedroycia, z Witoldem Gombrowiczem z lat 1950-1969¹, „Autobiografia na cztery ręce” samego Giedroycia² oraz inne książki. Te fundamentalne, opatrzone starannymi komentarzami wydania pozwalają zanalizować pismo w oparciu o źródła dokumentalne, które po raz pierwszy zostały udostępnione warszawskiemu wydawnictwu oraz badaczom przez samą *Kulturę*. Czytelnik może dzięki temu zajrzeć do redakcyjnej kuchni, lepiej zrozumieć, jak rodziły się i realizowały rozmaite idee i projekty jednego z najlepszych pism kulturalnych drugiej połowy XX wieku, jak się układały stosunki Giedroycia z autorami itd.

1. J. Giedroyc-W. Gombrowicz, „Listy 1950-1969”, Czytelnik, Warszawa 1993, str. 509.

2. J. Giedroyc, „Autobiografia na cztery ręce”, Czytelnik, Warszawa 1994, str. 326. Wspomnienia J. Giedroycia zostały najpierw podyktowane Krzysztofowi Pomianowi, który je opracował i przygotował do druku. Stąd też zapewne tytuł książki.

Sama długowieczność *Kultury* jest wielką rzadkością: w naszych czasach nawet renomowane wydawnictwa z wieloletnim stażem przestają wychodzić z braku prenumeratorów. Poza tym przez wszystkie minione dziesięciolecia *Kulturą* kieruje niezmiennie jeden człowiek – dziennikarz, literat i polityk Jerzy Giedroyc. Jubileusz Instytutu Literackiego i *Kultury* zbiegł się z dziewięćdziesięcioleciem jej redaktora.

Wstyd oczywiście, że wszystkie te ważne dla literatury daty nie odezwały się w naszej prasie żadnym echem. Wstyd chociażby dlatego, że *Kultura* niemało zrobiła dla spopularyzowania współczesnej literatury rosyjskiej za granicą. Pierwsza na przykład ogłosiła na Zachodzie utwory Abrama Terza (Andrieja Siniawskiego) i Mikołaja Arzaka (Julija Daniela). W Bibliotece *Kultury* ukazał się też „Doktor Żiwago” Pasternaka, trzypomowe wydanie „Archipelagu GUŁag” Solżenicyna i szereg książek innych autorów, prześladowanych wówczas we własnym kraju. Poza tym *Kultura* wydała w latach 1961-1981 trzy specjalne numery w języku rosyjskim, z tekstami polskich autorów, które nie mogły się wtedy ukazać w ZSSR ze względów cenzuralnych.

Nawiasem mówiąc, w haniebnym braku zainteresowania prasy rosyjskiej dla paryskiego pisma nie bez udziału był fakt, że *Kultura* była w Rosji przez wiele dziesięcioleci surowo zabroniona. Nawet w największych bibliotekach kraju trudno było zdobyć informacje, czy wpływa do nich takie pismo – rzecz jasna do surowo zastrzeżonego zbioru³. W efekcie nawet tłumacze i poloniści najczęściej nigdy nie mieli w rękę egzemplarza *Kultury* i wiedzieli o niej tylko ze słyszenia.

3. Nawiasem mówiąc, pewien szczegół we wspomnieniach J. Giedroycia każe sądzić, że wiadome organy żywo się interesowały *Kulturą*. Autor pisze: „Kontakty ze Związkiem Sowieckim nawiązały się wcześniej przez sekretarza redakcji *Nowego Mira*, Baranowa, który przyjeżdżał do Krakowa i tam zaopatrywał się w *Kulturę*; w redakcji na półce stały podobno roczniki *Kultury* zasłonięte firanką”. (J. Giedroyc, „Autobiografia...”, op. cit., str. 181-182).

Wypada tylko dodać, że człowiek o takim nazwisku nigdy w redakcji nie pracował, tak jak nie istniała w niej zasłonięta półka z kompletami *Kultury*.

(Tej informacji udzielił nam Wiktor Niekrasow, który mówił że Baranow dostawał w Polsce dokąd często jeździł, głównie do Krakowa. Red).

A jednak utkwiał mi w pamięci jeden jubileuszowy artykuł, poświęcony Jerzemu Giedroycowi i założonemu przezeń pismu. Ukazał się on co prawda nie w Rosji, a w Paryżu. Mam na myśli nieduży, ale żywy i serdeczny tekst Natalii Gorbaniewskiej w *Russkoj Mysli* (Nr 4136, 25-31 lipca 1996). Oczywiście sama data dziwnie nastraja każdego, kto chciałby o takim literackim jubileuszu pisać patetycznie. Zresztą „Pan Jerzy” – ostrzega Gorbaniewska – nie lubi jubileuszowych mów. Fakt znamieny, na własnych łamach redakcja niemal przemilczała uroczystą datę. Dopiero w jednym z następnych numerów (Nr 9, 1996) w rubryce „Notatki Redaktora” Giedroyc, dziękując wszystkim, którzy nadesłali gratulacje, dodał: „Ta spontaniczna reakcja ludzi, których cenię i szanuję, przyjaźń i solidarność moich bliskich współpracowników i autorów, dziesiątki i dziesiątki listów od młodych, którzy dopiero wchodzą w życie, liczne głosy od naszych sąsiadów ze Wschodu (nie wyłączając Rosji), ale również z Niemiec, dają mi dzisiaj pewność, że praca której poświęciłem całe życie będzie kontynuowana. Po raz pierwszy patrzę z pewną nadzieją w naszą przyszłość”.

Jerzy Giedroyc nie przesadza, mówiąc że poświęcił *Kulturze* całe życie. Dziewięćdziesięcioletni redaktor rzeczywiście oddał pismu wszystkie swe siły i talent. Pół wieku temu, w chaosie i zamęcie pierwszych powojennych lat, *Kultura* powstała właściwie z niczego, w pustce, jak to się mówi – wyłącznie dzięki staraniom i energii jednego człowieka i dwóch-trzech najbliższych mu towarzyszy.

Pismo narodziło się we Włoszech (Rzym), w roku, jak już pisaliśmy, 1947.

Dlaczego we Włoszech? Na włoskiej ziemi zdemobilizowano pod koniec wojny II Korpus Polski, który u boku aliantów walczył z hitlerowcami, między innymi w słynnej bitwie pod Monte Cassino (w Rosji korpus ten znany jest bardziej jako Armia Andersa). Armia ta została uformowana w ZSSR podczas wojny z tych Polaków, którzy po naszej „wyzwoleńczej” inwazji zachodniej Ukrainy i Białorusi jesienią 1939 roku znaleźli się w obozach koncentracyjnych. Później Armia Andersa przemieściła się na Bliski Wschód, do Afryki północnej, a wreszcie do Włoch.

Na wniosek kapitana* Giedroycia z Wydziału Propagandy sam Anders wydał rozkaz stworzenia Instytutu Literackiego i redakcji *Kultury*⁴.

Fakt, że w łonie armii narodziło się pismo o charakterze głównie literackim, dalekie od zainteresowań środowisk wojskowych, mógłby się wydać dziwnym. Sprzyjały temu jednak okoliczności tamtej epoki. Armia rozporządzała odpowiednią bazą techniczną i materialną, toteż w tamtych okolicznościach nowemu pismu łatwiej było w jej łonie startować. Na początku wydawało się, że nowo powstały Instytut Literacki skupi się na wydawaniu książek dla polskich żołnierzy odciętych od ojczyzny. Działalność wydawniczą postanowiono zacząć od rodzimej klasyki. Ukazały się „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego” Mickiewicza, „Legiony” Sienkiewicza.

Jeśli zaś chodzi o *Kulturę*, to miała ona – po myśli swych założycieli – pomóc w znalezieniu swojego miejsca pod słońcem polskim żołnierzom, którzy osiadali na Zachodzie. Większość żołnierzy II Korpusu nie zamierzała wracać do Polski Ludowej – jak oficjalnie nazwali kraj komuniści, którzy przy pomocy Sowietów osadzili się na brzegach Wisły.

Polscy wojskowi przeszli w Rosji przez ciężkie doświadczenia, włączając Katyń i GUŁag, gdzie wielu z nich straciło życie, albo krewnych i przyjaciół. Ocalańcy nie mieli żadnych złudzeń co do nowych porządków w Polsce. Wszyscy wiedzieli, że powrót do domu nie będzie oznaczał spokojnego życia, a wręcz przeciwnie – żywot w ustawicznym strachu o los własny i bliskich.

W atmosferze powszechnego zagubienia i przygnębienia, która opanowała II Korpus w przeddzień demobilizacji, Giedroyc uważał, że pismo posłuży jako moralny i kulturalny drogowskaz. Życie prędko wprowadziło pewne korektury w prace Instytutu Literackiego. Okazało się, że wznawianie polskiej klasyki dla wczorajszych wojskowych przechodzących

* Nieściśle: Giedroyc nie był kapitanem, a zwykłym żołnierzem i dopiero w 1942 roku został mianowany podporucznikiem czasu wojny. (Red.)

4. Wkrótce wydawnictwo i redakcja przeniósł się na przedmieścia Paryża, do Maisons-Laffitte, gdzie Giedroyciowi udało się kupić na kredyt niewielki dom, w którym redakcja mieszka i pracuje do dziś.

do cywila, co więcej, w obcym kraju – nie jest najpilniejszym zadaniem – że znacznie ważniejsze jest pismo, śmiało podejmujące problemy dnia bieżącego.

Zaczynając w emigracyjnych warunkach wydawanie *Kultury*, Giedroyc zdawał sobie sprawę, jak ciężkie stawia sobie zadanie. Trzeba było, na przykład, znaleźć źródła finansowania, czyli „sponsora”: problem, z którym nasze rodzime wydawnictwa i czasopisma zetknęły się dopiero całkiem niedawno.

Nie mniej trudne było (zwłaszcza na emigracji) stworzenie zespołu autorskiego. Giedroyc od początku stawiał na zawodowych pisarzy najwyższej klasy, na wielkie indywidualności pisarskie – czy to w poezji, czy w prozie, publicystyce, eseistyce, krytyce literackiej. W *Kulturze* ogłaszał stale swój „Dziennik” Witold Gombrowicz. Nie mniej regularnie pisywał inny polski pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, autor powieści „Inny świat”, jednej z najbardziej przejmujących i wnikliwych książek o sowieckim świecie obozów koncentracyjnych, do których Herling trafił jesienią 1939 roku*. Czesław Miłosz, przyszły laureat Nagrody Nobla, po słynnym zerwaniu z PRL bezpowrotnie odcięty od kraju, drukował niemal wyłącznie w paryskiej *Kulturze*, a książki w Bibliotece *Kultury*.

Pismo miało też swojego wybitnego publicystę – politologa Juliusza Mieroszewskiego (1906-1976), który regularnie analizował w *Kulturze* najbardziej złożone problemy bieżącego życia międzynarodowego. Zajmowała go żywo kwestia niemiecka. Sugerował, jak mianowicie przyszła, wolna od sowieckiego dyktatu Polska powinna ułożyć stosunki z NRD i RFN. Mieroszewski rozumiał, że jego przewidywania przyszłego układu sił na kontynencie europejskim, to – jak sam napisał w artykule „Może zdarzyć się i tak...” (1970) – „płód abstrakcyjnych rozmyślań”, tym niemniej sądził, że „wariant tu przedstawiony jest więcej niż prawdopodobny” (i rzeczywiście, wiele jego przewidywań się spełniło).

Mieroszewskiego specjalnie pasjonowała także inna kwestia – stosunki między Polską i Rosją. Uważał, że przyszła Polska powinna koniecznie ułożyć stosunki z Rosją na pra-

* W rzeczywistości wiosną 1940 r. (Red.)

wach partnerstwa. Aby jednak do tego doszło, uważał, trzeba będzie najpierw ułożyć dobrosąsiedzkie stosunki z niezawisłymi Ukrainą i Białorusią oraz krajami bałtyckimi, co pozwoli Polsce umocnić swoją pozycję w Europie, a tym samym i Rosjan skłoni do szukania kompromisu.

Cenną zdobyczą *Kultury* było jeszcze jedno odkrycie Giedroycia, Konstanty Jeleński (1922-1987), który po hitlerowskiej napaści na Polskę znalazł się we Włoszech. Władający swobodnie kilkoma europejskimi językami, Jeleński zwracał uwagę na liczne nowości literackie, które pojawiały się w krajach Zachodu. Z równym mistrzostwem pisał krótkie recenzje, obszernie przeglądy i lapidarne, celne repliki.

Jak Giedroyc w ledwie wykluwającym się literacie odgadnął jego potencjalne możliwości, to jedna z tajemnic redaktora *Kultury*, obdarzonego rzadkim darem wyszukiwania i skupiania wokół swego dziecka rozmaitych talentów twórczych. Nawiasem mówiąc, wieloletnia korespondencja Giedroycia z Jeleńskim, również wydana w „Archiwum *Kultury*”⁵, odsłania jeszcze jeden rys charakteru redaktora – jego upór w dążeniu do wytyczonych celów, w tym przypadku – w werbowaniu ludzi, których sobie upatrzył. Polowanie na Jeleńskiego trwało kilka lat. Wreszcie Giedroyc dopiął swego: Jeleński przeniósł się z Włoch do Paryża, aby być bliżej redakcji i został jednym z najczynniejszych autorów *Kultury*.

Należy podkreślić, że starań Giedroycia nie zniweczyły zabiegi wrogów, przede wszystkim oficjalnej polskiej prasy, której przedstawiciele bacznie śledzili każdy jego krok. Jednak krytyki warszawskich zelotów sprowadzały się na ogół do bezpodstawnych ataków i napaści na paryskiego redaktora, którego starały się zdyskredytować, malując go a to jako amerykańskiego szpiega i agenta CIA, a to jako „worek z pieniędzmi”, czerpiący środki na *Kulturę* z najbardziej podejrzanych źródeł.

W rzeczywistości pismo nie dysponowało żadnymi legendarnymi bogactwami. Wystarczy przeczytać wspomnianą już korespondencję Giedroycia z Gombrowiczem, by się przekonać, jak bardzo *Kultura* zmagła się z brakiem pieniędzy,

5. J. Giedroyc, K.A. Jeleński, „Listy 1950-1987”, Czytelnik, Warszawa 1995, str. 517.

wtedy i później. Redaktor bezustannie narzeka, że kasa jest pusta, że nie jest w stanie podwyższyć autorowi „Dziennika” honorarium. Z ich wymiany listów widać trudny los emigracyjnego wydawnictwa, którego niezmiernie ograniczone środki i możliwości zmuszają Giedroycia do trzymania na głodowym chlebie zarówno autorów, jak i zespołu redakcyjnego.⁶

W tejsze korespondencji finansowe kłopoty pisma przybierają chwilami nutę tragikomiczną. Gombrowicz, mało praktyczny, łatwo się zapalający a zarazem niewiele rozumiejący z finansów, stara się zainteresować Giedroycia coraz to nowymi fantastycznymi projektami, jak by tu przywlec do gazety kolejnego bogatego sponsora z Argentyny (gdzie wówczas mieszkał i za marny grosz pracował w banku). Gombrowicz jest przekonany, że realizacja jego kolejnych pomysłów raz na zawsze rozwiąże finansowe kłopoty pisma. Jego plany jeden po drugim spalają na panewce, Gombrowicz jednak nie rezygnuje i rozwija w listach nowe pomysły. Oburza się nawet, że adresat robi się coraz chłodniejszy, bowiem jest człowiekiem praktycznym, otrzaskanym w tego rodzaju bojach i dobrze zna mentalność bogaczy.

Korespondencja ta pozwala też lepiej zrozumieć sam „Dziennik” Gombrowicza, opublikowany niedawno we fragmentach w *Nowym Mirze* (Nr 11, 1996). Listy pokazują też, w jakich okolicznościach powstawały kolejne odcinki „Dziennika” w *Kulturze*. Okazuje się, że myśl o takim niewymuszonym, swobodnym dialogu Gombrowicza z czytelnikiem gorąco popierał i starał się zrealizować sam Giedroyc. Nawiasem mówiąc właśnie „Dziennik”, drukowany najpierw w odcinkach w *Kulturze*, a następnie w książce, przyniósł Gombrowiczowi sławę.

Listy do Gombrowicza pokazują też wielki talent epistolarny Giedroycia. Jest on niewątpliwym mistrzem tego gatunku. I choć wszystkie jego listy, w tym i do Gombrowicza, mają charakter roboczy, są mimo to żywą, swobodną

6. W jednym z listów do swego przyjaciela, zamieszkałego w Londynie publicyście Juliusza Mieroszewskiego, Giedroyc stwierdza: „Wszyscy pracujący w *Kulturze* razem ze mną, pobierają 650 franków miesięcznie i poświęcamy naszej robocie 100% czasu, praktycznie całkowicie rezygnując z życia osobistego”. („*Kultura* i jej krąg. 1946-1986”, katalog wystawy, Paryż 1988, str. 8).

rozmową z adresatem: trafne charakterystyki ludzi, uwagi o literaturze, sprawozdania o literackich nowinkach, ich lapidarne, bystre oceny itd. Minęły dziesiątki lat, a od tej korespondencji trudno się oderwać, jak od urzekającej epistolarnej powieści. Komunikacja odbywa się wyłącznie pocztą, za to jest pełnokrwista, nasycona realiami życia!

Giedroyc wypada w tej wymianie listów jako nadzwyczajny taktik: mądry redaktor pielęgnuje impulsywnego, chwilami wręcz kapryśnego autora, którego współpracę mimo to niezmiernie sobie ceni. Ma jednak dość charakteru, by powiedzieć zdecydowanie „nie”, jeśli kolejna porcja dziennika z jakichś powodów mu nie odpowiada. Gombrowicz, o dziwo, mimo że jest rozpuszczony i rozkapryszony, na ogół zgadza się z Giedroyciem, chociaż ich korespondencja cały czas jest napięta.

...Im głębiej człowiek pograża się w kolejne tomy „Archiwum *Kultury*” tym częściej mimowoli przychodzi mu na myśl inne wielkie pismo emigracyjne, mianowicie *Sowriemiennyje Zapiski*, rosyjskie pismo, które ukazywało się – również w Paryżu – w latach dwudziestych do czterdziestych.

Kultura borykała się z szeregiem problemów, którym musieli stawić czoła również redaktorzy *Sowriemiennych Zapiskok*. Rzecz nie tyle w braku pieniędzy ani w bezustannej walce o zachowanie niezbędnej liczby prenumeratorów, ile w samej specyfice pisma emigracyjnego. Stają one często przed masą problemów, których pisma ukazujące się we własnym kraju w ogóle nie znają. Samo rozproszenie po świecie czytelników emigracyjnego pisma jest problemem specyficznym.

Sowriemiennyje Zapiski, których działalność wydawnicza zorientowana była na wielkie ośrodki emigracji rosyjskiej – Paryż, Berlin, Pragę – z pewnym zdziwieniem dowiedziały się z listu czytelnika, że pismo słabo oświecla życie dalekowschodnich rubieży, a też tamtejszych emigranckich ośrodków kulturalnych – Chabina i Szanghaju. Biorąc pod uwagę potrzeby peryferyjnych czytelników, redakcja zaczęła nawet wydawać specjalne „siostrzane” pismo, *Russkije Zapiski*, w którym kładła nacisk na problematykę azjatycką. Na karcie tytułowej widniał nawet napis „Paryż – Szanghaj”. Żywość tego pisma okazał się krótki: przestało wychodzić wraz z wybuchem II wojny światowej, podobnie zresztą jak i *Sowrie-*

miennyje Zapiski. Z kolei *Kultura* podzieliła się trudnym emigranckim doświadczeniem z nowo utworzonym rosyjskim piśmie *Kontynent*. Kiedy przed prozaikiem Władimirem Maksimowem otworzyła się w 1974 roku, po jego wyjeździe na Zachód, realna możliwość wydawania poważnego literacko-publicystycznego kwartalnika, którego celem było zjednoczenie sił nowej emigracji i pisarzy, którym w ZSSR breżniewowsko-andropowowska cenzura knebłowała usta, nie kto inny jak Sołżenicyn poradził nowemu redaktorowi: „Myślę, że koniecznie powinien Pan związać się z Polakami z *Kultury*”.

Kultura skojarzyła mi się z *Sowriemiennymi Zapiskami* nie bez powodu. Oba pisma łączy przede wszystkim ich jawna wrogość wobec komunistycznej, bolszewickiej ideologii: w tym względzie ich pozycje są niemal identyczne. Choć są, przyznaję, pewne różnice. Wielu rosyjskich emigrantów uważało, że sowiecka władza nie ma przed sobą długich lat i że nieuchronna jest Restauracja. Dlatego też liczne emigracyjne pisma literackie żyły z dnia na dzień. Jak zauważył znany emigracyjny krytyk literacki G. Adamowicz, „wydawało się, że Bunin albo Szmielew dziś piszą w pokoju paryskiego hoteliku, ale następne ich książki wyjdą już w Moskwie!”⁸

Różnice między *Sowriemiennymi Zapiskami* i *Kulturą* wynikają w dużej mierze z faktu, że pismo Jerzego Giedroycia ukazywało się w innej epoce. Giedroyc i jego przyjaciele nie oddawali się już pięknym złudzeniom o rychłym końcu komunizmu. Mieszkańcy Maisons-Laffitte rozumieli, że komunistyczny ustrój zakorzenił się w Polsce na długo i że w praktyce dziennikarskiej należy wychodzić z tego okrutnego, ale oczywistego założenia. W „Autobiografii na cztery ręce” Giedroyc mówi o tym wprost: „Różniłem się od przywódców politycznych i wojskowych, ponieważ uważałem, że czeka nas długa emigracja, a oni liczyli na następną wojnę lub na powrót do Kraju, a poza tym – okazywali znaczną lekko-myślność”.⁹

7. *Kontynent*, 1995, Nr 84, str. 13.

8. G. Adamowicz, „Samotność i wolność”, *Respublika* 1996, str. 23.

9. J. Giedroyc, „Autobiografia...”, op.cit. str. 121.

Kierując się takim przekonaniem, redakcja w pierwszym numerze pisma ogłosiła apel do czytelników, którzy - decydując się na emigrację polityczną - znaleźli się poza granicami kraju. Przypominała im, że „krąg kulturalny, w którym żyją, nie jest kręgiem wymarłym”. Zarazem *Kultura* podkreślała, że ma zamiar zwracać się także do czytelników w kraju, aby umocnić w ich sercach wiarę w to, że „wartości, które są im bliskie, nie zawałyły się jeszcze pod obuchem nagłej siły”.

Dzięki temu czytelnicy uważali swoje pismo nie za organ emigracyjny, lecz za wolną trybunę wszystkich Polaków, także tych, których odcięto od swobód demokratycznych. *Kultura* miała być od początku ogólnopolskim wolnym od cenzury pismem, które tylko wskutek zaistniałych okoliczności ukazuje się nie w Warszawie, a w Paryżu. Dlatego - zdaniem Pomiana - Instytut Literacki i *Kultura* są nie tylko wydawnictwem, lecz „ośrodkiem myślenia o sprawach Polski, który usiłuje wywierać i istotnie wywiera wpływ na opinię zarówno krajową, jak emigracyjną i zachodnią”¹⁰.

Wspomniany już Juliusz Mieroszewski podkreślał: „Ani ewolucjonizm, ani rewolucjonizm nie są programem *Kultury*. Naszym programem jest przebudowa Związku Sowieckiego i zaprowadzanie demokracji w Europie Wschodniej”¹¹.

Słowa te i oświadczenia nie były dla *Kultury* pustymi deklaracjami: zawsze pracowała w tym właśnie kierunku. Właśnie dlatego kardynalne zmiany, jakie zaszły w ostatnim dziesięcioleciu w krajach Wschodniej Europy, w tym też w Polsce i w Związku Sowieckim, na którego gruzach kształtuje się przyszła Rosja - nie zaskoczyły paryskiego pisma, tak jak zaskoczyły wiele innych emigracyjnych publikacji, które nie potrafiły sprostać niespodziewanym wstrząsom społeczno-politycznym i wypracować nowej linii działania. Prawdopodobnie dlatego takie pisma jak *Grani* albo *Posiew* straciły znaczną część swego poprzedniego autorytetu: ich patos kulturalno-polityczny przybladł, a nowej nuty wciąż nie widać...

Kulturę zawsze cechowała umiejętność patrzenia naprzód

10. „*Kultura* i jej krąg”, op.cit. str. 7.

11. Tamże, str. 18.

i uprzedzania nabrzmiewających w społeczeństwie, kraju i świecie procesów. Tym też należy tłumaczyć nieprzewidywalność wielu jej wyborów i opcji na tle innych, konserwatywno-tradycyjnych emigracyjnych gazet i czasopism, jak londyński *Orzeł Biały*, a zwłaszcza tygodnik *Wiedomości*, z którego dogmatycznym stanowiskiem organ Giedroycia nie raz ostro polemizował.

W latach pięćdziesiątych, była już o tym mowa, kiedy w PRL na fali powszechnego buntu doszedł do władzy Gomułka, *Kultura* początkowo aktywnie poparła ogłoszony przez niego kurs reform. I chociaż sam pierwszy sekretarz KC PZPR szybko odciął się od swych demokratycznych początków, redakcja *Kultury* nie żałowała poparcia, którego mu udzieliła, słusznie uważając, że lepiej coś robić i omylić się, aniżeli mylić się nic nie robiąc. Mimo to paryski miesięcznik unikał później podobnych emocjonalnych porywów i żadnego poparcia warszawskiemu kierownictwu nie udzielał. Nawet wobec prezydenta Lecha Wałęsy *Kultura* nierzadko wypowiadała się krytycznie, szczególnie surowo oceniając jego politykę wschodnią, a ściśle mówiąc brak jasnej i konstruktywnej polityki wobec postkomunistycznej Rosji.

Na zakończenie pragnę podkreślić, że niniejsze uwagi skreśliłem nie tylko dlatego, by uczcić pół wieku działalności *Kultury*. *Kultura* nie potrzebuje patetycznych słów, bowiem - jak kiedyś powiedział André Malraux (w liście do redakcji) - „gwarancją *Kultury* jest każdy jej numer!”¹²

Kultura jest już od pół wieku pismem żywym i aktualnym. To najważniejsze. Naturalnie, czasy się zmieniają i *Kultura* zmienia się wraz z nimi. Zmienia się, ale zachowuje swoją twórczą indywidualność, swoją twarz. To też powoduje, że pismo wciąż jest potrzebne czytelnikom i w Polsce, i za jej granicami.

Kulturę czytają ludzie różnych pokoleń, do najmłodszych włącznie. Także w redakcji i jej zespole autorów zmieniło się już niejedno pokolenie. A *Kultura* wciąż trwa i *ni w zub nogoj*, jak mawiał Majakowski. Jak jej się to od pół wieku udaje, jakim cudem zachowuje młodość - to tajemnica

12. J. Giedroyc, „Autobiografia...”, op. cit.

redakcji. Niech pozostanie tajemnicą, aby czytelnicy, jak zawsze, z niecierpliwością oczekiwali na każdy nowy numer.

S. ŁARIN

P.S. Już po oddaniu powyższego artykułu do druku doszła nas z Paryża smutna wiadomość: zmarł Michał Heller (1922-1997), znany rosyjski historyk i publicysta, znawca najnowszej historii Rosji. Przez ostatnie dziesięciolecia żył w Paryżu, był profesorem Sorbony.

W *Kulturze* Michał Heller pisywał pod pseudonimem Adam Kruczek comiesięczne kroniki pod tytułem „Notatki rosyjskie”, swego rodzaju dziennik polityczny, zapis wydarzeń w Rosji. Krótkie, ale celne i trafne zapiski i sądy historyka (autora licznych poważnych prac, wydawanych obecnie także w jego byłej ojczyźnie) zawsze świetnie uzupełniały każdy numer, nadając mu wielkiej aktualności.

Żał, że ta rubryka w piśmie będzie już pusta. Czytelnikom *Kultury* bardzo jej będzie brakowało.

S.Ł.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Archiwum polityczne

Federacja Rosyjska, Spółka Akcyjna z o.o.

Gdy piszę te słowa w Moskwie panują lipcowe upały. Kanikuła. Prezydent Jelcyn przeniósł się z obkomowskiej daczy Szujskaja Czupa w kameralnej Karelii nad brzegi szeroko rozlanej Wołgi. Tuż po przybyciu do Wołżskiego Utiosu spotkał się on z ministrem obrony Igorem Siergiejewem, aby omówić problemy reformy wojska. *Krasnaja Zwiezda* z entuzjazmem informuje, że tylko w jednostkach budowlanych (d. strojbaty) liczebność armii można będzie zmniejszyć o całe 150 tys. żołnierzy.

Dekret Prezydenta Rosji „O pierwszoplanowych przedsięwzięciach w zakresie reformy Sił Zbrojnych i doskonaleniu ich struktury” przewiduje ograniczenie liczebności armii do 1 mln. 200 tys. żołnierzy na dzień 1 stycznia 1999 r. Prezydent zapowiedział na brzegu Wołgi, że w armii rosyjskiej nie może być więcej niż 2.300 generałów. Tymczasem sekretarz Rady Obrony przy Prezydencie FR Jurij Baturin oznajmił, że w tym roku liczebność sił zbrojnych zmniejszy się o 20 tys. żołnierzy, w tym 5 tys. oficerów. Według jego ostrożnych słów, ostatnie dekrety stanowią tylko „impuls dla przeprowadzenia kolejnych przedsięwzięć reformatorskich”.

Paweł Felgengauer w *Siewodnia* zdradza przyczyny entuzjazmu *Krasnoj Zwiezdy*. Alarmuje on, że sprawy reformy wzięli w swoje ręce jej główni przeciwnicy – generałowie. Forsują oni przyspieszenie prac nad reformą, aby osiągnąć najważniejszy cel – odsunąć cywilów. Dekret przygotowała grupa wyższych oficerów, kierowana przez gen. Walerija Mańłowa, pierwszego zastępcę szefa Sztabu Generalnego. Sens

maniłowskiej reformy armii polega – zdaniem Felgengauera – na połączeniu wojsk raketowych strategicznego przeznaczenia z siłami wojenno-kosmicznymi. W rezultacie wojska kosmiczne zarabiają pieniądze, przeprowadzając loty komercyjne. Strategiczne wojska raketowe są zaś macierzystą formacją ministra Siergiejewa. Teza Felgengauera pada na podatny grunt. W Moskwie od dawna panuje przekonanie, że wszystko co dzieje się w Rosji, w ostatecznym rachunku sprowadza się do podziału zasobów pozostałych po sowieckim imperium.

Podział Wielkiego Imperium trwa nadal. Kolejną fazę tego podziału doskonale ilustruje skandal wokół osoby byłego wiceministra finansów Andrieja Wawiłowa. Jest on rekordzistą. Przetrwiał wszystkich kolejnych ministrów finansów Federacji Rosyjskiej i dopiero Anatolij Czubajs miał dość siły i wpływów, aby pozbyć się pierwszego wiceministra. Wawiłow powszechnie był uważany za przedstawiciela interesów *Gazpromu* w Ministerstwie Finansów, chociaż pokoleniowo i ideowo więcej łączyło go z młodymi reformatorami niż z gazowymi generałami. Po dymisji został szefem kompanii inwestycyjnej Międzynarodowa Finansowa Korporacja, wchodzącej w skład grupy finansowej Oneksim Bank. Oneksim to najbardziej dynamiczna i najbardziej agresywna grupa finansowa w Rosji, której szefuje były wicepremier Władimir Potanin. Zapewne Wawiłow miał zostać człowiekiem Oneksimu w radzie nadzorczej *Gazpromu*. Niespodziewanie państwo odwróciło się od „prywatnego banku z państwową mentalnością”, jak o swoim banku powiada Potanin: grupa Oneksima przegrała wybory do rady nadzorczej *Gazpromu* i rozpoczął się skandal Wawiłowa.

Ważne są nie jego szczegóły, lecz mechanizmy i przyczyny. Według słów Julii Łatyninej z *Izwestii* – stanowi on zapowiedź Wielkiej Wojny Naftowej pomiędzy dwiema największymi grupami finansowo-politycznymi w Rosji. Z jednej strony grupa Oneksim-MFK Potanina, a z drugiej grupa Obiedinionnyj Bank-Łogowaz Borysa Berezowskiego. Wojna pomiędzy tymi grupami toczy się już od dłuższego czasu na wielu frontach. W wojnie tej grupa Oneksim poniosła już dotkliwe straty, chociaż nie rozpoczęła się jeszcze główna batalia – sprzedaż 48% akcji państwowej kompanii naftowej Rosniefť. Wydobycie tej kompanii stanowi zaledwie 4,6%

ogólnego wydobycia ropy naftowej w Rosji. Jednakże jeśli akcje te kupi należąca do Oneksimu kompania naftowa Sidanko, to stanie się ona drugą pod względem wielkości wydobycia kompanią w Rosji. O akcje Rosniefť stara się również, należąca do grupy Berezowskiego kompania naftowa Sibniefť. Przewodniczącym jej rady nadzorczej jest Rem Wiachirew, szef *Gazpromu*. Na koniec dodajmy jeszcze jeden pikantny szczegół. Kompanią Sidanko kieruje Zija Bazajew, szef czeczeńskiej kompanii naftowej przy „rządzie” Doku Zawgajewa. Może Julia Łatynina z gazety *Izwestia* (w której kontrolny pakiet akcji należy do Oneksim Bank), rzeczywiście ma rację.

Przyczyną trwającej już faktycznie wojny naftowej nie jest tylko niezwykła dynamiczność i agresywność Oneksim Banku, która powoduje nieustanne konflikty z pozostałymi grupami finansowo-przemysłowymi. Zasadniczy powód tkwi w tym, że w Rosji pojawił się kryzys nadwyżki kapitałów (zgromadzonych głównie w bankach), w warunkach niedostatku atrakcyjnych ofert inwestycyjnych na rynku. Stąd też zażarta walka o dość rzadką możliwość opłacalnego ulokowania pieniędzy.

Polem tej rywalizacji jest nie tylko wydobycie ropy naftowej, czy też innych surowców, ale także środki masowego przekazu. Niedawno przycichł konflikt o podział wpływów w gazecie *Izwestia* pomiędzy koncernem naftowym Łukoil a Oneksimem. Bank ten tworzy własny koncern prasowy, w skład którego wchodzi *Ekspiert*, najlepszy na tutejszym rynku tygodnik gospodarczo-polityczny. Będzie on również wydawał gazetę *Russkij Tielegraf*, do której przejdzie część redakcji *Kommiersant'-Daily*, wraz z doskonałym konserwatywnym publicystą Maksymem Sokołowem. Rzecznik prasowy banku Modest Kolerow, filozof (autor monografii o prasie filozoficzno-religijnej z lat 1902-09), oświadczył, że bank chce stworzyć „ośrodek dobrego jakościowo dziennikarstwa gospodarczego”.

Po wakacjach na rosyjskim rynku prasowym powinien nastąpić *boom*. Związany z *Gazpromem* bank Imperiał zamierza wydawać gazetę *Nacjonalnyj Kurier*, opartą na ludziach z *Siewodnia*. Pojawić się również ma kilka mniejszych tytułów, np. *Nacjonalnaja Gazieta*. Już samo zestawienie

tytułów oraz nazwisk dziennikarzy, którzy się w nowych gazetach znajdują, dobrze charakteryzuje kierunek ewolucji prasy rosyjskiej: liberalizm gospodarczy, konserwatywny system wartości politycznych, tradycjonalizm. Takie są oczekiwania nowego rosyjskiego kapitału.

Powróćmy do gospodarki. Latem tego roku zostanie wystawiony na sprzedaż znaczny fragment własności państwowej: akcje sześciu kompanii naftowych, firma Swiaz'inwiest, Rosyjska Spółka Akcyjna Norilskij Nikiel, RSA, Jedinaja Energietyczeskaja Sistiema. Nieuchronnym tego następstwem będzie dalsza koncentracja kapitałów i wzmocnienie oligarchii. Sama tylko konsolidacja rachunków RSA JES w trzech bankach może poważnie zmienić sytuację w świecie finansowym. Już w tej chwili Władimir Potanin wspólnie z byłym menedżerem CS First Boston, Borysem Jordanem utworzył największy w Rosji bank inwestycyjny MFK-Rieniesans. Rosyjska elita polityczna dobrze zdaje sobie sprawę z rosnącą potęgą kapitału.

Gdy rok temu autorzy „listu trzynastu” zaproponowali głównym pretendentom do urzędu prezydenckiego zawarcie kompromisu, stało się oczywiste jak wielka może być siła zjednoczonego kapitału. „Tylko wyłączony samą możliwością zjednoczenia wysiłków świata interesu w polityce, obecna elita polityczna może zagwarantować sobie rolę starszego partnera w aliansie z biznesem”. Dlatego też państwo celowo osłabia pozycje najsilniejszej grupy finansowo-przemysłowej i prowokuje konflikty w świecie interesu. Cel jest jasny – zachować własną niezależność.

Zgodnie z tą logiką postępuje również pierwszy wicepremier Czubajs. Być może był on kiedyś najemnikiem kapitału w walce o władzę, ale w chwili obecnej doskonale zdaje sobie sprawę, że zachować może własną pozycję podtrzymując wysoki stopień napięcia w środowiskach biznesu. Przystąpienie Rosji do międzynarodowych organizacji gospodarczych i zwiększenie obecności obcego kapitału, zwłaszcza bankowego, w Rosji, oto ta polityka, która zapewnia Czubajswi przyszłość polityczną.

Tygodnik *Ekspiert*, piórem Aleksandra Priwałowa, prognozuje w Rosji nie tylko początek Drugiej Wojny Naftowej. Rozpoczęła się również rywalizacja o uzyskanie nominacji na

stanowisko Kandydata Partii Władzy do urzędu Prezydenta. Chwilowa przewaga Borysa Niemcowa nosi głównie charakter wirtualny. Latem powinna się rozpocząć kampania politycznego renesansu Wiktora Czernomyrdina. Premier wzmocnił swoją pozycję w wyniku skandalu Wawilowa. Przystąpił on do kontrofensywy, odzyskując część uprawnień, utraconych uprzednio na rzecz tandemu Czubajs-Niemcow. Przynajmniej tak twierdzi w *Niezawisymoj Gazietie* rzecznik interesów lobby gazowego Rustam Narzikułow.

W chwili obecnej Niemcow jest niewątpliwym faworytem opinii publicznej, ale Michaił Gorszkow, dyrektor solidnego Rosyjskiego Niezależnego Instytutu Problemów Społecznych i Narodowościowych, zwraca uwagę na negatywny przełom w zakresie poziomu zaufania społecznego do byłego gubernatora Niżniego Nowgorodu. Badania przeprowadzone w połowie czerwca br. wykazały również spadek zaufania do A. Lebiedia i niespodziewany wzrost zaufania do A. Czubajsa i J. Gajdara. Preferencje wyborcze Rosjan nie uległy jednakże zmianom. Trójkę liderów nadal tworzą A. Lebied' (18,3% gotowych na niego głosować w wyborach prezydenckich w czerwcu tego roku), G. Zjuganow (16,7%) i B. Niemcow (13,8%). W. Czernomyrdin pozostaje daleko w tyle z poparciem rządu 4,0%. Sytuacja ta łatwo może ulec zmianie wraz z uzyskaniem „nominacji” na stanowisko oficjalnego kandydata.

Trochę inne wskaźniki (choć potwierdzające istnienie trójki liderów), uzyskał Instytut Socjologii Parlamentaryzmu Nugzara Betaneli. Aż 23,8% respondentów zadeklarowało gotowość wysunięcia kandydatury G. Zjuganowa w wyborach prezydenckich w 2000 roku, 21,8% udzieliło analogicznego poparcia B. Niemcowowi i tylko 15,8% A. Lebiedowi. Potwierdza się więc spadek zaufania do dziarskiego generała.

Oleg Witte, konsultant Roboczego Centrum Reform przy rządzie FR, powiada w wywiadzie dla *Litieraturnoj Gaziety*, że wielkiej wojny nie będzie. Dzięki ostatniemu kryzysowi finansowemu państwa, wszystkie grupy elitarne w Rosji, nawet Gazprom, zrozumiały jak fatalny był stary system i gotowe są do współpracy w zakresie przeprowadzenia zasadniczych zmian. Ten oficjalny optymizm potwierdza mistrz politycznego paradoksu Leonid Radzichowski w *Siewodnia*.

Zastanawia się on nad fenomenem społecznego spokoju panującego w Rosji, ojczyźnie światowego bolszewizmu, terroryzmu i ekstremizmu wszelkiej maści. Wokół szaleje kryzys, tymczasem naród spokojnie suszy grzyby i warzy konfitury. Nie widać widma Pugaczowa.

Wyjaśnienie tego fenomenu odnajduje liberalny publicysta u Lenina, właściwego twórcy socjologicznej teorii elit. Powiadał on, że lud sam z siebie niczego nie zdiagnozował. Musi istnieć elitarna grupa, która wykorzysta „gniew mas”. W Związku Sowieckim taka alternatywna elita istniała w latach 1989-91 i zdobyła władzę. W zarodku taka elita istniała w Rosji i po 1991 r., dzięki połączeniu historycznej woli R. Chasbułatowa i biurokratycznego aparatu Sowietów. Po kryzysie 1993 r. opozycyjnej elity w Rosji nie ma. Istnieją tylko nieustanne kłótnie wewnątrz elitarnej tasowki.

Gdy przestaje istnieć opozycja polityczna pojawia się Żyrynowski ze swoim *show*. Dzisiejsza opozycja jest piątą władzą, piątym punktem oparcia dla władzy, piątą kolumną władzy – powiada Radzichowski. Normalna opozycja nigdy, przynajmniej w typowych warunkach, nie będzie głosowała za budżetem i nie udzieli poparcia znienawidzonemu rządowi. Ale partia nie jest normalną opozycją, jest ona „nieprzejednaną” opozycją. W obecnych warunkach oznacza to tylko tyle, że KPRF jest partią urzędników pozostających na służbie państwa. A ideały takiej opozycji najlepiej sformułowała caryca Aleksandra Fiodorowna: „Niech oni się lepiej zajmą problemami kanalizacji.” Co lider frontu ludowo-patriotycznego Aman Tulejew ma zamiar czynić w obwodzie kemerowskim.

Azer Mursalijew komentuje w *Kommiersant-Weekly* wyniki madryckiego szczytu NATO. Prognozuje on nieuchronne przyjęcie do bloku kolejnych nowych członków i wciąganie w orbitę wpływów sojuszu Ukrainy i Zakaukazia. Na koniec zaś stwierdza: „Oczywiste jest wszakże, że żadna próba unifikacji świata nie zakończyła się dotąd powodzeniem”. Dalej czytamy komentarz do przebiegu rokowań rozbrojeniowych w Wiedniu. „NATO nie tylko jest bardzo silną organizacją wojskowo-polityczną. NATO jest również bogate. Z NATO jest bardzo korzystnie handlować. Rosja w ostatnim czasie nauczyła się wyciągać z tego handlu duże

korzyści.” Blok zainteresowany jest, aby szybko zakończyć wiedeńskie rokowania w sprawie ograniczenia broni konwencjonalnych w Europie. Rosja musi upchnąć zleżały towar własnych uprzedzeń. Porozumienie zostanie więc osiągnięte – zapowiada *Kommiersant* – według formuły „ograniczenie broni w zamian za...” Za co – to trzeba uściślić w Wiedniu.

Cytowany już profesor M. Gorszkow podaje, że stosunek rosyjskiej opinii publicznej do kwestii przyjęcia nowych członków do sojuszu północnoatlantyckiego jest ambiwalentny. W kwietniu br. tylko ok. 6% respondentów otwarcie popierało rozszerzenie bloku, a 23% uważało, że ekspansja NATO to obiektywna, chociaż nieprzyjemna rzeczywistość, z którą należy się pogodzić. Ok. 40% badanych było zdania, że proces ten stanowi zagrożenie dla interesów narodowych Rosji. Prawie trzecia część rosyjskiej opinii publicznej nie miała w tej sprawie wyrobionego zdania i to pomimo szerokiego naświetlenia tego problemu w środkach masowego przekazu. Nasilenie propagandy w przededniu podpisania aktu Rosja – NATO w niewielkim stopniu zmieniło rozkład sympatii. Aż 43% badanych nie zajęło w tej sprawie stanowiska. 25% respondentów odniosło się negatywnie do podpisania dokumentu. Trzecia część rosyjskiej opinii publicznej oceniła już to wydarzenie pozytywnie.

Kommiersant-Daily publikuje rozmowę z Siergiejem Markowem, politologiem z Uniwersytetu Moskiewskiego na temat wpływu świata interesów na politykę zagraniczną Rosji. Również w tej dziedzinie pojawia się znany nam już obraz. Konstatuje on przede wszystkim, że rosyjskie korporacje są na tyle silne, że mogą prowadzić samodzielną politykę zagraniczną. Każda kompania na własną rękę poszukuje dla siebie partnera na arenie międzynarodowej, w zależności od własnej „kategorii wagowej”. Wykorzystywane są metody bezpośredniej dyplomacji, wpływy w strukturach władzy państwowej oraz „praca poprzez poszczególnych pracowników MSZ”. Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest zbyt słabe, aby przeciwdziałać tej tendencji – uważa Markow.

Z drugiej zaś strony, korporacje nie stały się siłą określającą charakter polityki zagranicznej. W pierwszej kolejności związane jest to z niezdolnością MSZ FR do sformułowania

ekonomicznych i politycznych interesów „rosyjskich podmiotów”. Jego podejście nadal pozostaje zbyt globalnym, geopolitycznym i abstrakcyjnym dowodem, problemu rozszerzenia NATO, OBWE itd. A gdy mowa jest nie o stosunkach politycznych, lecz o realizacji interesów gospodarczych, związanych z polityką, to w tej dziedzinie pracownicy MSZ z zasady okazują się mało kompetentni”. Ponadto rosyjski świat interesu jest zbyt zatowizowany, a wysiłki rosyjskich korporacji nastawione są na realizację interesów doraźnych. Samo ich istnienie często uzależnione jest od aktualnego układu sił politycznych. Dzisiaj „Potanin jest szefem potężnego imperium – pisze Markow – jutro może się ono rozlecieć jak domek z kart. Chociaż interesy rosyjskiego biznesu nie są skoncentrowane w sferze polityki zagranicznej, to poszczególne kompanie, zwłaszcza gazowe i naftowe, określają realną politykę zagraniczną Rosji w odniesieniu do konkretnych państw”.

Trudno jest zgodzić się z poglądem, że MSZ Rosji jest niezdolny do sformułowania ekonomicznych i politycznych interesów „rosyjskich podmiotów”. Nie leży to w jego gestii. Politykę zagraniczną Rosji formułuje prezydent. Jest niewątpliwie faktem, że najsilniejsze „podmioty rosyjskie” samodzielnie próbują określać politykę zagraniczną Rosji. Dochodzi w tej dziedzinie do rywalizacji pomiędzy poszczególnymi grupami finansowo-przemysłowymi. Np. tandem Wiaczirow-Berezowski i związane z nimi środki masowego przekazu wyraźnie popierają politykę skierowaną przeciwko afgańskim talibom. Wynika to z dążenia Gazpromu do zachowania kontroli nad eksportem gazu z Turkmenistanu. Odmienne jest stanowisko kompanii naftowych, które zainteresowane są w realizacji projektów poza rynkiem rosyjskim we współpracy z firmami zachodnimi. Sukcesy talibów i ewentualna budowa rurociągu przez Afganistan planom tym sprzyja. Znajduje to wyraz w tych głosach rosyjskiej opinii publicznej, które opowiadają się za nawiązaniem konstruktywnego dialogu z talibami. Niewątpliwie inicjatorami tych procesów są „podmioty rosyjskie”, a nie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. W Rosji kształtuje się nowa struktura interesów. Podział zasobów Wielkiego Imperium trwa.

Włodzimierz MARCINIAK

Kabel, Pierścień i polskie nadzieje

„Łańcuch protestu” i sumienie ministra

Apogeum szwedzkich protestów przeciwko budowie podwodnego kabla prądu stałego, mającego łączyć Karlshamn z polskim Dunowem, przypadło na sobotę, 12 lipca 1997. Ponad 100 rybackich kutrów i około 350 żaglowych i motorowych łodzi rekreacyjnych utworzyło u wybrzeży województwa Blekinge 18-kilometrowy łańcuch protestu między Sternö, gdzie kabel ma się zaczynać a Vängsö, przy której to wyspie planowana jest budowa stacji elektrod. Odbyły się także demonstracje, *sit venia verbo*, łańdowe w kilku miejscowościach na obszarze Blekinge, np. w samym Karlshamn (19 tysięcy mieszkańców) kilkaset osób, zatrudnionych głównie w lokalnej branży turystycznej, praktycznie okupowało miejscowy port. Równocześnie z całej Szwecji wysyłane były do ministerstw gospodarki i ochrony środowiska faksy protestacyjne, sygnowane głównie przez lokalne oddziały różnych organizacji ekologicznych. – „Mamy nadzieję, iż dzisiejsza akcja uświadomi rządowi, jak szerokie poparcie ma nasz sprzeciw wobec planowanego połączenia Karlshamn-Dunowo” – powiedziała później prasie i agencji TT docent Dagmar Nordbbs przewodnicząca społecznego komitetu protestu przeciwko projektowi podwodnego kabla.

Warto tu nadmienić, iż demonstracjom mieszkańców Blekinge sporej pikanterii dodaje fakt, iż władze tego najmniejszego województwa Szwecji (tylko pięć gmin o łącznej powierzchni 2941 km²) podpisały w początkach marca 1997 list intencyjny o utworzeniu euroregionu Jantar z obwodem kaliningradzkim, łotewską Lipawą oraz województwami gdańskim i elbląskim. Jednym z głównych zadań euroregionu Jantar ma być wspólne rozwiązywanie problemów ekologicznych, zwłaszcza dotyczących umierającego Bałtyku.

Najwyraźniej tę szczytną intencję potraktowali na serio tylko mieszkańcy Blekinge, a nie ich władze administracyjne, które w sprawie szwedzko-polskiego kabla zachowują przezerne milczenie.

Dnia 17 lipca 1997 w największym szwedzkim dzienniku porannym *Dagens Nyheter* ukazał się obszerny list przeciwników szwedzko-polskiej inwestycji, zatytułowany „Ukrywanie prawdy o kablu do Polski. Czas skończyć hazardową grę o życie Bałtyku”. Wśród sygnatariuszy listu znaleźli się: główny rzecznik szwedzkich Zielonych Birger Schlaug (partia ta z zasady nie ma przewodniczącego), profesor politechniki w Lund Bengt Holmberg, posłowie do parlamentu szwedzkiego i europejskiego, przedstawiciele organizacji ekologicznych. Jednak dokładnie tego samego dnia rząd szwedzki podjął decyzję o udzieleniu zgody na realizację połączenia wysokiego napięcia Blekinge-Polska. Zdumiewające, iż tę rządową decyzję utajniono na kilka dni (ogłoszono ją dopiero 22 lipca 1997), a minister gospodarki, Anders Sundström oświadczył enigmatycznie, iż uczyniono tak „ze względów praktycznych”. Przyznał on jednak, że decyzja jest „kontrowersyjna”, ale jego sumienie – spokojne: decyzja została podjęta w oparciu o ustawodawstwo o wykorzystaniu energii elektrycznej i „to wystarczy” (*DN*, 22 VII 1997). Fakt, iż rząd szwedzki odmówił w tym wypadku skorzystania z artykułu czwartego Ustawy o zasobach naturalnych oznacza, że – wbrew znanym faktom i wcześniejszym obietnicom – sprawę kabla uznano za problem ekonomiczno-techniczny a nie ekologiczny. Minister Sundström wyraził także swoją opinię, iż *summa summarum* eksploatacja planowanego kabla przyczyni się do polepszenia ekologicznej sytuacji w rejonie Morza Bałtyckiego. Jednakże – jak to zauważył Hans Norrbom w biuletynie relacjonującym pracę szwedzkiego rządu i parlamentu (*Riksdag&Departement*, nr 22-1997) – „mało kto podziela to przekonanie ministra Sundströma. Rzeczywiście, trzeba skonstatować, iż przeciwko budowie kabla między Szwecją i Polską wypowiadały się nie tylko niezależne organizacje ekologiczne, ale nawet niektóre państwowe placówki ekspertów, w tym biuro szwedzkich badań geologicznych SGU czy urząd d/s rozwoju technologiczno-gospodarczego NUTEK.

Przedstawiciele chłopskiej partii Centrum oraz Zielonych już zapowiedzieli walkę o uchylenie rządowej decyzji, która nie jest ostateczna i została ich zdaniem podjęta w oparciu o mało adekwatne przepisy prawne. Sama decyzja i postępowanie rządu zostały też zaskarżone do parlamentarnej Komisji Konstytucyjnej KU.

Spróbujmy teraz – *sine ira et studio* – wyjaśnić czytelnikom, o co właściwie chodzi w tej całej aferze z podwodnym kablem. Poniższe uwagi oparte będą wyłącznie o źródła publikowane i opinie powyższych ekspertów, z pominięciem obiegających organizacje ekologiczne przeróżnych plotek, w których wymieniana jest nawet wysokość sumy, jaką podobno zneutralizowano silny początkowo opór pewnych polskich decydentów.

Kabel nieokreślonego przeznaczenia.

Kabel długości 200 km łączący Szwecję i Polskę ma służyć do transportu energii o mocy przynajmniej 600 MW, która ma być przesyłana w postaci prądu stałego wysokiego napięcia. Koszt inwestycji szacowany jest na 3 miliardy SEK. Realizować ją ma mieszana spółka, w skład której wchodzi dwie państwowe firmy szwedzkie: Svenska Kraft (50% udziałów) i Vattenfall (49% udziałów) oraz Polish Power Grid Company (1%). Biegun po stronie szwedzkiej, składający się z sieci tytanowych o powierzchni 120 000 m² (co odpowiada 17 boiskom futbolowym), usytuowany ma być na dnie Bałtyku w Karlshamn. Kabel wytwarzać będzie silne pole elektromagnetyczne, a przy sieci elektrod panować będzie napięcie 450.000 V i natężenie 1.330 A. Jak pamiętamy wszyscy z nauk szkolnych, przepływ prądu przez roztwór wywołuje proces elektrolizy. Dyrektorzy wspomnianej powyżej firmy Vattenfall zamówili ekspertyzę pragnąc wiedzieć jaka ilość anionów Cl⁻ będzie rozkładowana do gazowego chloru. Wybrani i zatrudnieni przez inwestora eksperci twierdzą, iż w grę może wchodzić jakieś pięć ton chloru rocznie. Niemieccy eksperci, zapytani o to samo przez ekologów – przeciwników inwestycji, podają liczbę 14-15 ton chloru rocznie.

Zarówno chlor jak i pole elektromagnetyczne stanowią zagrożenie dla ryb z archipelagu Blekinge, nie tylko dla śledzi, ale także dla węgorzy, troci, i łososi. Te dwa ostatnie gatunki odławiane są sportowo i stanowią dużą atrakcję turystyczną Blekinge. Tylko sportowy połów łososi i związana z nim obsługa wędkarzy daje gminie Karlshamn ponad 100 milionów SEK dochodu rocznie.

Zwolennicy szwedzko-polskiego połączenia przywołują argument, iż jego budowa przysporzy około tysiąca miejsc pracy. Nadmierny od razu, że jest to akurat argument śmieszny. Wszak owego tysiąca zatrudnionych jedynie na czas realizacji inwestycji nie można przeciwstawiać miejscom stałego zatrudnienia, które tracą rację bytu w wyniku fizykochemicznych procesów dookoła kabla. Na archipelagu wysp Blekinge połowy prowadzi 355 zawodowych rybaków. Z obsługi wędkarzy-sportowców żyje w Karlshamn, skromnie licząc, 240 osób. W żadnym rachunku ekonomicznym tysiąc miejsc pracy czasowej nie może przeważać nad powyższymi 600 miejscami pracy stałej.

Należy też pamiętać, że chlor nie tylko odstraszy ryby z archipelagu, ale będzie też wchodził w reakcje tworzące różne trujące związki organiczne. Istnieje przy tym obawa efektu kumulatywnego, podobnie jak to miało miejsce w wypadku DDT czy PCB. Profesor ekologii morza, Fredrik Wulff szczerze przyznaje, iż obecnie nikt nie jest w stanie ściśle przewidzieć konsekwencji wydzielania się dużych ilości chloru w jakimś rejonie Bałtyku. Ponadto procesy elektrolizy mogą mieć jeszcze szereg innych następstw.

Przy okazji dodajmy, iż na planowanej trasie kabla znajdują się w pobliżu wód polskich duże ilości zatopionych pojemników z gazami bojowymi z czasu II wojny światowej: nieuniknione przyspieszenie procesów korozyjnych może więc mieć nieobliczalne konsekwencje.

Uważniejszy czytelnik niniejszego tekstu na pewno postawił już pytanie zupełnie podstawowe: czy ten niebezpieczny kabel, w którego budowie chcą utopić Szwedzi wielką sumę 3 miliardów SEK, ma im służyć do importu energii elektrycznej z Polski czy też do eksportu tejże energii do Polski?

Na pytanie to przedstawiciele czynników rządowych udzielają odpowiedzi niechętnie i w dodatku różnych!

The Baltic Ring

Podwodny kabel łączący Szwecję z Polską ma być częścią wielkiego projektu, noszącego nazwę „Baltic Ring”. Projekt opracowuje specjalna grupa robocza, na czele której stoi Lennart Lundberg, wicedyrektor szwedzkiej, państwowej spółki energetycznej Vattenfall, współpracuje ona w sprawie tego projektu z innymi firmami energetycznymi: niemiecką Preussen Elektra, duńską Sjaellandske Kraftvaerker i fińską IVO (Imatran Voima). Cel projektu polega na połączeniu ogólnonordyckiego systemu dystrybucji energii elektrycznej NORDEL z analogicznymi systemami Polski, Kaliningradu, Litwy, Łotwy, Estonii i strefy St Petersburga. Planowana jest w tym celu budowa następujących nowych połączeń:

– między Finlandią i Rosją (gdź połączenie istniejące obecnie pozwala jedynie na przesyłanie energii elektrycznej z Rosji do Finlandii, ale nie w kierunku odwrotnym);

– między Finlandią i Estonią;

– między Estonią i Łotwą;

– między enklawą Kaliningradu i Polską;

– między Szwecją i Polską (ten właśnie kabel, a właściwie wybrane rozwiązanie konstrukcyjne, wywołuje gwałtowne protesty mieszkańców Blekinge i szwedzkich organizacji ekologicznych).

Niepokój ekologów wywołują nie tylko wszystkie, nader liczne zagrożenia i tak już umierającego akwenu bałtyckiego, związane z funkcjonowaniem kabla. Pamiętajmy, iż Szwecja podjęła niełatwą decyzję stopniowej rezygnacji z wykorzystywania energii jądrowej. Wbrew ciągle jeszcze pokutującym w niektórych mass mediach mitom jest energia nuklearna wcale droga i naturalnie nie jest Szwecja jedynym krajem, który z niej rezygnuje: reaktory zamyka się także w USA, Wielkiej Brytanii, Holandii. Niemniej sytuacja Szwecji jest szczególna. Kraj ten – przez dziesięciolecia marzący o jakiejś „trzeciej drodze”, pouczający innych o wyższości „szwedzkiego modelu” i zasadniczo różniący się od innych państw Europy Zachodniej – zmuszony w końcu został do bolesnej transformacji systemowej. Przeprowadza się ją tak skutecznie, iż Szwecja stawiana jest za wzór innym państwom

europiejskim, zwłaszcza Niemcom. Jednakże – jak na łamach *Frankfurter Rundschau* zauważył Hannes Gamillscheg – szwedzki demontaż *welfare state*'u imponuje wprawdzie innym rządów europejskim, ale coraz więcej szwedzkich rodzin żyje poniżej granicy ustawowego minimum egzystencjalnego. Czym innym jest też dwucyfrowe bezrobocie w krajach Europy Zachodniej, a czym innym – takie samo bezrobocie w Szwecji, której społeczeństwo w okresie powojennym przyzwyczało się do bezrobocia rzędu 3-4%. Nie było przypadkiem, iż przeciwnikami zamykania szwedzkich reaktorów było tylu działaczy związków zawodowych. Szwedzkie organizacje ekologiczne obawiają się, że po zamknięciu reaktorów Barseback 1 (co nastąpi najpóźniej w lipcu 1998) i Barseback 2 (najpóźniej w lipcu 2001) będzie musiała kupować Szwecja z Polski „brudny prąd” – pochodzący ze spalania subwencjonowanego polskiego węgla. Na takie rozwiązanie otwarcie liczy dyrektor Vattenfall, Carl-Erik Nyquist; jego możliwość raduje też prawdopodobnie serca niektórych polskich polityków. Należy nadmienić, iż szwedzka opinia publiczna jest dość uczulona na spalanie węgla; wszak to nie tylko zwiększenie emisji CO₂, ale także „kwaśne deszcze”, będące efektem zużywania zasiarzonego węgla. Przeciwdziałanie tym deszczom, dokonywane głównie przez rozpylanie nad szwedzkimi jeziorami węgla wapnia, jest i kosztowne, i nie bardzo skuteczne. Energetyczny ekspert szwedzkiego oddziału Greenpeace, Dennis Pamplin napisał już blisko rok temu, że zastąpienie reaktorów energią uzyskiwaną ze spalania węgla byłoby otwartą drwiną z obietnicy premiera Perssona, który ciągle zapowiada, iż Szwecja będzie pierwszym krajem na świecie, jaki oprze swoją gospodarkę o zasady *environmentally sustainable economy*¹ (*SvD*, 30 X 1996).

W sprawie możliwości importu energii z Polski politycy szwedzcy wypowiadają się dość mętnie. Początkowo alternatywa ta była kategorycznie odrzucana. Aliści dn. 13 marca 1997 minister gospodarki, Anders Sundström udzielił zna-

1. W publikacjach polskich używa się na ogół terminu „ekorozwój”, który – moim zdaniem – jest nader niedoskonałym tłumaczeniem użytego w powyższym tekście angielskiego terminu ekologicznego. Dlatego właśnie zdecydowałem się na użycie jego wersji oryginalnej.

miennego wywiadu *Finanstidningen*. Stwierdził tam, iż nie widzi niczego zdrożnego w fakcie, że Vattenfall chce kupić w Polsce elektrownie (sic!) i nie wykluczył możliwości importu energii pochodzącej ze spalania węgla. Dn. 22 lipca 1997 minister Sundström zaprezentował dziennikowi *Dagens Nyheter* nieco inny pogląd. Nadmienił, że trudno mu uwierzyć, aby Szwecja „na dłuższą metę” importowała prąd z Polski; możliwe to jest tylko w sytuacjach wyjątkowych – w okresach wielkiej suszy czy ekstremalnie mroźnych zim. Wyraził też swoje przekonanie, że łączący Szwecję z Polską podmorski kabel będzie w sumie dla ochrony środowiska wręcz dobroczynny: „Lepiej jest na przykład wykorzystywać optymalnie szwedzkie elektrownie wodne niż niepotrzebnie spalać węgiel w Polsce”. W tym wywiadzie szwedzki minister powrócił więc do koncepcji szwedzkiego eksportu energii elektrycznej; przypomnijmy, że w Komisji Gospodarki szwedzkiego parlamentu prezentowano 17 grudnia 1996 ideę kabla pod hasłem „Sprzedaż prądu Polsce” (*R&D* nr 36, 1996).

Wolny rynek energii wymusza naturalnie integrację sieci w Europie, niezbędną zwłaszcza w rejonie Bałtyku. Oświadczenia szwedzkich polityków nie dają jednak odpowiedzi na pytanie, a jakim kierunku płynąć będzie prąd w tej części bałtyckiego Pierścienia, która połączyć ma Polskę ze Szwecją.

Co zamiast reaktorów?

Na spotkaniu premierów państw nordyckich na fińskiej wyspie Aland szef szwedzkiego rządu oświadczył dość niespodziewanie, że jego kraj zainteresowany jest warunkami zakupu norweskiego gazu; według doniesienia agencji TT z 22 kwietnia 1997 Göran Persson powiedział dosłownie: „Nie mamy powodu, aby nadal zwlekać, przeciwnie – chcę tak szybko, jak to możliwe rozpocząć rokowania z Norwegią jako ważnym aktorem i uzyskać jasny obraz kosztów całego projektu oraz możliwości zaangażowania w niego Rosji”.

Norwegowie od 15 lat usiłują namówić sąsiednią Szwecję na swój gaz, który łatwiej było im sprzedać Włochom, Austrii czy Hiszpanii. Wypowiedź premiera Perssona wywołała więc

entuzjazm w kołach politycznych, demonstracyjnie okazał swoje zadowolenie premier Norwegii, Thorbjorn Jagland, który jednak nie omieszczał zaznaczyć, iż Norwegia zainteresowana jest budową rurociągu, jaki zaopatrywałby w gaz nie tylko Szwecję, ale także i Finlandię, i państwa bałtyckie. Znacznie chłodniej do wypowiedzi szwedzkiego premiera odniósł się norweski *business* gazowy, który zwrócił baczną uwagę na wzmiankę o Rosji w wypowiedzi Perssona. Dyrektor norweskiego kolosa Statoil, Georg Gundersen zauważył, iż w wypadku tak poważnej inwestycji rozstrzygające znaczenie miałyby ilość gazu dostarczanego nordyckim i bałtyckim odbiorcom (*DI*, 23 IV 1997). Choć dyrektor Gundersen nie wypowiedział kluczowego słowa GAZPROM, usłyszeli je wyraźnie businessmeni z branży energetycznej. Wszak fiński koncern Neste i Gazprom podpisały niedawno list intencyjny odnośnie budowy gazociągu z Saint Petersburga przez Finlandię do Europy. Ta wielka inwestycja, wartości 5 miliardów USD – w celu realizacji której Gazprom i Neste powołały wspólną spółkę Gasum – jest określana jako komplementarna wobec tzw. gazociągu jamalskiego. Bardzo znamienne, że dyrektor koncernu Neste, Jaakko Ihamuotila ujawnił w połowie czerwca tego roku, iż opracowywane są plany fuzji jego koncernu z fińską firmą energetyczną IVO (Imatran Voima). W rzeczy samej jest to zgodne ze światową tendencją zacierania się granic między dostawcami gazu i prądu; jednakże Gazprom już dziś jest współwłaścicielem sieci gazociągowej na terenie Finlandii, a w wyniku planowanej fuzji powstanie energetyczny olbrzym (w fińskiej skali: ponad 11 tysięcy zatrudnionych, blisko 12 miliardów USD rocznego obrotu), którego współwłaścicielem będą też Rosjanie. Norwegowie z irytacją czytać muszą wielkie nagłówki w szwedzkiej prasie typu „Rosyjski gaz z Finlandii do Szwecji”. Niewątpliwie są też rozdrażnieni faktem, iż „ich całkowity potencjał gazowej produkcji rocznej wykorzystywany jest tylko w 60% (przykładowo zainwestowali Norwegowie 18 miliardów NOK w badania i odwierty na Morzu Barentsa, ale dotychczas nie sprzedali z tamtejszych złóż ani jednego metra sześciennego gazu). Zresztą Szwecji mogliby bez trudu dostarczać swój gaz z gazociągu Europe II, biegnącego z Karsto do Emden w Niemczech, który będzie oddany do

użytku w roku 1999, wystarczyłoby pociągnąć niewielką odnogę do istniejącego już gazociągu, łączącego Danię z południową Szwecją. Tą właśnie drogą już dziś dostarcza Vattenfall do Szwecji 865 milionów m³ gazu rocznie.

Reasumując, trzeba stwierdzić, co następuje. W pierwszej kolejności, do lipca 2001, zamknięte będą dwa szwedzkie reaktory Barsenback o mocy 615 MW każdy. Powstały w ten sposób ubytek energetycznej podaży skompensowany będzie w różny sposób:

- z nowych elektrowni gazowych o łącznej mocy około 350 MW (przy czym nie zapadła jeszcze decyzja, czy będzie to gaz norweski, czy rosyjski z Finlandii: najprawdopodobniej i jeden, i drugi, z wykorzystaniem powszechnie stosowanej procedury „swap”);

- przestawienie części elektrociepłowni na spalanie biomasy,

- rozbudowa elektrowni wodnych, lepsze wykorzystanie energii słońca i wiatru;

- lepsze wykorzystanie produkowanej energii (przypomnę, że niemieccy eksperci wylansowali pojęcie „Faktor cztery”; przy określonych nakładach realne jest czterokrotne podniesienie efektywności wykorzystywania energii w stosunku do norm obecnych).

Na okres najbliższych 7 lat rezerwuje rząd szwedzki poważną sumę 9 miliardów SEK na koszty związane z nową polityką energetyczną kraju: z sumy tej 5,5 miliardów przeznaczonych będzie na badania dotyczące energetycznych technologii przyszłości, 1 miliard – na zwiększenie wykorzystywania energii wiatru, słońca i tzw. nośników biologicznych (biomasa, biogaz), a resztę na różne programy dodatkowe (technologie oszczędnościowe, zwiększenie efektywności zużycia produkowanej energii).

Prawdopodobnie w krótkim okresie przejściowym będzie musiała Szwecja importować „brudny prąd” z Polski, ale nie należy liczyć na to, iż będzie to rozwiązanie długofalowe; zbyt silne są w Szwecji organizacje ochrony środowiska i zbyt dojrzała świadomość ekologiczna konsumentów. Ponadto inteligentniejsi doradcy obecnego premiera zdają sobie sprawę, iż polityk musi swojemu społeczeństwu przedstawiać nie tylko projekty doraźnych rozwiązań praktycznych, ale także

jakąś wizję: dawniej był to „szwedzki model“, dziś może to być idea ekogospodarki kraju. Pamiętajmy, że Szwedzi boleśnie odbierają fakt, że w zakresie ochrony środowiska ich rzadko zaludniony kraj wielkich lasów i tysięcy jezior pozostał w tyle za Japonią, Niemcami i USA. Idea „eko-Szwecji” ma więc wielką wartość propagandową. W tym kontekście import energii uzyskiwanej z najgorszego z możliwych nośników: z węgla, jest wykluczony. Ponadto wielki potencjał technologiczny Szwecji rzeczywiście pozwala ją zaliczyć do przyszlých eksporterów energii elektrycznej w Bałtyckim Pierścieniu. Dość łatwo można więc przewidzieć, w jakim kierunku będzie płynął prąd tym dyskusyjnym kablem na dnie Bałtyku. Szkoda tylko łososi z Blekinge.

Już po napisaniu powyższego tekstu doniosły szwedzkie media, że także po drugiej stronie Bałtyku projekt SwePol Link, kabla łączącego Szwecję z Polską, wywołuje na szczeblu lokalnym duże opory. Licząc się z silnym sprzeciwem mieszkańców gminy Mielno, postanowiono nagle zmienić lokalizację polskiej końcówki dyskusyjnego kabla i umiejscowić ją w Ustce (SvD, 22 VIII 1998).

Natomiast w Karlshamn nawet socjaldemokraci nie są zadowoleni z decyzji socjaldemokratycznego ministra Sundströma; socjaldemokraci z władz tej gminy nie godzą się na budowę kabla jednobiegunowego, choć mogliby zaakceptować połączenie bipolarne. Jednak przedstawiciele firmy Vatenfall twierdzą, że interesuje ich tylko plan kabla monopolarnego – budowa dwóch kabli, podwyższająca koszt inwestycji o blisko 1 miliard SEK, byłaby zbyt droga.

W lutym 1998 gotowy będzie szczegółowy plan projektu SwePol Link. Jeżeli władze gminy Karlshamn ocenią go negatywnie, inwestycja nie będzie mogła być realizowana na ich terenie.

Stefan ABNER

Wywiady „Kultury”

Rozmowa z politologiem prof. Adriejem Zagorskim

Krystyna KURCZAB-REDLICH: – *Polityka zagraniczna Jelcyna coraz bardziej łączy Rosję z Zachodem, ze Stanami Zjednoczonymi. Napotyka to na silną opozycję w Dumie. Czy – według Pana – opozycja ta ma choć ciekawą rację twierdząc, że Rosja coraz bardziej popada we władanie USA i Zachodu w ogóle?*

Prof. Andriej ZAGORSKI*: – Istotnie, związanie Rosji z Zachodem wielu przyjmuje jako słabość obecnej polityki zagranicznej. Opozycja w Dumie jednak tylko może hałasować, ale zaszkodzić w niczym nie może. Jej pełnomocnictwa w sferze polityki zagranicznej są bardzo ograniczone.

K.K.-R.: – *No, nie tak bardzo. Nacjonalistyczna większość w Dumie może np. zablokować ratyfikację Układu Rosja–Ukraina, bo trudno się jej pogodzić z oddaniem Ukrainie połowy Floty Czarnomorskiej czy Sewastopola.*

Prof. A.Z.: – Tak, z ratyfikacją tego Układu mogą być kłopoty. Trudno nawet określić kiedy będzie on przedłożony Dumie. Rząd nie przedstawi przecież takiego dokumentu do ratyfikacji nie mając solidnych gwarancji, że układ będzie ratyfikowany.

* Andriej Zagorski, prorektor Moskiewskiego Instytutu Państwowego do Spraw Stosunków Międzynarodowych.

K.K.-R.: – *A jakie to mogą być gwarancje?*

Prof. A.Z.: – Stuprocentowych nikt dać nie może, ale istnieje przecież już wypracowany mechanizm współpracy rządu z Dumą, z jej komitetami...

K.K.-R.: – *Nasuwa się tu, chcąc nie chcąc, podejrzenie o korupcję. Tyle się o tym ostatnio mówi. Jeden z posłów opozycji komunistycznej, Siemago – oskarżył o nią samego spikera Dumy, również komunistę – Sieliezniowa. Podobno kupno głosu deputowanego (posła) Dumy, kosztuje minimum 10 tysięcy dolarów i wcale nie jestem przekonana, że to żart...*

Prof. A.Z.: – Ja też nie, ale w tym wypadku nie będzie to chyba miało znaczenia, bo pierwsze prognozy ratyfikowania tej umowy były dość optymistyczne: „za” obiecała głosować ponad połowa posłów. Oczywiście, że przed samym głosowaniem rozgorzeje walka. Rząd jednak na pewno, ze względu na prestiż tego Układu, dołoży wszelkich starań, by skłonić konieczną większość do ratyfikowania go.

K.K.-R.: – *Prawdę mówiąc Rosja w kontaktach z Ukrainą zachowywała się dość lekkomyślnie. Jelcyń sześć razy odwoływał swoją wizytę w Kijowie, co – jakby – popychało prezydenta Kuczmę ku Zachodowi. I dopiero po jego wizycie w Brukseli i podpisaniu porozumienia z NATO, Rosja się opamiętała. A wyjazd do Tallina na spotkanie z prezydentami Polski i Litwy, też coś znaczy. Czy, wobec tego, Ukraina będzie lojalnym partnerem Rosji?*

Prof. A.Z.: – Oczywiście, jeśli Rosja nie będzie pociągać za gazowe, czy naftowe dźwignie, bo wtedy perspektywy stosunków z Kijowem będą jeszcze bardziej złożone.

K.K.-R.: – *A czym może Rosja zagrażać Ukrainie?*

Prof. A.Z.: – W gruncie rzeczy – niczym, bo wszystko, co proponują radykałowie, to miecz o dwóch ostrzach. Tak. Ukraina totalnie zależy od rosyjskich dostaw gazu, praktycznie bezpłatnych, ale jeśli poseł Zatulini proponuje zamknąć

Ukrainie kurek, to natychmiast otrzymuje odpowiedź od GAZPROMU, że jeśli zamkniemy kurek, to rosyjski gaz przestanie płynąć na Zachód, i więcej stracimy, niż zyskamy. Rosja zaczyna wreszcie pojmować, że nie potrzebni są jej satelici, lecz stabilni, kwitnący i przyjaźnie do niej nastawieni sąsiedzi.

K.K.-R.: – *No i jakby nie było, potrzebne jest Rosji „zaprzyjaźnione” czyli ukraińskie wyjście na Morze Czarne, silnie kontrolowane przez Turcję.*

Prof. A.Z.: – To są takie rozważania geopolityczne, a ja w geopolitykę nie wierzę. Wierzę tylko w racjonalne myślenie ekonomiczne.

K.K.-R.: – *Jeśli odrzucić geopolitykę, to jak rozpatrywać pozycję Ukrainy obecnie?*

Prof. A.Z.: – Ukraina (50 procent jej handlu zagranicznego przypada na zakupy Rosji) boi się, że Rosja zechce powrócić do swej dawnej roli dominanta: nie jest w stanie przeprowadzić radykalnej reformy, która by uratowała jej gospodarkę: manewruje więc, ogrywając inne warianty ukierunkowania swej polityki.

K.K.-R.: – *A czy – według Pana – liczy ona na Polskę?*

Prof. A.Z.: – Myślę, że liczy, traktując ją jako moment przetargowy, ale najważniejsze są oczywiście „zagrywki” z NATO i Radą Europy. Bo, ważniejszym, niż „rosyjski” problem Ukrainy, jest problem rozszerzenia NATO. Wiadomo, że Ukraina do NATO nie zostanie przyjęta nawet i na trzeciej fali. A więc – część państw do NATO wchodzi, Rosja podpisuje z sojuszem odrębną umowę, i – Ukraina zostaje za burtą. A tego bała się najbardziej. Dość późno jednak pojawiła się w Kijowie idea podpisania oddzielnej umowy z Paktem Północnoatlantyckim. Teraz Ukraina ma możliwość prowadzenia polityki tak, by rozszerzenie NATO nie popychało jej z powrotem w polityczne objęcia Rosji, bo z gospodarczych na razie wyrwać się nie potrafi.

K.K.-R.: – *A czy Rosja – siedząc w kieszeni Międzynarodowego Funduszu Walutowego czy Banku Światowego, potrafi się kiedyś wyrwać ze – zbyt może ciasnego – uścisku Zachodu?*

Prof. A.Z.: – Od MWF zależy niewiele, bo on, jak i Bank Światowy, posługuje się określonymi kryteriami, na podstawie których daje kredyty. Budżet rosyjski bez nich się nie obejdzie. Jest deficytowy, a pamiętajmy, że Rosja rozlicza się jeszcze z długów ZSSR. To, co teraz robi odmłodzony rząd, rodzi pewne nadzieje na to, że będą prowadzone racjonalne reformy wewnętrzne. Jest to problem kompleksowy związany z reformą podatkową, celną, socjalną i wielu innymi. Główny ich cel: zmniejszenie roli państwa tam, gdzie ta rola jest niepotrzebna.

K.K.-R.: – *Opozycja komunistyczna zarzuca obecnej władzy ignorowanie takich partnerów gospodarczych jak Chiny, Indie, Iran, Irak itp. Czy oponenci nie mają tu odrobiny racji?*

Prof. A.Z.: – Nie. Jasne jest, że w tych państwach nie ma pieniędzy ani na kredyty dla Rosji, ani na zakup jej produkcji.

K.K.-R.: – *Jak to: a Chiny? Tyle było niedawno szumu przy podpisywaniu z nimi układu o przyjaźni? Zaś chiński rozwój gospodarczy jest w Rosji przedmiotem zazdrości...*

Prof. A.Z.: – Owszem, chwalimy się naszymi rezultatami sprzedaży w Chinach, ale oprócz nich nikt by tej produkcji nie kupił! Podtrzymuje to tylko krótkowzroczną politykę przedsiębiorstw, którym pieniądze potrzebne są natychmiast. A przecież przyszłość to orientacja na najbardziej wymagające rynki światowe. I nie przesadzajmy z tą naszą wymianą handlową: w zakupach Rosji jest tylko 6 procent produktów chińskich, i odwrotnie: Rosja nie gra większej roli na rynku chińskim. Owszem – jeśli się weźmie dochód globalny Chin, można przypuszczać, że mamy do czynienia z najsilniejszym imperium gospodarczym początków przyszłego tysiąclecia.

Jeśli jednak popatrzeć, jaki jest ten dochód na głowę mieszkańca, to się okaże, że jest 5 razy mniejszy niż dzisiaj w Rosji! A więc ów rynek w Chinach jest bardzo wąski, a sytuacja socjalno-gospodarcza grozi wybuchem. Poza tym – jakże ogromna różnica w rozwoju różnych okolic Chin: w eksperymenty gospodarcze są wciągnięte szczególnie rejony zachodnie i centralne, reszta ma się o wiele gorzej. Jeśli spojrzeć na etniczne, narodowe, regionalne problemy Chin, to zobaczymy, że istnieje wiele scenariuszy rozwoju chińskiej sytuacji, które mogą postawić w wątpliwość dzisiejszy scenariusz konstruktywny. W związkach z Rosją istnieje dla Chin oczywiście wygodny moment ucieczki od Zachodu w dziedzinie obrony praw człowieka czy np. w problemie tajwańskim.

K.K.-R.: – *Układ o przyjaźni między Rosją a Chinami, miał dać Rosji choćby niewielkie poczucie bezpieczeństwa wobec rozszerzającego się NATO. A niedawno słyszałam, że Chiny wycelowały na centrum Rosji rakiety wyposażone w nowoczesne paliwo twarde. Czy Rosja nie może tego odczuć jak wsadzenie w plecy – no, nie noża, ale – powiedzmy – scyzoryka?*

Prof. A.Z.: – Przy takich rozmiarach „urakietowania” Chin jak dotychczas, nie jest to dla Rosji problemem.

K.K.-R.: – *Nie należy więc traktować serio groźby chińskiej bomby jądrowej?*

Prof. A.Z.: – Na razie nie. A przyjaźń z Chinami to złożony element rosyjskiej polityki zagranicznej.

K.K.-R.: – *A kto właściwie tę politykę tworzy: minister spraw zagranicznych – Jewgienij Primakow, podległy mu resort czy sam Borys Jelcyn?*

Prof. A.Z.: – Dotychczas w polityce międzynarodowej nie powstał w Rosji ani jednolity schemat przygotowywania decyzji, ani ich przygotowywanie. Tak więc i rola Primakowa, i MSZ, zależą od okoliczności, które są specyficzne dla każdego problemu z osobna. Primakow jest oczywiście osobowość

cią o wiele silniejszą niż jego poprzednik Andriej Kozyriew.

K.K.-R.: – *Ale czy jest to osobowość – dla obrazu Rosji w świecie – bardziej pozytywna?*

Prof. A.Z.: – Można u Primakowa znaleźć resztki tego, co nazywamy mentalnością sowiecką, ale przez półtora roku pracy na stanowisku ministra spraw zagranicznych okazał się człowiekiem myślącym racjonalnie, dostatecznie rozumnym i szukającym kompromisu. Według mnie to, że uzyskaliśmy porozumienie z NATO, to osobista zasługa Primakowa. On osobiście odegrał tu dość znaczącą rolę w polityce zagranicznej Rosji – trudno, bo tak on, jak i cały MSZ są wykonawcami decyzji prezydenta. A czyich rad prezydent słucha – tego ja nie wiem.

Tak czy inaczej, w całej historii z NATO, Primakow zrobił to, co bardzo chciał zrobić Kozyriew, ale mu nie pozwolono. Przy Primakowie opozycyjna Duma zatwierdza trudne decyzje, na które przy Kozyriewie nigdy by się nie zgodziła. I to z powodów czysto osobistych. Jelcyn – powierzając w styczniu Primakowowi prowadzenie pertraktacji z NATO wybitnie wzmocnił jego rolę.

K.K.-R.: – *A czy może są Panu znane jakieś szczegóły rozmów z Javierem Solana czy Madeleine Albright?*

Prof. A.Z.: – Niestety nie. W mojej pracy nie korzystam z tajnych dokumentów. A w tych rozmowach tajność potwierdza tylko ich rzetelność. Można było wreszcie przejść od niekonstruktywnych wzajemnych obwinień do kooperacji. I tu najistotniejsze posunięcie uczynił Primakow jeszcze przed rozpoczęciem rozmów. Oddzielił on mianowicie problem rozszerzenia NATO od problemu współpracy: Rosja–NATO. I tak, w sprawie rozszerzenia NATO Primakow wywalczył parę fundamentalnych spraw. A więc – po pierwsze: zobowiązanie nierozmieszczenia broni nuklearnej w państwach – nowych członkach Sojuszu...

K.K.-R.: – *Nie wydaje się, by te państwa tak bardzo się przy tym upierały, a więc jest to zwycięstwo raczej pozorne...*

Prof. A.Z.: – Może istotnie druga sprawa była trudniejsza do osiągnięcia: zobowiązanie do nieprzekraczania określonych pułapów zbrojnych we wszystkich pięciu rodzajach uzbrojenia przewidzianych w Umowie Wiedeńskiej. Niejako na marginesie rozmów dotyczących NATO osiągnięto porozumienie i w sprawie umowy o konwencjonalnych siłach zbrojnych (co jest właśnie częścią obustronnego kompromisu), porozumienie dotyczące wstąpienia Rosji do Klubu Paryskiego, porozumienie w sprawie statusu Rosji w „siódemce” i wiele innych...

K.K.-R.: – *Interesujące – dlaczego zawiera się na przykład porozumienie w sprawie Układu Rozbrojeniowego START III, jeśli ratyfikacja poprzedniego STARTU II ciągnie się już parę lat?*

Prof. A.Z.: – Rozmowy Clintona z Jelcynem w Helsinkach uprościły tu parę spraw dzięki obustronnym kompromisom. W jawnej formie doczekała się więc potwierdzenia umowa o obronie przeciwrakietowej, a także właśnie przedłużenie terminu realizacji umowy START II.

K.K.-R.: – *A czy nie logiczniej byłoby poczekać ze STARTEM III do czasu ratyfikacji STARTU II?*

Prof. A.Z.: – Nie sądzę; ogólna zasada STARTU III to niewątpliwie poważny krok w stronę Rosji, jako że nie tylko przewiduje zniesienie ilości broni jądrowej USA do poziomu rosyjskiego, ale zwalnia Rosję od konieczności zwiększania rozmaitych komponentów swoich sił strategicznych po to, by się wpisać w parametry STARTU III.

K.K.-R.: – *Jaka jest więc istota STARTU II?*

Prof. A.Z.: – Zniżenie pułapu głowic bojowych przez każdą ze stron z 3,5 tys. do 2,5-2 tys. To było potrzebne Rosji, bo ona – tak czy inaczej musiałaby likwidować część uzbrojenia rakietowego, jako że kończyły się jego terminy gwarancyjne. Wtedy, kiedy przygotowywano START II, Amerykanie nie byli gotowi do zniesienia ilości swoich głowic do 2 tys. I jeśli

pozostać przy początkowej wysokości STARTU II – 3,5 tys. po każdej stronie, to Rosja zmuszona byłaby do kosztownego dozbrojenia, w które wchodziłyby także i nietradycyjne dla niej dziedziny, np. łodzie podwodne. Sens STARTU II dla nas korzystny: nie musimy zawyżać naszego uzbrojenia do – wygodnej dla USA – liczby 3,5 tys. a pozostajemy przy wygodnej dla Rosji – liczbie 2 tys. Likwidujemy stare rakiety i nie musimy budować nowych.

K.K.-R.: – *Czym wyzwana jest taka łaskawość Stanów dla Rosji?*

Prof. A.Z.: – Clinton, w odróżnieniu do Kongresu USA, stara się iść drogą znajdowania rozwiązań, które są do przyjęcia przez obie strony. Nie ma dziś potrzeby utrzymywania takiego potencjału sił zbrojnych jak w czasie „zimnej wojny”. Ale im bardziej zaniżamy ilość uzbrojenia jądrowego, tym bardziej narzuca się konieczność rewizji wszystkich układów rozbrojeniowych START. I to stoi dziś na porządku dziennym. Oczywiście jest to woda na młyn nacjonalistycznej opozycji po każdej stronie.

K.K.-R.: – *Likwidowanie jednych systemów zbrojnych rodzi konieczność tworzenia innych. Czy nie prowadzi to do wzmocnienia zbrojeń konwencjonalnych na przykład?*

Prof. A.Z.: – Oczywiście, że im bardziej się zmniejsza straszak jądrowy, tym bardziej rosną na znaczeniu zbrojenia konwencjonalne.

K.K.-R.: – *Dowodem na to są chyba także posunięcia w reformie wojskowej dopiero co ogłoszonej przez Jelcyina, które dotyczą redukcji wojsk raketowych...*

Prof. A.Z.: – Jak najbardziej. Ogólnie mówiąc: dzisiaj strategiczna broń jądrowa to – w istocie – rzecz bezużyteczna, tak w wojskowym, jak i w politycznym sensie.

K.K.-R.: – *To pocieszające, ale tylko przy takiej opcji politycznej, jaką zaczynają prezentować od niedawna*

Jelcyn i najbliższe jego otoczenie. A co będzie z Rosją po Jelcynie?

Prof. A.Z.: – Jestem optymistą, jako że widzę wiele pozytywnych procesów, które zachodzą u nas na płaszczyźnie politycznej, ekonomicznej, socjalnej, a nawet w naszej skrymalizowanej gospodarce. To, czego się jednak obawiam w 2000 roku, to nie wyboru między komunizmem a antykomunizmem, bo ten wybór mamy już za sobą, ale wyboru trudniejszego: między liberalizmem a nacjonalizmem. Możemy także stanąć przed wyborem: demokracja a oligarchia. Demokracja i liberalizm nie rodzą się bez obywatelskiego społeczeństwa, a obywatelskie społeczeństwo nie powstaje bez wolności obywatelskiej. Ale jeśli gospodarka zależy od biurokracji i trudno mówić o realnej wolności ekonomicznej – nie będzie niezależnego społeczeństwa obywatelskiego. To, z czym walczy dziś obecna młoda drużyna rządowa, to właśnie dowolność biurokracji. Ja wierzę w tę nową drużynę, stąd mój optymizm.

K.K.-R.: – *Ale i na tę drużynę już posypały się zarzuty korupcji. Czy w ogóle można jeszcze wierzyć w uczciwość w polityce?*

Prof. A.Z.: – Tak, jeśli pracuje się w imię normalności: pragnienia, by żyć w normalnym społeczeństwie, dla którego konieczna jest normalna gospodarka. Tę normę trzeba dopiero stworzyć. Rosyjscy liberałowie doskonale widzą swoje ograniczenia, ale właśnie teraz, przy tak głębokim kryzysie gospodarczym – mogą się wykazać. Ja im wierzę.

K.K.-R.: – *Cóż, życzę Panu, by się Pan nie zawiódł i dziękuję za rozmowę.*

Krystyna KURCZAB-REDLICH

Kraj

Ostatnie wybory tysiąclecia

1.

Polskie reformy toczyły się od samego początku jako bezalternatywne: albo reformujesz i jesteś reformatorem, albo odmawiasz i jesteś przeciwnikiem reform, ale nie możesz reformować inaczej. Dość zabawnym detalem historycznym jest to, że reformatorzy z OKP nastawiali się najpierw, jesienią 1989 na to, że przeciwnikiem reform będzie PZPR, a tymczasem już wkrótce okazało się, że najhańsliwszy opór stawia prawica, która stopniowo ale szybko konfabuluje wokół tego sprzeciwu cały horror historyczny, z czarnymi postaciami Magdaleny, Okrągłego Stołu i Grubej Kreski. Prawica starała się wtedy wyodrębnić i zorganizować politycznie, toteż dla niej krytyka reform i ów horror historyczny były nie tylko instrumentem w walce o władzę, lecz sposobem samoidentyfikacji. Stąd szybko nasilająca się zła wola i zaślepienie, co z kolei znakomicie ułatwiało reformatorom odrzucanie krytyki: hurtem i bez dyskusji. Co gorsza, pod pretekstem, że z oszołomami i półanalfabetami nie debatuje się o ekonomii, świeżo upieczeni wyznawcy *reaganomics* nie pofatygowali się nawet rozważać argumentów tych, którzy podnosili to, co w XIX wieku zwano kwestią socjalną: bieguny nędzy, marginalizację, rozwarstwienie. Inna sprawa, że ci późniejsi założyciele Solidarności Pracy i Unii Pracy, inaczej niż prawica, wcale nie chcieli się wyodrębnić i zorganizować i wskutek tego wcale nie szukali dla siebie i swych zapatrywań na kwestie szczegółowe szerszej podstawy ideowej i spójnego programu. Łatwo było ich potraktować jako *doux rêveurs*, tękniących za prawdziwym socjalizmem,

którego nie było, nie ma, nie będzie i być nie może. Jeszcze dziś, kiedy krystalizacje obozów politycznych są znacznie bardziej zaawansowane i bezalternatywność koncepcji rozwojowych okazuje się coraz wyraźniej nie do utrzymania, pozostało wiele z tego zacządzienia ortodoksją neoliberalną i monetarystyczną. Znamiennym przykładem może być jednogłośny (niemal) aplauz, z jakim twórcy nowej konstytucji winszowali sobie ustanowienia konstytucyjnej niezależności Banku Narodowego i ograniczenia budżetowej suwerenności władzy ustawodawczej. Pisał o tym Robert Kaczmarek w poprzedniej *Kulturze* i obawiam się, że już wymagania odbudowy zniszczeń powodziowych bardzo szybko przyznają mu rację. Rzecz w tym, że takiego głosu nie znalazłem w krajowej prasie. Może źle szukałem, ale z całą pewnością zwykły widz telewizji i czytelnik jednej gazety dziennie dowiadywał się zewsząd – również od opozycji antykonstytucyjnej, bo Romaszewski cytowany przez Kaczmarka był wyjątkiem – że doskonale się stało, iż zadłużeniu publicznemu „nie wolno” przekroczyć 60% PNB.

Zacząłem od bezalternatywności polityki reform – szerzej pisałem o tym w *Kulturze* przed laty, kiedy rzecz się działa, a Balcérowicz był prorokiem – ponieważ miała ona znaczny wpływ na kształtowanie mentalności pokoleń, które w III Rzeczypospolitej wchodzi w życie dorosłe.

Przede wszystkim decydującą rolę odegrał solidaryzm – społeczny, wyznaniowy i narodowy. Był on najpierw naturalnym dalszym ciągiem etosu Pierwszej Solidarności. W latach osiemdziesiątych władzy nie udało się wprowadzić wygasic oporu, ale bezspornie udało jej się przerwać rewolucyjny wzlot. Dzisiaj, kiedy rewolucje są nie w modzie, a utopie pogrzebano, tylko historycy chcą jeszcze zdawać sobie sprawę, jak ogromne znaczenie dla świadomości społecznej i edukacji pokoleń mają takie krótkie okresy wzlotu. Otóż Pierwszej Solidarności nie dane było dojrzeć: stan wojenny natychmiast zawęził całe pole myślowe ruchu. Wszystko stało się tylko i wyłącznie walką z władzą, myślenie o urzędaniu świata i społeczeństwa zanikło. Wprowadzie przy Okrągłym stole część delegatów opozycji podtrzymywała jeszcze „Program Rzeczypospolitej Samorządnej” z I Zjazdu „S”, ale ostatecznie nie zostało z tego wiele. Wbrew Tadeuszowi Ko-

walikowi („Społeczne koszty transformacji”, Warszawa, lipiec 1997, seria Opinii i Ekspertyz Klubu Parlamentarnej Unii Pracy) – nie tylko nie był to „program w dosłownym znaczeniu”, ale nawet „zarys alternatywnego programu”. Dlatego m.in. „terapia szokowa” została zaakceptowana tak bez dyskusji i dlatego stała się tak łatwo wstępem do rozwoju dzikiego kapitalizmu w osłonie państwa prawa.

Z dzisiejszej perspektywy naszego tematu najważniejsze było, że tak zainicjowana przebudowa ustrojowa skojarzona była zarówno w rzeczywistości jak zwłaszcza w komunikacji społecznej, czy w zwykłej propagandzie, z procesem przywracania suwerenności państwa i następnie odwracania jego orientacji międzynarodowych (akces do NATO i postulat akcesu do Unii Europejskiej). Umacniało to jeszcze solidaryzm czasu stanu wojennego. Interesy grupowe – o klasowych nie wolno było najpierw w ogóle mówić – traktowane były jako wstydlive, ich artykułowanie – jako przejaw zacofania świadomości: ponoć to *homo sovieticus*, uwolniony od strachu, dopominał się teraz o swoje, choć przecież od tworzącej się Trzeciej Rzeczypospolitej nic mu się nie należało. Jest to oczywiście szkic bardzo pogrubiony, ale zależy mi na podkreśleniu istotnej różnicy pomiędzy tą sytuacją, a normalną w krajach rozwiniętego kapitalizmu sytuacją przetargu, kiedy partnerzy socjalni najpierw muszą osiągać porozumienie i kontrakt, aby dopiero potem móc skonstatować, że kontraktu tego we własnym interesie powinni przestrzegać: ich interesy nie stają się więc wprawdzie wspólne, ale, w zakresie kontraktu, zgodne. U nas nad wszystkim dominował, a przynajmniej zgodnie z nową ortodoksją dominować powinien interes wspólny, narodowy i obywatelski. Dopiero stopniowo, pod naciskiem niezadowolonego społecznego, zaczęła się krystalizować koncepcja partnerstwa społecznego, negocjacji i Komisji Trójstronnej: ale ta praktyka jest ciągle jeszcze wątpliwa, a po śmierci Andrzeja Bączkowskiego straciła swego najwytrwalszego rzecznika.

Interesy grupowe były więc długo nieuprawnione, ich ekspresja kłóciła się ze skutecznie narzucaną przez media polską poprawnością polityczną (*Polish political correctness*). Jeszcze i dziś prasa liberalna piętnuje wszelkie przejawy takich „egoizmów”: chłopów czy górników, stoczniovców czy nauczycieli. Natomiast, i to jest dla naszej

poprawności politycznej moment kluczowy, dobrze widziany jest każdy indywidualny awans materialny, każde indywidualne dorabianie się a interesy jednostkowe, byle zgodne z kodeksem, są naturalnie święte i wywodzą się, w tej optyce, wprost z praw człowieka, głównej i bezspornej zdobyczy cywilizacji po ciężkich doświadczeniach XX wieku.

Łatwo dostrzec, że taka struktura więzi międzyludzkich aż nadto przypomina obraz z czasów realnego socjalizmu: atomizowane społeczeństwo bez innych żywych więzi poza rodziną, w rezultacie pomiędzy rodziną a narodem brak jakichkolwiek więzi pośredniczących. Nic dziwnego, że nawróceni na neoliberalizm przedstawiciele dawnego etosu opozycyjnego tak bardzo nalegają na odbudowę lub kreację zapośredniczenia i dobrze, że odwołują się w tym celu do samorządności. Ponieważ jednak są liberałami właśnie, bardzo się zarazem boją, żeby im te wszystkie lokalne, profesjonalne i gospodarcze samorządności nie zepsuły wolnego rynku. Dlatego zniweczyli wszelkie szanse samorządu robotniczego i dlatego z taką skwapliwością wymienili idee samorządu lokalnego na „reformę administracyjną” i nieszczęsną wojnę o powiaty, które w najlepszym razie mogą usprawniać zarządzanie terenowe, choć i to bardzo wątpliwe, bo pewne jest tylko, że przybędzie od nich urzędników i stanowisk. Rzeczywista samorządność, która może pełnić funkcję owej więzi pośredniczącej, musi zasadzać się na poczucie przynależności, a zaiste z trudem wyobrażalne jest zmieszczenie w jednym Polaku jak w pudełku obywatelskiego poczucia przynależności do całej piramidki struktur pośredniczących: gminy, powiatu itd... To, że zjawisko atomizacji powtarza się dziś z ustroju na ustrój jest w dużej mierze efektem cywilizacyjnym, a administracyjnymi pomysłami nikt sobie jeszcze z takimi efektami nie poradził. Mnożenie struktur pośredniczących może jedynie uczynić je wszystkie martwymi.

Pomiędzy realnosocjalistyczną a obecną atomizacją jest jednak zasadnicza różnica: dynamizm struktury. Mnożą się ostatnio opisy i reportaże z życia ludzi młodych, uczniów, studentów, sprzedawców, businessmenów, które wiarygodnie przedstawiają niebywały do niedawna w Polsce dynamizm, zaangażowanie w naukę bądź pracy, konkretność celów. Wiedza praktyczna, kariera i pieniądze, pieniądze, pieniądze... Nie

ma, jak sędzę, żadnego powodu, by wybrzydzać na tych młodych ludzi, a zwłaszcza, by prawić im morały. Znaleźli się, inaczej niż ich poprzednicy, w szczęśliwej sytuacji, w której mogą bez moralnej ujmy uwewnętrznić i uznać za swój przymus zewnętrzny: ten ma bowiem formę pokusy konsumpcji, nie zaś zakazu i nakazu władzy bez autorytetu. Nadto, jak widzą działania, do których się ich zachęca, są całkowicie zgodne z kierunkiem, w jakim zmierza cały kraj i jaki wedle powszechnej opinii wskazuje jego racja stanu. W tym znaczeniu od dawna nie było w Polsce tak szczęśliwego pokolenia.

Jeśli do pełni szczęścia zabrakło im owych pośredniczących przynależności, to mają do wyboru dowolnie mnogą rozmaitość klubów, towarzystw, stowarzyszeń i fundacji, w których mogą się spotykać i działać najzupełniej gratis: wypełniać czas wolny znaczkami pocztowymi, zbiorowym seksem lub dobroczynnością.

Różnicy pomiędzy oboma rodzajami przynależności szeroko wyjaśniać nie trzeba: w pierwszej jest się kimś, w drugiej coś się tylko uprawia.

2.

Tymczasem jednak z solidaryzmu Polaków sypie się gruz i powraca, choć często jeszcze boi się nazwać, poczucie przynależności klasowej, przeciwieństwa i nawet sprzeczności interesów. Najpierw, oczywiście, na obrzeżach, tam gdzie nowe porządki wyprzątają na śmietnik bezbronnych i gdzie nowi właściciele realizują niczym nieskrępowani swoją „akumulację pierwotną”: w dawnych PGR-ach, w małych, prowincjonalnych fabryczkach, w szarej strefie. Innych, jak emerytów i rencistów, broni, do czasu, wielka liczba, która może przeważać szale wyborcze: do tej grupy społecznej wprost odwołują się np. w tegorocznych wyborach dwie listy, w tym Krajowej Partii Emerytów i Rencistów, czarny koń tej elekcji. Tym grupom nowy dynamizm społeczny niczego nie oferuje, na drabinę do nieba nie mają szansy wskoczyć ani oni sami, ani ich dzieci... Gdzie indziej, w większości społeczeństwa perspektywa awansu indywidualnego, „przebiecia się” nadal kształtuje myślenie, mimo że stopnie drabiny rozsuwają się nieprzerwanie.

Pod wszystkimi przeciętnymi statystyk kryją się coraz

większe rozpiętości. Płace realne wstają w tym roku w tempie 5,9% – ale najszybciej w najwyższych grupach: menadżerów, członków zarządów spółek i banków. Krzysztof Dzierżawski z Centrum im. Adama Smitha ocenia, że o płacach menadżerów „najczęściej decydują żądania samych zainteresowanych”. (*Dziennik Prawa i Gospodarki* z 8.8.97). Toteż sięgają one średnio 16-krotnej płacy przeciętnej, a u rekordzistów nawet 40-krotnej. W ogólności zarobki kadr kierowniczych polskich firm i spółek (również państwowych) są na poziomie wysoko rozwiniętych gospodarek zachodnich. A zwykłe płace, wiadomo...

W polskich miastach trwa ostentacyjne różnicowanie habitatu: dzielnice lepsze i gorsze różnią się od dawna, ale teraz w lepszych rosną eleganckie osiedla dla bogaczy, a w gorszych nie rośnie nic, bo budownictwo dla średnio sytuowanych ledwie dyszy, a socjalne w ogóle nie może wystartować. Przybywa eksmisji. W *Rzeczpospolitej* z 13.8.97 Krystyna Milewska opisała pt. „Z socjalizmu do socjalnego lokalu”, jak sądy RP obu instancji nakazały eksmisję małżeństwa 70-letnich emerytów, po kilkudziesięciu latach pracy zawodowej, z zajmowanego od 26 lat lokalu. Formalnie wszystko jest w porządku, ponieważ nie mieli umowy najmu, jako byli dozorczy, którzy się nie wyprowadzili w 1974, bo nie mieli dokąd, a urząd ich tolerował przez następne 22 lata, brał regularnie płacony czynsz i pozwalał inwestować w te 39 m², założyć ogrzewanie gazowe, urządzać łazienkę...

„Czy pan S. mógł przewidzieć swój los? Próbował mieszkać zgodnie z prawem. Występował o przydział. Urząd mógł go dać, ale nie dał, choć traktował pana S. jak prawowitego najemcę. Pan S. założył książeczkę mieszkaniową, która jego problemu nie rozwiązała i posłużyła jako argument, że ...nie miał tytułu prawnego do lokalu i wiedział o tym. Wolny rynek mieszkań zastał pana S. na emeryturze. Kapitalizm spadł na rodzinę S. jak kataklizm, zaś urząd, który kiedyś chronił socjalistycznego obywatela, dziś, zgodnie z prawem, broni kapitalistycznego prawa własności. Panu S. z socjalizmu zostało prawo do socjalnego lokalu. Z wychodkiem oddalonym od mieszkania nie dalej niż 5 metrów, za to z prawnym tytułem do lokalu”.

Eksmisja, uzupełnijmy, została orzeczoną na wniosek

właściciele reprivatyzowanego budynku, którzy po swój spadek przyjechali do ojczyzny przodków. Dodam dla uciechy czytelników, że w zapale reprivatyzacji nikt nie pyta o hipoteki. Tych się przy restytucji nie odtwarza i nikt nie musi spłacać dawnych długów: kamienice oddaje się czyste.

Casus państwa S. jest jeszcze nietypowy. W 2004 r. kiedy czynsze zostaną uwolnione, nastanie Sądny Dzień Lokatorów...

Nie chcę zadrezczać czytelników opisami dwubiegowej służby zdrowia – dla majątnych i dla ubezpieczonych – ani również już korumpowanej przez wolny rynek oświaty wyższej. M.in. w Polsce jest 80 „niepaństwowych szkół wyższych”, z tego aż 46 ekonomicznych, które najchętniej udają Business Schools, tzn. uczą, jak robić pieniądze. Na ogół pieniądze robią założyciele, a całkiem nieraz przyzwoci wykładowcy akademicy dorabiają tam na boku. Ale się wstydzą, jak mi wyznał zaprzyjaźniony psycholog, bo to „chałtura a może i oszustwo”. Lecz uczelnie państwowe pękają w szwach, mimo że łączne bezpośrednio i pośrednio koszty studiowania (czesne, pomoce naukowe, stancje) wyeliminowały już i tak z uczelni biedniejszą z domu młodzież. Statystyk pochodzenia już się nie prowadzi, ale wiadomo np. że tylko 2% studentów wywodzi się ze wsi i małych miast. Zgodnie z zasadami wolnego rynku, które wyznaje większość senatów akademickich, wobec tak ogromnego nie zaspokojonego popytu należy skończyć z formalną bezpłatnością studiów wyższych. Trudno się dziwić elicie akademickiej, że chce w ten sposób dorównać kolegom z bogatszych krajów, ale trudno też nie zauważyć, że dalszy wzrost kosztów nauki sprawi, iż z uczelni znikną w ogóle ci, którzy reprezentują „popyt bez pokrycia finansowego”. Chyba, że będą nieprzeciętnie zdolni i dostaną od kogoś stypendium fundowane.

Podane przykłady ilustrują wszystkie ten sam układ: w każdej dziedzinie profesjonaliści (menadżerowie, lekarze, nauczyciele akademicy), pierwsi stają się, w oczywistym interesie własnym, nosicielami wzorców z krajów wysoko rozwiniętego kapitalizmu, najchętniej z USA. I odpowiednio w każdej dziedzinie aktywności społecznej wytwarza się napięcie pomiędzy elitą a resztą zatrudnionych, którzy starają się gonić za elitą, ale nieraz mają też poczucie, że to już nie

jest ten sam tor i ten sam wyścig, że oni i ich koledzy należą do innego modelu i bez mała innej cywilizacji niż kierownicy i przewodnicy zawodu, branży czy zakładu. Nieco odmienne zjawiska występują na styku administracji publicznej, wolnych zawodów i businessu. Administracja poddana jest potężnemu ssaniu kadrowemu: sędziowie uciekają na radcostwa i do adwokatury, wiceministrowie finansów stają się doradcami od unikania podatków, policjanci prowadzą agencje ochrony... a cały korpus urzędniczy pracuje w kwaśnym deszczu korupcyjnych propozycji i pokus.

Wszystko to razem grozi otwartym rozerwaniem tkanki społecznej, przed którym jedynym jako tako funkcjonującym zabezpieczeniem jest nadzieja tych niżej i tych na dole, że też znajdą się na taśmie wznoszącej. Solidaryzm broni się ostatnim argumentem: – to prawda, my korzystamy najwięcej, ale wy zarobicie także, a kraj zbliży się do Europy. Ten argument działa, dopóki trwa szybki wzrost gospodarczy. Leszek Balcerowicz ma całkowitą rację, że Polska potrzebuje 6-, 7- lub jeszcze więcej procentowego wzrostu PNB rocznie, acz nie po to, w istocie rzeczy, żeby kogokolwiek gonić, lecz żeby móc się utrzymać na zainicjowanym w 1989 kursie rozwoju.

Otóż teraz, w drugiej połowie 1997, ten wzrost jest zagrożony. Najmniej przez powódź, choć nadano jej wymiar apokalipsy. Bardziej przez deficyt płatności bieżących (2,7 mld dol. w I półroczu, dziesięciokrotnie więcej niż w I półroczu 1996), w tym zwłaszcza deficyt handlowy (5,7 mld dol., o 85% ponad I półrocze 1996), którego już inne pozycje bilansu nie są w stanie wyrównać. Zbyt duży import jest sygnałem przegrzania gospodarki, podobnie jak zbyt duży wzrost płac i kredytowania. BNP reaguje podnosząc stopy dyskontowe, zaczyna się hamowanie.

Trzecim zagrożeniem są wybory.

3.

Polska ma przed sobą trudny koniec tysiąclecia. I z powodu zagrożeń wspomnianych w poprzednich ustępach, i z powodu rozstrzygnięć dotyczących międzynarodowych przynależności kraju. Będzie chodziło nie tylko o to, żeby nas zechciano przyjąć, ale również o to, żebyśmy zdecydowali, czego oczekujemy od partnerów i zgodnie się tego domagali

– oraz na jakie gotowi jesteśmy w zamian świadczenia.

Wszystko to wymaga, jak sądzę, uzgodnień pomiędzy siłami politycznymi, które znajdują się w przyszłym parlamencie, ponieważ, jak można przewidzieć, żaden z obozów nie uzyska w nim tak wyraźnej przewagi, żeby móc obejść się bez współpracy rywali.

Otóż w chwili, gdy to piszę, nic niestety nie zapowiada takich uzgodnień, a to z powodu trzech cech naszego życia politycznego: głupoty, łapczywości i hipokryzji.

Mimo, że wszystkie sondaże wskazują, że SLD uzyska z grubsza 1/4 głosów, a z sojusznikami nawet 1/3, prawica nieodmiennie deklaruje wolę zepchnięcia tej formacji do getta „innowierców”, niepełnych Polaków i niepełnych obywateli. Jest to polityczna głupota, niezależnie od motywacji. Niepodobna w imię Narodu z dużej litery odcinać i dyskryminować 1/3 tegoż narodu. A jeśli to tylko retoryka, to poniekąd jeszcze gorzej, bo i głupota, i niepowaga.

SLD obrało tuż przed wyborami strategię ubezpieczenia się na wypadek klęski, w czym PSL skwapliwie mu sekunduje. Ubezpieczenie polega na obejmowaniu wszystkich możliwych stanowisk, zwłaszcza takich, które ze względu na statutową kadencyjność lub nieusuwalność będą chronione przed odwetem zwycięzców. W ten sposób koalicja obsadziła rady nadzorcze publicznego radia i telewizji, chce jeszcze przed wyborami dokooptować 3 sędziów TK oraz przyspiesza nabór do korpusu służby cywilnej. Trzeba zaznaczyć, że działając w ten sposób nie naruszono prawa. Można nawet twierdzić, że tak właśnie zabezpiecza się pozycje w polityce. Ale koalicja chcąc rzeczywiście przeciwstawić się przeciwnikom i zadać im kłam, powinna wykazać się właśnie umiarem i powściągliwością. Chyba że istotnie, zgodnie z radami swego *maître à penser* Jerzego Urbana (*Nie*, 31/97) SLD chce teraz oddać władzę ale zabezpieczyć tyły, w nadziei że prawica u władzy całkiem się pograży. Nagła zmiana kierownictwa *Trybuny* na „twardoskórnych” (Kipling) zdaje się potwierdzać, że ta właśnie koncepcja przeważała w SLD. To bardzo niebezpieczna kalkulacja: sam Urban mógłby wtedy zapewne podwoić nakład ale mógłby też zostać „męczennikiem za wolność prasy” wzorem swego idola Flynta z filmu Formana. Całkiem zaś serio: jeśli się wierzy, że prawica będzie rządzić źle, to nie wolno jej tego ułatwiać.

Koalicja jest zatem łapczywa, nadto zaś albo głupia albo cyniczna.

I wreszcie Unia Wolności. Jej politycy nie są głupi, choć zbyt często zdarza się im wygłupiać. Nie są cyniczni, choć błękitne oczy już im przyblakły. Nie są też łapczywi, choć lubią błyszczeć na salonach. W sumie są to inteligentni, przyzwoici ludzie z dobrego towarzystwa. Są niestety chorzy na hipokryzję, tę najgorszą, bo całkiem bezinteresowną.

Hipokryzja bywa dwojaka. Hipokryta w imię konformizmu zmienia zachowania albo też zmienia jedynie swój wizerunek. Zmiany zachowań hipokryzja wymaga w czasach mocnych autorytetów i surowych obyczajów. W epoce mass mediów wystarczy ułożenie twarzy. To nie kosztuje wiele, ale to zużywa twarz. Unia Wolności stale robi grymasy, ale nikt się już tym nie przejmuje.

W hipokryzji unitów jest cień smutku. Jest ona tęsknotą za czasami, kiedy Etos unosił się wysoko, a unicy byli młodzi (młodszy). Prawica pamięta przeszłość komunistów, SLD ma amnezję. Unia Wolności pamięta siebie i taka podoba się sobie.

W rezultacie upodobanie w sobie, poży do lustra utrudniają unitom realizowanie własnego interesu politycznego, choć jako ludzie inteligentni bardzo dobrze go rozumieją. Wiedzą na przykład, że utrzymanie Polski na kursie liberalnym, na czym im przecież rzeczywiście zależy, wymaga ścisłej współpracy z SLD, bo nikt inny się do takiej polityki przyznać nie chce. Ale sam na sam z SLD nie jest twarzowe. Unicy koncypują więc nowe okrągłe stoły, przy których wszyscy wszystkich asekurują. To się udało, z najwyższym trudem, z konstytucją. Ale to się nie może udać z gorącą materią wyboru kursu politycznego i gospodarczego. Unia Wolności udaje więc, że będzie po wyborach, przebierać w sojusznikach jak w ulegawkach zamiast już teraz sformułować twarde warunki przyszłego przetargu. Jeśli ktoś do nich nie pasuje, to jego zmartwienie i wyborcy powinni o tym wiedzieć.

Polaryzacja wyniku wyborczego jeśli nastąpi, nie będzie skutkiem siły przyciągania biegunów. Będzie, znacznie prościej, skutkiem niechęci do niezdecydowanych, w których pozach wyborca nie umie się rozeznąć.

Warszawa, 14 sierpnia 1997

Krzysztof WOLICKI

Na marginesie powodzi

Obecnie w Polsce zapanowała moda wieszania licznych psów na sferach rządowych za to wszystko, co zostało i nie zostało uczynione w pierwszych dniach powodzi. Nawet osoby najznamienitsze, do jakich zaliczyć pragnę Władysława Bartoszewskiego, obruszyły się na indolencję rządu druzgocącą krytyką. W kontekście całej tej medialnej zawieruchy nikt, albo prawie nikt nie zwracał jakoś uwagi na to, co się działo po stronie niemieckiej w dolnym biegu Odry, a w szczególności w okolicach Frankfurtu nad Odrą. Obejrząwszy pilnie szereg reportaży na żywo przeprowadzonych na tamtym terenie dowiedziałem się co następuje:

1. Wodmiarowe ustalanie poziomów Odry, rozpoczęte w roku 1830, do dziś nigdy jeszcze nie wykazało takiego przyboru wód: w szczycie niemal osiem metrów.

2. Wały powodziowe, przez ekspertów niemieckich uznane za bardzo dobre, uległy przerwaniu w taki sposób, że wyrwa pięćdziesięciometrowa rychle stała się trzykrotnie większa, wskutek czego jakiegokolwiek próby załatwienia tej dziury okazały się daremne, pomimo nieustannej pracy ośmiu tysięcy żołnierzy Bundeswehry, nie licząc miejscowych służb porządkowych i ludności cywilnej.

3. Fachowcy na miejscu orzekli, że wały o charakterze umocnień ziemnych, także podwyższone setkami tysięcy worków z piaskiem, nie tylko przemakają po kilku dniach naporu wody, lecz ulegają podmyciu podgruntemu, a to dlatego, ponieważ ośmiometrowa warstwa wody wytwarza wielotonowe ciśnienie. Widziałem próby łatania wyrwy w wałach niemieckich nie ograniczone do wysiłku żołnierzy oraz mieszkańców okolicy, ale także polegające na wrzucaniu betonowych bloków w głąb wyrwy przez helikoptery oraz przez dźwigi o dużych wysięgnikach. Wszystkie te próby spełzły na niczym. Z kolei wysuwana była koncepcja zamknięcia rozszerzającej się wyrwy w wałach łodziami zatopionymi z ciężkim balastem. Kompetentni fachowcy uznali

jednak, że i to nic nie pomoże, ponieważ nurt Odry jest zbyt silny.

4. Widziałem topiące się w wodach zalewu wielkie stada bydła niemieckiego, którym nikt nie umiał pomóc. Widziałem kolumny samochodów policyjnych gotujące się do ewakuacji wielu tysięcy ludzi. Widziałem, jak ludzie obawiający się splądrowania swoich domów stawiali opór, który policja musiała przełamywać. Widziałem na wałach z worków z piaskiem kanclerza Kohla, ministra obrony narodowej Ruhe oraz ministra spraw wewnętrznych Kanthera. Jakoś nikt z Niemców pochodzących z zalanych miejscowości nie miał do żadnej z rządowych figur pretensji o powódź, aczkolwiek mógłby sobie ktoś pomyśleć, że służby miejscowe miały dwa tygodnie do przygotowania się na uderzenie fali powodziowej. Także minister rządu brandenburskiego powiedział, że nikt się takich rozmiarów powodzi nie spodziewał. Rząd niemiecki rzucił milion marek doraźnej pomocy oraz obiecał dwieście milionów w późniejszych terminach. Po przerwaniu wałów i wycofaniu się ludzi z zalanego terenu rozpoczęto budowę następnego, wewnętrznego systemu wałów. W porównaniu z katastrofą polską, powódź po stronie niemieckiej była czymś niewielkim, a jednak wykazała, że żywiołowi w pessymalnych warunkach człowiek przeciwstawić się nie może. Muszę dodać na koniec, że opowieści swojskich zaciętrzewionych żurnalistów o znakomitości służb przeciwpowodziowych Danii albo Hiszpanii, które miałem przykreść czytać w naszych gazetach, wydały mi się wysoce niesmaczne. Być może państwa afrykańskie, do jakich należy obszar Sahary, mają służby jeszcze lepiej zorganizowane. Sądzę, że wszystko na tym świecie powinno mieć miarę, a wreszcie dodam, że przyświeca mi zarazem chęć mówienia prawdy oraz niechęć wspierania jakichkolwiek ruchów politycznych w Polsce.

Kraków, 25 lipca 1997

Stanisław LEM

Sąsiedzi

Ukraińskie kontrasty i konflikty

Sześć lat w życiu organizmów państwowych to nieduży kawał czasu, ale w odróżnieniu od starych, tradycyjnych formacji, w których działają od dawna mechanizmy władzy i opozycji, w krajach młodej niepodległości bez infrastruktury demokratycznej, każdy rok wolności liczy się inaczej. Dotyczy to też, a może szczególnie, Ukrainy, która obchodzi teraz szóstą rocznicę niepodległości. Od razu po starcie do niezależnego bytu wybuchła zrozumiała i oczekiwana euforia. Sprzyjały tym emocjom lekkomyślne prognozy na Zachodzie o bliskim ukraińskim cudzie gospodarczym – na przykład pochopne zapowiedzi tak kompetentnej instytucji finansowej, jak Deutsche Bank we Frankfurcie nad Menem. Wszystko to przewróciło w głowach wielu politykom w Kijowie i wywołało falę iluzji na emigracji. Ani politycy na Ukrainie, ani ich ziomkowie w emigracyjnych gettach nie rozporządzali rzetelnymi informacjami o faktycznym stanie ukraińskiej gospodarki. Tylko niewielu ekonomistów na Zachodzie wiedziało mniej więcej, co się stało, ale nawet największym pesymistom pośród nich nie jawił się prawdziwy obraz. Brak solidnych analiz sytuacji był wynikiem trwałych wypaczeń w zachodniej nauce i prognostyce, zorientowanych wyłącznie na centralizm moskiewsko-sowiecki. Mści się to po dziś dzień i powoduje częste nawroty ignorancji. Ale byłoby nieuczciwie obarczać za popełnione omyłki i błędne oceny jedynie Zachód, który zresztą nigdy nie miał zgodnych informacji o Ukrainie. W parze z nieuzasadnionymi prorocत्वami o bliskim rajach gospodarczym były również zachodnie głosy o bliskim końcu ukraińskiej niepodległości lub rozpadzie

państwa na dwie odrębne części – wschodnią i zachodnią. Koła, które lansowały takie poglądy, od dawna wszelkimi środkami zwalczały ukraińskie aspiracje niepodległościowe. Zamieszanie pogłębiło przed kilku laty analityczne studium amerykańskiej CIA przeznaczone ponoć tylko dla rządu USA, ale dziwnym trafem szeroko było rozpowszechnione w amerykańskich a potem europejskich środkach przekazu. Mniej więcej w tym samym czasie ukazała się w *Barometer* – organie niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej zbliżonego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Bonn – celowa dezinformacja o niepewnej przyszłości państwa ukraińskiego. Publikacja wywołała katastrofalne skutki w niemieckich kołach gospodarczych, które z miejsca wstrzymały większość przygotowywanych inwestycji na Ukrainie. Zdaniem dobrze poinformowanych kół publikacja pojawiła się na polecenie kierownika analitycznej służby wschodnioeuropejskiej we wspomnianej instytucji, Alexandra Rahra, pochodzącego ze środowiska skrajnie prawicowej rosyjskiej organizacji emigracyjnej NTS.

Wszystko to doprowadziło do dużego zamieszania również w politycznych sferach Zachodu względem Ukrainy. Trudno orzec, co Ukrainie bardziej zaszkodziło: niefrasobliwe głosy optymizmu czy hiobowe przepowiednie bliskiego końca. A zamiast szybkiej i opartej o fakty kontrofensywy przeciwko owym przeciwstawnym tendencjom, puszczono je płazem, a iluzje Deutsche Bank wykorzystwała propaganda ówczesnego reżimu prezydenta Leonida Krawczuka, by stwierdzić, że wszystko idzie jak po maśle i że nie ma się czym przejmować.

Za własne błędy ukraińscy politycy lubią bić się w cudze piersi. Własnej winy albo nie dostrzegają z braku perspektywy, albo świadomie ją przemilczają. Nikt z dotychczasowych włodarzy nad Dnieprem nie miał odwagi przedstawienia społeczeństwu realnego obrazu sytuacji i rozbudzenia w nim tą drogą chęci do wspólnego wysiłku w usuwaniu gruzów przeszłości. Zamiast tego pocieszano naród namiastkami reform i powtarzaniem optymistycznych obietnic o zbliżającym się przełomie w marszu ku lepszymu jutru. Zionęto od tego i zionie po dziś dzień, starą komunistyczną szkołą myślenia i działania. To Stalin wymyślił slogan o tym,

ze żyty stało łuczsze i weselej i jego następcy tak długo trzymali się – mimo ekonomicznych zawałów – tej formuły świadomego kłamstwa, aż sami w nią uwierzyli, odcięci od rzeczywistości kastą zauszników i sfałszowaną statystyką.

Ukraina z kraju niegdyś krnąbrnego i rewizjonistycznego – po wymordowaniu samodzielnie myślących elit i indywidualnego chłopstwa, przemieniła się w bastion stalinowskiego skostnienia. To stąd wyszła reakcyjna grupa Breżniewa a kijowska oligarchia poparła spisek przeciwko reformom Chruszczowa. Konserwatyzm rządzącej nomenklatury przejawiał się w konsekwentnym zwalczaniu idei „pierestrojki” Gorbaczowa. Konserwatywno-komunistyczna mentalność nie zniknęła pod znakiem własnej państwowości z głów biurokracji, ale żyje lub wegetuje nadal, zwalczając lub sabotując reformy rynkowe. Wąska grupa byłych dysydentów była zbyt szczupła, aby wygrać walkę ze starą nomenklaturą. Nie miała też żadnych kwalifikacji administracyjnych, koniecznych dla konkurencji. W odróżnieniu od Czech, Chorwacji i krajów bałtyckich, oficjalny Kijów z wyjątkiem dwóch, trzech osób nie dopuścił rodaków z zagranicy do objęcia jakichkolwiek wpływowych stanowisk w życiu politycznym i gospodarczym.

W rezultacie „mamy to co mamy” – jak się wyraził swego czasu eks-prezydent Krawczuk, który swoim kunktorstwem i oportunizmem walnie się przyczynił do zablokowania proponowanych przez nielicznych fachowców ekonomicznych reform. Najfatalniejszym wydarzeniem na początku niepodległości było stordedowanie idei terapii szokowej ówczesnego premiera Leonida Kuczmy i jego zastępcy Wiktora Pynzenyka. Zniechęcony oporem przeciwników radykalnej kuracji, premier Kuczma podał się 23 września 1993 roku do dymisji, a kilka dni wcześniej uczynił to samo wicepremier Pynzenyk.

Nastąpiło załamanie gospodarcze w postaci gwałtownego spadku produkcji i galopującej inflacji. Zwycięstwo Leonida Kuczmy w 1994 roku w wyborach prezydenckich odniesione nad Leonidem Krawczukiem nie przyniosło oczekiwanych zmian w sektorze gospodarczym. Władza prezydencka okazała się zbyt słaba, aby podjąć akcje przeciwko inflacji, kryzysowi budżetowemu, zadłużeniu wewnętrznemu, szalejącej korupcji i kurczącym się wpływom podatkowym.

Dążenie do stabilizacji

Władcy niepodległej Ukrainy zmarnowali cztery lata na bierne oczekiwanie polepszenia i czężą gadaninę o rzekomych reformach. W ten sposób utracono ogromny kapitał społecznego poparcia i gotowości do ponoszenia ofiar w imię przyciągającej wizji przyszłości. W międzyczasie miliony obywateli straciły ciułane przez wiele lat oszczędności, a na dobitek szerokie rzesze ludności zostały dodatkowo obrabowane przez nieuczciwe Kasy Oszczędności, które podobnie jak Mawrodi w Rosji i organizatorzy albańskich „piramid”, wyłudzały od naiwnych wkłady walutowe, obiecując bajońskie sumy dywidend. Z ogólnej sumy 2474 takich zakładów wkrótce nic nie pozostało, a ich właściciele dali drapaka za granicę. Szczytem powstałego procesu nieufności wobec rządów w Kijowie stało się systematyczne niewypłacanie poborów i pensji tzw. budżetowcom, to znaczy urzędnikom, nauczycielom, pocztowcom, kolejarzom, a nawet żołnierzom, oraz oficerom i rencistom. Nie uregulowano jak w innych krajach kwestii zasiłków dla bezrobotnych, uciekając się do cynicznego chwytu udzielania w państwowych zakładach przemysłowych – które stoją bezczynne – bezterminowego urlopu bezpłatnego. Nie wypłacone zarobki i renty wyniosły latem 1997 pięć miliardów hryweń. Powstała na skutek tego groźna sytuacja społeczna, rokująca w razie niewypłaty tych długów wybuch fali strajków. Wywiązanie się ze zobowiązań płatniczych może natomiast podważyć z trudem osiągniętą stabilizację nowego pieniądza Ukrainy – hrywny.

Nowy program stabilizacji w roku 1995 powstał zarówno z woli prezydenta Kuczmy, jak też pod presją Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, które uzależniły pomoc kredytową dla Kijowa od zabiegów antyinflacyjnych i obniżenia deficytu budżetowego. Jesienią 1995 roku parlament zatwierdził ambitny program nowego premiera Jewhena Marczuka, długofalowej sanacji chorej gospodarki, podzielony na trzy etapy, najpierw dwu- lub trzy-letniego okresu stabilizacji, potem dziesięcioletniej fazy przyspieszenia rozwoju i wreszcie przejścia do kilkuletniej racjonalizacji systemu gospodarki. Wbrew optymistycznym progno-

zom premiera, zresztą zupełnego *outsidera* w odniesieniu do panującego klanu dnipropropetrowskiego, jego rządowi nie udało się okiełznać hiperinflacji i niedoborów w budżecie. W rok później Kuczma zdymisjonował Marczuka, podejrzanego zresztą o tajne związki z konkurencyjną potęgą klanu z Zagłębia Donieckiego.

Nowy premier Pawło Łazarenko, należący do „swoich” z Dniepropetrowska i mocno powiązany z tamtejszymi koncernami nafty i gazu ziemnego, kooperującymi z energetycznymi gigantami Rosji, przedstawił bardziej realistyczny trzyletni program reform i sanacji budżetu na podstawie radykalnej zmiany przestarzałego i krępującego rozwój gospodarczy systemu podatkowego. Podstawą do zapoczątkowania zapowiedzianej sanacji było wprowadzenie we wrześniu 1996 roku nowej waluty – hrywny – w miejsce z kretesem zdyskredytowanego krawczukowskiego inflacyjnego karbowanica. Operacja wymiany pieniędzy zgodnie z kluczem 100.000 karbowaniców za 1 hrywnę odbyła się sprawnie. W sumie wycofano z obiegu 213 bilionów karbowaniców, w tym 1 miliard sfalszowanych. Od roku hrywna trzyma się mocno. Jej kurs kształtuje się mniej więcej według parytetu z marką niemiecką, około dwóch hryweń za dolara i sto tysięcy rosyjskich rubli za trzy hrywnie. Jednak twardy kurs nowego pieniądza utrzymywany jest dzięki radykalnemu ograniczeniu emisji i niewypłacaniu wewnętrznych długów.

Od Łazarenka do Pustowojtenka

Rząd Łazarenki wyłożył jesienią 1996 r. w Werchownej Radzie pakiet piętnastu projektów sanacji budżetu i nowych ustaw podatkowych. Ograniczenie deficytu opracowane przez wicepremiera do spraw reform – Pynzenyka, miało nastąpić drogą radykalnych cięć w dziedzinie dotychczasowych ulg podatkowych i przywilejów starej daty, obejmujących jedną trzecią ludności. Jednak parlament odrzucił większość propozycji. W rezultacie zaczęła się próba sił, w której premier skapitulował. Z nieodzownej reformy podatkowej pozostały szczątki, a budżet również w zmienionej formie został zatwierdzony na bieżący rok dopiero w czerwcu. Na znak

protestu przeciwko ustępstwom szefa rządu autor projektu Pynzenyk podał się do dymisji. Ale ustępstwa Łazarenki i coraz częściej wysuwane w prasie zarzuty nieuczciwego bogacenia się drogą nielegalnych transakcji naftą i gazem spowodowały decyzję Kuczmy o rozstaniu się z niefortunnym premierem.

Przy okazji pierwszej rocznicy uchwalenia konstytucji Kuczma oświadczył publicznie 27 czerwca, że rząd wykazał nieudolność w dziedzinie przeprowadzenia reform. Zabrakło mu inicjatywy, a ostatnio jego działalność wspomagała „gospodarkę cieni” i przyczyniła się do pogorszenia klimatu inwestycyjnego. Demontaż gabinetu Łazarenka rozpoczął się już nieco wcześniej. Kuczma zwolnił kilku ministrów, w tym szefa resortu rolnictwa, Anatola Choroszka, pod zarzutem korupcji. Obalenie samego Łazarenki nastąpiło 2 lipca w dekreście prezydenta Kuczmy, z uzasadnieniem, iż dotychczasowy szef rządu zachorował i na skutek tego nie będzie już mógł wykonywać swych obowiązków w przyszłości. Łazarenko przebywał istotnie w klinice rządowej ale było to jakieś błahe, przejściowe niedomaganie.

Nowym, już siódmym z rządu premierem Ukrainy został mianowany przez Kucznię a w połowie lipca zatwierdzony większością jednego głosu w parlamencie, 50-letni Walery Pustowojtenko. Urodzony w południowej Ukrainie, rosły i przystojny, o smukłej wyprostowanej sylwetce polityk, należy również do drużyny z Dniepropetrowska. Z zawodu inżynier budownictwa, przeszedł szybko do działalności politycznej i był przez kilka lat burmistrzem przemysłowej metropolii. Bliski współpracownik Kuczmy od 1993 roku, w czasie walki o fotel prezydenta był szefem ekipy wyborczej, a potem podsekretarzem stanu w kolejnych ekipach rządowych. Uchodzi za zdolnego organizatora i człowieka absolutnie lojalnego wobec prezydenta. Po odejściu od partii komunistycznej, do której należał przed niepodległością, trzymał się z dala od nowo powstałych stronnictw. Dopiero niedawno wstąpił do Ukraińskiej Ludowodemokratycznej Partii, w której szeregach znalazło się wielu działaczy związanych z prezydentem. Szerokim rzeszom, nowy premier znany jest z funkcji prezesa Związku Piłki Nożnej. Swój gabinet, w którym znajdują się przedstawiciele o orientacji centrowej ale i lewicowej i nie

stanowią zwartej formacji Pustowojtenko nazywa zespołem fachowców. Premier zapowiada zmniejszenie resortów i transformację starych struktur post-komunistycznych do nowych, funkcjonalnych. Co to ma znaczyć w praktyce, nie wiadomo. Jednocześnie Kuczma zapowiada radykalną reformę administracyjną. Szefem komisji, która ma tę reformę wdrożyć, jest eks-prezydent Leonid Krawczuk. Wybór wystąpił widocznie nie pod znakiem kompetencji, a raczej dążeniem do zneutralizowania dawnego rywala, nie tyle z uwagi na aktualne zagrożenie, ile na wszelki wypadek.

Bohdan OSADCZUK

ANTONI POSPIESZALSKI

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Specyficzne warunki w jakich kształtował się w ostatnim stuleciu Kościół polski spowodowały, że powstał w nim kompleks „obleżonej twierdzy” i dążenie do utrzymania w państwie roli dominującej. Pociągnęło to za sobą oderwanie się od przemian zachodzących na świecie, które zapoczątkował Pontyfikat Jana XXIII i II sobór watykański. Z zadowoleniem można odnotować początek ewolucji i w naszym Kościele.

Szkice Antoniego Pospieszalskiego, który od lat opisuje zmiany zachodzące w Kościele zachodnim, niewątpliwie ten proces przyspieszą i pogłębia.

Jerzy Giedroyc

Str. 245

Cena zł 30,00

Wydawca: Zakład Wyd. Nomos
Kraków 1997

Kronika kulturalna

Prywatna historia wolności

W mającej się ukazać w Warszawie późną jesienią 1997 „Prywatnej historii wolności” przedstawiam poszukiwanie wolności przez konkretną osobę, jej autora, w konkretnym miejscu, w Polsce lat siedemdziesiątych, między grudniem 1970 a grudniem 1981.

Tak było. Poszczególne rozdziały książki powstawały podczas tamtej dekady. Nie wprowadzałem zmian. Postaram się w skrócie powiedzieć kto, gdzie, kiedy i dlaczego tę „Prywatną historię wolności” pisał. Mam nadzieję że nie tracąc swego prywatnego charakteru stanie się bardziej zrozumiałą.

A było tak: „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu” (rocznik 1943)... Nie, inaczej powinienem zacząć. Od wczesnych lat miałem poczucie sztuczności i fałszywości oficjalnego świata i oficjalnego języka. Mój świat, a w każdym razie jego ważna część, był inny, toczył się gdzie indziej, domagał się innego języka, innych miał bohaterów i przeciwników, inne autorytety moralne i intelektualne, inną klasykę, inną awangardę. Czy spowodowały to przede wszystkim cechy charakteru, czy ówczesne uwarunkowania polityczno-kulturalne, a zapewne jedno i drugie w trudnym do wydzielenia stopniu, interesowałem się innymi pisarzami współczesnymi nie tylko niż ci oficjalnie wynoszeni na świeczniki, lecz również niż czytani przez moich rówieśników. Inaczej patrzyłem na teraźniejszość i czego innego szukałem w przeszłości. Wrogi był mi język oficjalnej ideologii, lecz obce mi też były języki zastępcze, którymi wówczas usiłowano się porozumiewać, one także wydawały mi się duszące, odbierające swobodę głosu.

Wybrałem studia romanistyczne i zajmowałem się literaturą XVII stulecia. Wydawało mi się, że Wielki Wiek Ludwika XIV jest wystarczająco oddalony w czasie, aby nie podlegać ideologicznej kontroli. Na drugim roku studiów wydrukowałem szkic „Redukcja i konstrukcja w systemie moralnym Franciszka de La Rochefoucauld”. Chodziło o poszukiwanie siebie, odsłanianie siebie i skrywanie siebie, o tworzenie systemu wartości w świecie skonwencjonalizowanym. Oczywiście były próby „gry ze współczesnością”, z własnymi pasjami i ograniczeniami. Kontynuowałem te refleksje w pracy magisterskiej „Model wrażliwości egzystencjalnej a konstrukcja świata wartości”. U trzech pisarzy – markiza de Sade, pani de La Fayette, Geneta – śledziłem budowanie świata wartości, budowanie siebie, swojej wolności, interesowały mnie podstawowe wybory egzystencjalne i cena, jaką się za nie płaci. Część dotycząca markiza de Sade dana została do *Twórczości* przez mojego profesora, Rachmiela Brandwajna. U niego zacząłem pisać pracę doktorską. Jako temat wybrałem przemiany osobowości bohatera w teatrze Racine’a. Dzięki temu mogłem przez analogię, w języku hermetycznym, przyjmując na siebie kostium filologa, pisać o interesujących mnie problemach. Był to jednak język obcy, nie przystający do mojej współczesności.

Choć tak bardzo broniłem się przed otaczającą schizofrenią, ulegałem innej schizofrenii; skazywałem się, byłem skazany, na niedowład języka. Przebywałem, także intelektualnie, w dwóch rzeczywistościach, między którymi nie było jawnej komunikacji. Moje prywatne lektury były skryte. Czytywałem, ilekroć udało mi się do nich dotrzeć, książki polskie wydawane za granicą, zwłaszcza publikacje *Kultury*, wyszukiwałem polskie książki spoza kręgu ortodoksji powstałe w kraju po wojnie, bądź dawniej. W czytelni czasopism Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego sięgałem po *Preuves* i *Encounter*, dostępne tam pisma wydawane pod auspicjami Kongresu Wolności Kultury; ich zasadniczym tematem była problematyka wolności i krytyka ideologii totalitarnych. Starałem się dostać do rąk francuskie i angielskie książki na nieortodoksyjne tematy, polityczne, historyczne. Także obyczajowe – nieocenione źródło stanowiła redagowana przez Apollinaire’a „Bibliothèque des Curieux”, prezentująca

klasyków erotycznej literatury europejskiej, w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego dobrze reprezentowana, a pochodząca jeszcze ze zbiorów rosyjskiego uniwersytetu. Korzystałem z rzadkich lecz jakże dla mnie znaczących wyjazdów na Zachód, aby poznać ludzi z daleka podziwianych, czytać książki, oglądać muzea, przyglądać się swobodnemu stylowi życia. Już pierwsza podróż do Paryża w 1963 roku była ważną lekcją języka: biorąc do ręki jeszcze ciepłe niezapomniane numery *Kultury* z tamtego lata, czytając tam transatlantyckie fragmenty „Dziennika” Gombrowicza, „Gucia zaczarowanego” Miłosza, „Ewokację” i „Klucz i hak” Wata, szkic o malarstwie nowoczesnym Jeleńskiego, spotykając osobiście niektórych z tych pisarzy (Wata i Jeleńskiego), ale też oglądając filmy, muzea, ulice, umocniłem się w swoich wyborach, lecz zarazem uprzytomniłem sobie jeszcze wyraźniej, że brak mi języka, w którym potrafiłbym o tych wyborach mówić.

Szukałem języka, który umożliwiłby mi dotarcie do istotnych dla mnie treści, do problemów „autentycznych”, szukałem języka „prawdziwego”, a zarazem czytelnego dla innych, dającego się publicznie wypowiedzieć. Rozpocząłem jako wolny słuchacz studia filozoficzne. Prywatnie dla siebie pracowałem nad dalszym ciągiem problemów, których dotyczyła moja praca magisterska. „Maski Erosa” nadałem tytuł tamtej pierwszej pracy: jak dochodzimy do wiedzy o istnieniu drugiego człowieka, jak możemy go zobaczyć, odmiennego od nas i podobnego. „Koła magiczne” nazywała się część druga: jak możemy pogodzić naszą wolność i nasze istnienie w świecie; jak możemy istnieć w kulturze w twórczy sposób, ucząc się od przeszłości i od innych, a nie zatracając naszej indywidualności i wolności. Praca miała się składać znów z trzech części, z opisu trzech modeli wrażliwości kulturalnej, u Dostojewskiego w „Biesach” odczytywałem krytykę postaw dogmatycznych, u Gombrowicza śledziłem krytykę postaw krytycznych, w „Tylko Beatrycze” Parnickiego starałem się dostrzec pozytywno-krytyczne przesłanie. Wkładałem w te analizy przemyślenia z lektur filozofów, starałem się zbudować język opisu, którym mógłbym mówić do innych, o innych, o sobie, nie zdradzając własnych przekonań. Nie zdradzając w dwojakim sensie: nie kłamiąc swoim

przeświadczeniom, lecz także nie odkrywając za wcześnie kart, nie popełniając publicznej zbrodniomyśli.

Ta strategia wydawała mi się właściwą metodą walki o własną prawdę i wolność, ale obierając ją nieuchronnie popadałem w jej pułapki: jeżeli stwarzałem własny język i nie zdradzałem siebie, to bywał on tak hermetyczny, że nie ułatwiał porozumienia. Starąłem się ukazywać koła magiczne i wychodzić poza zakłete kręgi, przemówić do siebie i innych. Przekonałem się, że w tej grze trudno jest przekroczyć koła magiczne. Zasadnicze przeszkody były przecież zewnętrzne. Szkic o Gombrowiczu, choć pisany w języku o wysokim stopniu abstrakcyjności, nie mógł się ukazać, bo samo nazwisko emigracyjnego pisarza obłożone było zakazem cenzury; dopiero po jego śmierci w lipcu 1969 fragment ten wydrukowała *Współczesność* (a po latach dwudziestu ukazał się w „Książkach zbójcekich” ogłoszonych w Londynie, które jeszcze po siedmiu latach wydane zostały w Warszawie).

Szkic o Dostojewskim też nie mógł znaleźć wydawcy, opublikowany został jako „Samobójstwo Stawrogina” w *Znaku* w latach siedemdziesiątych. W drugiej połowie sierpnia 1968 roku w Sopocie spotykałem się na spacerach z Pawłem Hertzem. Rozmawialiśmy o moich zamierzeniach, aby w języku możliwie cenzuralnym tak prezentować problematykę Dostojewskiego, by demaskowała ona rozmaite formy mentalności totalitarnej. „Niech Pan nie zapomina – mówił do mnie Paweł Hertz, który był jednym z niewielu znanych mi wówczas ludzi dostrzegających te problemy i rozwiązujących je na własny, bardzo konsekwentny i odważny sposób, lecz właśnie na sposób własny, nie nadający się do naśladowania – niech Pan nie zapomina, że żyjemy w dalekiej prowincji Imperium. Czy Pan wyobraża sobie, że zarządcy tolerować będą krytykę, która mogłaby zostać usłyszana i zrozumiana, i co więcej zezwalać na wydawanie tego rodzaju wypowiedzi? Co należy robić, to publikować za państwowe pieniądze teksty klasyków w dobrych opracowaniach – tak długo i w takim zakresie, w jakim jest to możliwe w danym momencie”. Któregoś dnia niebo nad nami pociemniało, wojska paktu warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji (Paweł Hertz zapowiadał to wydarzenie, było ono argumentem w naszych rozmowach).

Z punktu widzenia przedstawianej tu prywatnej historii

poszukiwania wolności (a zajęło mi wiele czasu, by zrozumieć, że wolność ta nie może być ani w pełni i ostatecznie osiągnięta, ani ściśle prywatna) interwencja w Czechosłowacji stanowiła fragment szerszego procesu, który w Polsce nosi nazwę Marzec 68. Marzec był dla mnie wstrząsem, był umocnieniem w dawniejszych przeświadczeniach, ale i zmuszał do porzucenia złudzeń. Na łamach pism, na wyższych uczelniach, w życiu publicznym oglądałem oficjalny triumf szumowin, ich układów, ich języka, ich mentalności, ale był to także moment oczyszczenia języka, wyzwolenia się, przez wielu, choćby na moment, z siideł komunistycznej nowomowy. Okrzyki „Prasa kłamie”, wznoszone na uczelniach całej Polski, wprawdzie trwały krótko, a nastąpiły po nich ciemne miesiące, nie przeminęły przecież bez śladu. Słowa zaczęły nabierać ciężaru, przeszłość zaczęła nabierać kształtów i barw. Łatwiej było znaleźć prywatne porozumienie („prywatna inicjatywa” była wówczas uznawana za określenie dyskwalifikujące w oficjalnym życiu). Język indywidualny stawał się językiem obywatelskim, ciągle jeszcze tylko w wąskim kręgu kilku osób, lecz już bez maskarady, bez fałszerstw. Łatwiej było uniknąć rozdwójenia, wymknąć się magicznym kołom, schizofrenii słowa i postępowania.

Zacząłem szczerzej rozmawiać na tematy polityczne i kulturalne z kilkoma przyjaciółmi. Książki polskich pisarzy niezależnych (głównie emigracyjnych, choć nie tylko), które czytałem ukradkiem, a ich lektura we mnie rozbita była na kawałki, teraz stawały się elementem wspólnego języka, podobnie książki dotyczące myśli politycznej zaczęły budzić zainteresowanie. Wielu przyjaciół w tym czasie wyjechało na emigrację. Rozstania były bolesne, ale jakże ważna była odnaleziona i zachowana wspólnota poglądów i pragnień. Starszy brat Jakub znalazł się w więzieniu. Na uniwersytecie nie było dla mnie miejsca. Wiek XVII nie okazał się dostatecznie bezpiecznym schronieniem. Rachmiel Brandwajn wyjechał do Izraela. Nie było łatwo w tych warunkach skupić się nad przemianami osobowości bohaterów Racine’a. Pracę doktorską postanowiłem mimo wszystko złożyć w najkrótszym przepisany terminie.

W tamtych miesiącach, między marcem 1968 a grudniem 1970, często chodziłem do Pałacu Kultury w Warszawie

przez wymiatany wiatrem Plac Defilad. Z okazji jakiejś tam komunistycznej rocznicy na olbrzymiej budowli zawisł olbrzymi portret Lenina. Zdawał się panować nad miastem. Poczuję się osaczony i do głębi dotknięty. W odruchu obrony zanim przystąpiłem do pisania doktoratu wystukałem z notatek prowadzonych nad lekturami Kucharzewskiego i Dostojewskiego, Zdziechowskiego i Miłosza, Custine'a i Orwella, długi szkic o Polsce, Rosji, komunizmie, zachodnich intelektualistach, o umysłowym zniewoleniu, o podwójnej niesuwerenności mojego kraju, podległego obcej ideologii i obcemu imperium, o wolności, upragnionej. Szkic był bliższy krzyku niż wywodu. Nie dysponowałem nadal językiem, w którym mógłbym swobodnie i roztropnie wypowiadać się na istotne dla mnie tematy. Tekst był skrajnie antykomunistyczny, zupełnie niecenzuralny. Skończyłem go jesienią 1969, na wiosnę 1970 ukazał się w *Kulturze* pod pseudonimem... Tomasz Staliński. Stało się to przez nieporozumienie. Stefan Kisielewski pomagał w wysłaniu bezimiennego maszynopisu na Zachód. Tą samą drogą wysyłał utwory podpisywane Tomasz Staliński. Redakcja *Kultury* uznała, że to on jest autorem. W kolejnym numerze ukazało się sprostowanie. Dziś traktuję ten tekst jako dokument. Widzę w nim jeden z etapów poszukiwania własnego głosu, wychodzenia poza magiczne koła. Zaliczyłbym go do prehistorii szkicowanej tu opowieści. Stanowił rodzaj kuracji.

Po wyrzuceniu go z siebie zasiadłem do pisania doktoratu. Od 1 stycznia 1970 wyznaczyłem sobie przeciętne pensum trzech stron dziennie. Tylko w lutym przez trzy tygodnie pozwoliłem sobie na urlop. Proces mojego brata Jakuba, tak zwany „proces taterników”, osób oskarżonych o kontakty z *Kulturą*, odbywał się w praktyce przy drzwiach zamkniętych. Na salę wpuszczano ubeków i oficjalnych dziennikarzy. Jedynie po dwie osoby z rodziny otrzymywały karty wstępu. Chodziłem co rano do sądów na Świerczewskiego. Co wieczór, o 18.00, opowiadałem przyjaciółom przebieg dnia. Obrona pracy doktorskiej odbyła się na parę dni przed wydarzeniami na wybrzeżu, w grudniu 1970.

Z powodów politycznych praca naukowa w oficjalnych instytucjach była dla mnie niedostępna. Miało to złe, ale i dobre strony. W ten sposób wymykałem się ideologicznej

kontroli. Jeżeli nie zdołałem znaleźć schronienia w tematach zastępczych, zdecydowałem się skupić na tym, co mnie prywatnie interesowało i co uznawałem za ważne. Zająłem się polskimi pisarzami XIX wieku, którzy podejmowali zasadniczy dla naszych losów problem stosunków polsko-rosyjskich. Wybierałem tych, którzy ujmowali to zagadnienie w sposób nieortodoksyjny (Adam Gurowski, Henryk Kamieński, Henryk Rzewuski, Aleksander Wielopolski). Studia poświęcone temu tematowi, będącemu pod szczególnym nadzorem cenzury, nie mogły wówczas zostać ogłoszone w całości. Publikowałem je we fragmentach tak skomponowanych, aby zachować sens wywodu i wymknąć się nożyczkom cenzora („Polska a Rosja” ukazała się w obiegu oficjalnym nakładem PWN w 1994, ponad dwadzieścia lat od jej ukończenia).

Zacząłem pisywać do *Tygodnika Powszechnego*. Redakcja na Wiślniej stanowiła w tamtych latach oazę swobody. Drugiego takiego miejsca nie było w całym obozie. Z Marcinem Królem rozpoczęliśmy publikowanie szkiców przedstawiających zapoznanych polskich myślicieli politycznych z zeszłego stulecia. Cykl sylwetek politycznych XIX wieku spotkał się z niespodziewanym odzewem czytelników, zainteresowanych treścią i językiem. Było wówczas czymś nowatorskim pisanie o polskich dylematach bez śladu komunistycznej nowomowy. Cykl nasz spotkał się też z intensywnym zainteresowaniem cenzury. Cięła teksty niemiłosiernie w *Tygodniku*, a gdy złożyliśmy tom w Wydawnictwie Znak, skonfiskowała nawet planowany tytuł. Z dziesięciu napisanych przeze mnie sylwetek pięć skreślono w całości (pełne wydanie „Od Mochnackiego do Piłsudskiego” ukazało się po dwudziestu pięciu latach od napisania, nakładem Świata Książki, w 1997 roku). Wspólnie z Marcinem redagowałem w *Tygodniku* rubrykę „Tematy i refleksje”. Chcieliśmy publikować krótkie noty informacyjne o interesujących tematach, książkach, autorach, nieobecnych w ówczesnej prasie. Mniej więcej dwie trzecie not było konfiskowanych w całości. Gdy ukazał się w Londynie drugi tom pomnikowego „Zarysu dziejów socjalizmu polskiego” Lidii i Adama Ciołkoszów, „Tematy i refleksje” zamieściły notkę, że oto pojawiła się ważna praca na temat historii polskiego ruchu

robotniczego, bez wymieniania nazwiska autorów i miejsca wydania. Takie zabawy mogły przynosić chwilową satysfakcję, ale na dłuższą metę groziły wyjątkiem. *Tygodnik Powszechny* był pismem na prawach szczególnych, ale też i wzbudzał szczególną czujność cenzorów.

Na początku 1971 roku napisałem szkic o markizie de Custine (czerwone tomiki brukselskiego wydania „La Russie en 1839” pożyczył mi Paweł Hertz, który kupił je w warszawskim antykwariacie). Nie było w moim tekście bezpośrednio mowy o stosunkach polsko-rosyjskich, starałem się w ogóle jak najmniej posługiwać słowem Rosja, pisałem o oskarżeniu rzuconym w twarz caratowi, o przenikliwej analizie mechanizmów carskiego despotyzmu, stosowałem szeroko cytaty, które sugerowały poglądy zupełnie niecenzuralne, lecz nie padały w nich nazwiska czy terminy zakazane. Jerzy Turowicz w serdecznych słowach wyłożył mi, że w *Tygodniku* tego typu tekst nie ma żadnych szans na choćby fragmentaryczną publikację, a samo zgłoszenie do druku w połączeniu z nazwiskiem autora (proces tatarników był wówczas w żywej pamięci, Jakub siedział jeszcze w więzieniu) może wyrządzić szkodę autorowi i redakcji.

Zniosłem szkic o Custinie do *Twórczości*. Pokazałem go Annie Baranowskiej, sekretarzowi redakcji, darzącej mnie sympatią. – „O czym to?” – zapytała – „A to taka notka, z życia wyższych sfer, występuje w niej jeden markiz, kilku hrabiów, reszta, choć nieutytułowana, też raczej dobrze urodzona. Niech pani zobaczy, mam nadzieję, że nada się do numeru” – odpowiedziałem żartobliwie. Ledwie wróciłem do domu zadzwoniła Anna Baranowska: – „Nie notkę pan przyniósł, lecz bombkę. Założyłam się nawet z Jurkiem Lisowskim, czy cenzura to puści. Daliśmy już do składu”. Tekst ukazał się pod pseudonimem Polikarp Wojciechowski. Przeszedł bez żadnych interwencji cenzury.

Moje związki z *Twórczością* stały się bliższe. Dotąd, po ogłoszeniu szkicu o markizie de Sade, publikowałem tam sporadycznie krótkie teksty. Przychodziłem regularnie do Anny Baranowskiej, prowadzącej przegląd prasy literackiej angielskiej i amerykańskiej, aby pożyczyć *Encounter* czy *Evergreen Review*. I oczywiście czytałem to bezkonkurencyjnie najlepsze wówczas literackie pismo w Polsce. Było nie-

tknięte marksistowskim żargonem, wolne od politycznych serwitutów. Działo się to dzięki Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Sprawował pieczę nad *Twórczością*, był nie tylko nominalnym redaktorem naczelnym, lecz naprawdę zajmował się każdym numerem, dbał o materiały, zależało mu na utrzymaniu wysokiego poziomu. Służył w ten sposób, jak sądzę, bliskiej sobie wizji kultury. Dzieło Iwaszkiewicza ceniłem bardzo wysoko, nie tylko ze względu na wartości estetyczne, lecz także na zawarte w nim treści intelektualne i ideowe. Dwa utwory były dla mnie szczególnie ważne z punktu widzenia szkicowanej tu prywatnej historii wolności: przedwojenna nowela „Voci di Roma”, najbardziej przejmujące w polskiej literaturze oskarżenie barbarzyństwa bolszewickiego i powstała podczas okupacji „Książka moich wspomnień” zadziwiająca szerokością spojrzenia wizja polskiej kultury i jej suwerennego miejsca w Europie na skrzyżowaniu wielu dróg.

Skomponowany przez Iwaszkiewicza zespół redakcyjny składał się z osobowości różnorodnych, lecz budujących razem uderzającą jak na tamte czasy niezależność pisma. Strzegła jej w sposób dyskretny lecz stanowczy Anna Baranowska. Była dobrym duchem *Twórczości*.

Namawiała mnie do stałej współpracy. Zrozumiałem, że w tym piśmie, także oczywiście podległym cenzurze, lecz będącym pod mniejszą obserwacją polityczną niż *Tygodnik*, mogę mówić swobodniej niż gdzie indziej. Publikacja szkicu o markizie de Custine stanowiła ważną dla mnie wskazówkę. Ten fragment „Prywatnej historii wolności” powstał jako pierwszy. Pomyślałem, że stosując specjalną taktykę, zachowując „dystans wobec nieprzyjaciela”, można podjąć próbę mówienia w sposób uczciwy i swobodny o sprawach dla mnie naprawdę ważnych. Postanowiłem podjąć próbę regularnego prezentowania w *Twórczości* książek i problemów, które poszerzają moje odczucie wolności. Zacząłem „Prywatną historię wolności”.

Zanim jednak przystąpiłem do comiesięcznego pisania, dostałem w lecie 1972 paszport, po raz pierwszy od procesu brata, od opuszczenia uniwersytetu, od upadku Gomułki. Pojechałem do Paryża. Mieszkałem na piętrze domku gościnnego w Maisons-Laffitte. W pokoju znajdowały się pod ręką oprawne w zielone płótno roczniki *Kultury*. Do dyspozycji

miałem księgozbiór Instytutu Literackiego. Oddawałem się orgii lektur. Spotykałem się z ludźmi podziwianymi, którzy obdarowali mnie życzliwością. Od pierwszego wyjazdu na Zachód, od 1963 roku, to był dla mnie inny świat, mój świat. A przecież żyłem w Warszawie i wiedziałem, że te spotkania są tylko chwilowe. Korzystałem z nich jednak bez resentymentów. Oddychałem swobodnym powietrzem. Mówiłem sobie, że po powrocie zrobię wszystko, aby zachować i utrwalić swobodę spojrzenia. Atmosfera w Polsce na początku lat siedemdziesiątych była już inna, można było publikować wypowiedzi bardziej śmiało. W Maisons-Laffitte napisałem wtedy szkic o „Cieniach w pieczarze” Tomasza Stalińskiego (ukazał się w *Kulturze* pod pseudonimem, po dwudziestu pięciu latach opublikowany zostanie w Warszawie już pod moim nazwiskiem jako przedmowa do „Cieni w pieczarze” wydanych w serii dzieł Stefana Kisielewskiego...).

Pojechałem następnie do Włoch, po raz pierwszy w życiu. Na dworcu w Wenecji czekał na mnie Andrzej Rapaczyński. Widziałem go po raz pierwszy od jesieni 1968 roku, gdy odprowadzałem go na Dworzec Gdański. Andrzej wyjechał na emigrację, ale byliśmy w stałej korespondencji. Teraz razem jeździliśmy po Włoszech, oglądaliśmy dzieła sztuki, krajobrazy, spotykaliśmy ludzi. Kontynuowaliśmy nasze rozmowy. Dzięki Andrzejowi poznałem Miriam Chiaromonte, wdowę po Nicoli, zmarłym kilka miesięcy wcześniej – w jego bibliotece czytałem książki, rękopisy.

Pierwszy szkic po powrocie napisałem o Nicoli Chiaromontem. Odtąd przystąpiłem do regularnego opowiadania mojej prywatnej historii wolności. Nie budowałem abstrakcyjnych definicji, nie tropiłem sprzeczności w wywodach dawnych czy współczesnych mistrzów, nie rysowałem zawitych magicznych kół, nie pretendowałem do „wyczerpania tematu”, wręcz przeciwnie, wiedziałem dobrze, że temat jest niewyczerpany. Brałem do ręki najrozmaitsze książki i starałem się opowiedzieć co one mówią mi o wolności, mojej i innych.

Nie tylko w *Twórczości* publikowałem moje szkice, choć tam się ukazała większość „Prywatnej historii wolności”. W *Znaku* ogłosiłem rozdział „Ponad okopami”, przygotowany na sesję o Zygmuncie Krasińskim odbywającą się pod

patronatem kardynała Karola Wojtyły w Krakowie, a także rozdział o Marianie Zdziechowskim. Szkic o Kucharzewskim „O duchu bezprawia” ukazał się w 1974 w *Kulturze* pod pseudonimem Kazimierz Opaliński. Do *Tygodnika Powszechnego* pisałem o początkach *Tygodnika* („O sensie demokracji”) i o Stefanie Kisielewskim („Kisielizm jako duchowa forma życia”), cenzura skonfiskowała oba teksty. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstały wydawnictwa podziemne. W *Res Publice* ukazały się szkice skonfiskowane w *Tygodniku*, a także pisane już bezpośrednio do drugiego obiegu „Wolność i wiara” i „Droga do wolności”.

Już od 1973 starałem się opublikować w krajowych wydawnictwach tom tekstów na temat wolności. Prezentowałem wybór złagodzony, pod tytułem neutralnym, najpierw „Spojrzenia” potem „Cień Metternicha”. Dostawałem odpowiedzi odmowne, jeśli w ogóle mi odpowiadano. Stefan Kisielewski namówił Edwarda Puacza, właściciela polskiej księgarni w Chicago, aby ogłosił zbiór moich szkiców. W 1980 roku ukazał się w Stanach niewielki tomik „Szkice o wolności”. Po powstaniu Solidarności klimat w Polsce się zmienił. Cenzura wprawdzie nadal istniała, lecz można było więcej opublikować. W październiku 1980 zwróciłem się do Państwowego Instytutu Wydawniczego, gdzie od miesięcy leżała kolejna moja propozycja, z zapytaniem, jakie są losy „Cienia Metternicha”. Odpowiedziano mi, że podpiszą umowę. Wybór tekstów uczyniłem trochę śmielszym, choć ciągle liczyłem się z ograniczeniami cenzury. Jesienią 1981 wyjechałem do Stanów, skąd 18 grudnia 1981 miałem wylecieć z powrotem przez Rzym do Warszawy. 13 grudnia 1981 roku wprowadzono stan wojenny.

W Ameryce prowadziłem dziennik podróży, od wyjazdu we wrześniu 1981 do wprowadzenia stanu wojennego. Tak powstały „Amerykańskie cienie” (wydane przez Instytut Literacki w Paryżu na wiosnę 1983, a w Polsce w Wydawnictwie Dolnośląskim we Wrocławiu w 1997), ich nicią przewodnią też jest refleksja nad wolnością i jej zagrożeniami, ale „Prywatna historia wolności”, ta zaczęta zaraz po grudniu 1970 roku, zamknięta została 13 grudnia 1981 roku. Zmianie uległo wszystko. Także język, którym mówiłbym o problemie wolności, o moich elementarnych problemach.

O złożonym w PIW-ie „Cieniu Metternicha” nie myślałem. Jakież było moje zdumienie, gdy w kwietniu 1983 dostałem w Paryżu przywieziony z Warszawy egzemplarz „Cienia Metternicha”. W stopce informacja: „oddano do składania w grudniu 1981, podpisano do druku w lipcu 1992, druk ukończono we wrześniu 1982”. Paradoksalnie przez kilkanaście miesięcy stanu wojennego wychodziły książki zatwierdzone w wydawnictwach w okresie Solidarności, a więc bardziej odważne. Wśród reakcji na tę książkę jedną zachowuję w pamięci ze szczególnym wzruszeniem: przeczytał ją w więzieniu mokotowskim Adam Michnik i napisał o niej obszerny szkic „Blask Tocqueville’a, cień Metternicha” (przemyciony z więzienia i opublikowany w *Zeszytach Literackich* wiosną 1984, a następnie w jego tomie „Polskie pytania”, Paryż 1987).

W 1983 roku wyszła w Londynie nakładem wydawnictwa Polonia „Chusteczka imperatora”, wchodziły w jej skład także teksty na temat wolności. Pełne wydanie „Prywatnej historii wolności” ukazuje się w Warszawie nakładem Iskier jesienią 1997 roku. Upłynęło ponad dwadzieścia pięć lat od rozpoczęcia tej książki, zaiste okazałem się cierpliwy, gdy dodać wszystkie lata czekania, daleko już przekroczyłem setkę, prawda że nie był to mój wybór i nic innego mi nie pozostawało....

Cóż, tak było. Jak teraz odczytują „Prywatną historię wolności” ci, których nie było jeszcze na świecie, gdy zaczynałem ją pisać? O jednym jestem przekonany: historia wolności nadal jest aktualna.

Wojciech KARPIŃSKI

Nieznane wspomnienia Juliusza Mieroszewskiego

Niedawno otrzymaliśmy paczkę papierów Juliusza Mieroszewskiego, które znajdowały się u krewnych jego żony, Inki, zmarłej w 1991 roku. Wśród papierów znaleźliśmy nie drukowany nigdzie tekst „Z zapisków oficera czasu wojny”. Cykl wspomnień pod tym tytułem ukazał się po raz pierwszy w *Kulturze* nr 7/237-8/238 z 1967, następny odcinek w numerze 10/240 z 1967 roku. Obie części dotyczyły wspomnień o periodyku *Parada*, piśmie przeznaczonym dla wojska, w którym Mieroszewski pracował. Cykl został wznowiony w numerze 6/273 z 1970 r. jako część „Kroniki angielskiej” i Mieroszewski zapowiedział kontynuowanie wspomnień. „Moim celem jest dać jak najwięcej drobnych lecz charakterystycznych epizodów i obrazków, pomijanych przez pamiętnikarzy, którzy przeżywali ten okres historyczny na wysokim szczeblu, względnie na szczeblu, który wydawał im się wysokim”. Odcinek III dotyczył Ośrodka Zapasowego w Latrun, a odcinek IV wspomnień z Rzymu z początku 1947 roku. Dalszych odcinków nie było. Mieroszewski jednak zawsze myślał o opracowaniu swych wspomnień*.

Miały one obejmować nie tylko okres wojny ale całe jego życie, od dzieciństwa począwszy. Niestety, nie starczyło mu już czasu. Szczęśliwy przypadek spowodował, że w 600-ym numerze *Kultury*, który ukazuje się w 50-tą rocznicę naszej działalności, nie zabraknie jego nazwiska.

Redaktor

* Najlepszym dowodem jest jego szkic „Fragment Epopei”, który ukazał się w nrze 4. pisma *As* z 13.11.1938 r.

Z ZAPISKÓW OFICERA CZASU WOJNY (V)

Józefowi Czapskiemu

Piszę moje wspomnienia z całkowitą pogardą dla chronologii. W życiu nie ma żadnej ciągłości i wskutek tego pamiętnik nie może być opowiadaniem, które ma początek i zakończenie – wszystko w zgodzie z kalendarzem. Jednego dnia byłem właścicielem Krupniczej 11, członkiem redakcji IKC, miałem piękne mieszkanie, dwoje służby i więcej pieniędzy niż byłem w stanie wydać. W kilkanaście dni później kupowałem w Czerniowcach bochenek chleba. Złoty już prawie nic nie był wart. Obliczyłem, że za pieniądze które stanowiły cały mój majątek, mógłbym kupić 15 bochenków chleba. Trudno się dopatrzeć jakiejś ciągłości w tym sekwensie wydarzeń.

Gdy opuszczaliśmy nasze mieszkanie w Krakowie – zostawiłem klucz w zamku. Moja była żona, która pierwsza schodziła po schodach – przystanęła i powiedziała: „Zatrzaśnij drzwi i klucz weź ze sobą”. Zapytałem: „Po co?” – żona odezwała się tłumiąc łzy: „tym kluczem otworzysz wkrótce drzwi do naszego mieszkania”. Zrobiłem jak chciała lecz byłem pewien, że tym kluczem nie otworzę już nigdy niczego. W takich momentach czas wybiega poza konwencjonalną chronologię. Nasze mieszkanie już nie istniało choć wszystko stało jeszcze na swoim miejscu. Niemcy byli w Myślenicach. Kilka dni później moje mieszkanie było zrujnowane rewizjami a na drzwiach przybito list gończy. Ostatni mój artykuł w IKC – który wieńczył moją anty-niemiecką karierę – był sprawozdaniem ze świetnej książki Józefa Winiewicza (wiceministra spraw zagranicznych PRL) pt. „Mobilizacja sił niemieckich w Polsce”. Wydawcą tej książki był Jerzy Giedroyc.

Życie przypomina mozaikę ułożoną z kamieni rozmaitych barw, kształtów i wielkości. Jeden z owych kamieni nadaje ton i atmosferę całości. Mam na myśli dzieciństwo i wczesną młodość. Jestem takim jakim jestem – piszę takie artykuły a nie inne – ponieważ uformowany zostałem tak a

nie inaczej. Pamiętnik dotyczący jednego szczegółowego okresu jak np. wojny – jest w gruncie rzeczy niezrozumiały jeżeli autor pomija swoje dzieciństwo i wczesną młodość. Pamiętnikarz chowa bowiem wówczas przed czytelnikiem jedyny klucz do swojej osobowości. Postanowiłem uniknąć tego błędu.

Przez wiele lat żyłem niejako na dwóch różnych poziomach i przynależałem równocześnie do dwóch klas społecznych. Formowałem się w atmosferze sprzecznych wpływów – jak ktoś o dwóch paszportach dwu całkowicie różnych państw.

Mój dziadek Władysław stracił majątek Czechy w powiecie Miechowskim. Fumy – polowania – życie nad stan – typowa szlachecka „story”. Czechy były w mojej rodzinie ponad 600 lat i brat stryjeczny dziadka Andrzej Mieroszewski odkupił od niego Czechy. Lecz po spłaceniu długów mój dziadek wyładował w Krakowie z dwoma synami – bez grosza. Ojciec mój zarabiając korepetycjami ukończył gimnazjum św. Anny. Po maturze wstąpił na medycynę jako stypendysta austriackiej marynarki wojennej. Stypendium nie potracono z pensji lecz trzeba było je odstępować przez wiele lat. Mój Ojciec służył na morzach przez 20 lat i opłynął kilka razy świat dookoła. Pierwszy raz był ożeniony z Japonką, która po dwóch latach umarła. Wówczas Ojciec poprosił o przeniesienie do Wiednia gdzie pracował w departamencie marynarki wojennej. Wkrótce ożenił się z młodą malarką z utalentowanej rodziny Dunikowskich. Lecz po kilku latach i druga żona Ojca zachorowała na gruźlicę. W owych czasach wierzone, że górskie powietrze leczy gruźlicę. Ojciec, który ogromnie kochał moją matkę, zrezygnował z wysokiego stanowiska w Wiedniu i został skromnym lekarzem powiatowym w Limanowej na Podhalu.

Moja Matka umarła gdy miałem osiem lat. Prawie jej nie pamiętam. Ojciec był dla nas Matką, Ojcem i nauczycielem. Zarówno ja jak i mój młodszy brat uwielbialiśmy go dosłownie. Jego przeszłość marynarska fascynowała nas tym bardziej, że była wszechobecna. Nosiliśmy czapki marynarskie z bandami „Aurory”. Ach, „Aurora” to była romantyczność pływająca po morzach – ukochany okręt Ojca. Była w całości zbudowana z drzewa, podobnie jak nasz dom, który – gdy

szedł halny – trzeszczał. Wówczas Ojciec mówił, że identycznie skrzypiała „Aurora” w czasie sztormu. „Aurora” była fregatą czysto żaglową bez maszyny pomocniczej. Mój Ojciec nie krył pogardy dla statków parowych. Nazywał je lokomotywami pływającymi po wodzie.

Nasz dom stał poza Limanową nad górską rzeczką, która nazywała się Sowlinka. Mieliśmy również małorolne gospodarstwo. Ojciec był wielkim zwolennikiem mułów i starał się namawiać górali by choć częściowo zastąpili swoje małe koniki mułami. Mieliśmy parę mułów i furmanilem Ojcu w czasie wakacji w jego objazdach po powiecie limanowskim. Nasze muły były ogromne, silne, mądre i niezmiernie zgrabne. Górale przyznawali, że nasz sprzężaj ma wielkie zalety – lecz w ich oczach muły były „brzydźkie”. „Panie konsyliarzu” – mówili - „jak pod kościół w niedzielę zajechać takimi kłapouchami?” Myśmy z bratem kochali nasze muły i uważaliśmy, że ich ogromne i puchate uszy stanowiły ich wdzięk.

Mieliśmy świnki, kury, króliki, własne kartofle i jarzyny – tak jak na gazdowskim gospodarstwie przystało. Naszą kucharką i gospodynią była starsza wiekiem góralka Hanusia. Nie pamiętam, żeby Hanusia była kiedykolwiek w życiu chora. Była silna, robotna, gospodarna.

Taka scena. Styczeń – 20 stopni mrozu. Idzie kurniawa – nie widać nic na parę metrów. Śnieg olbrzymi – sanna kopna. Budzi mnie w nocy dzwonek górskich sanek. Po chwili dzwonek milknie i ktoś łomocze się do drzwi. Mój Ojciec bez słowa zapala świeczkę, nakłada kozuch i idzie na werandę. Wówczas pocieszałem się zawsze: może niedaleko. Po chwili Ojciec wraca i zaczyna się ubierać. Nieśmiało pytam: „dokąd?” Ojciec odpowiada: „do Zalesia”. Do Zalesia było ponad 30 kilometrów po wertepach, które trudno było przejechać w dzień a coś dopiero w nocy.

Czasem buntowałem się przeciwko temu. Bałem się o mojego Ojca. Mówiłem: „powiedz góralowi, że nie czujesz się dobrze i każ mu jechać do doktora Trelskiego w Tymbarku – zaledwie 10 kilometrów od Limanowej. Ojciec nie przestając sznurować swoich poperowskich górskich butów odpowiadał: „Otrzymując dyplom doktora medycyny złożyłem przysięgę że nie odmówię pomocy lekarskiej bez względu na osobisty zysk czy trudne okoliczności”.

Po latach, kiedy mój Ojciec był już na emeryturze – ciocia Janowa ordynatowa Mieroszevska – powiedziała stryjowi Leonardowi: „Jak to dobrze, że Kazimierz jest już na emeryturze i nie musi wyciągać ręki po pieniądze”. Ci sami ordynaci, hrabiowie Mieroszewscy, którzy mojemu Ojcu nigdy w niczym nie pomogli – uważali za coś hańbiącego, że Mieroszewski musi wyciągać rękę po lekarskie honorarium.

Górale przeważnie dudków (pieniędzy) nie mieli i honoraria płacili w naturze. Ojciec mawiał, że górale są jak Sycylianie. Potrafią nienawidzić latami lecz potrafią również być wdzięczni latami. W co drugi poniedziałek w Limanowej był jarmark. Tego dnia górale zwozili do nas co który miał. Jeden zrzucił furkę drzewa na naszym wielkim podwórku – drugi przyniósł kilka oszczypków, trzeci kilkanaście jajek – a byli i tacy, którzy przywozili barana. Chłopcy przy których urodzeniu Ojciec akuszerował chodzili już do szkoły – a ich ojcowie dalej podrzucali nam oszczyпки, drzewo, grzyby – wszystko z wdzięczności dla pana konsyliarza. Nie można było nie przyjąć takiego daru – ponieważ wywołałoby to śmiertelną obrazę.

Byliśmy chowani w zupełnej nieświadomości faktu, że poza Ojcem i jego bratem – istnieją jeszcze inni Mieroszewscy. Nie wiedzieliśmy nic o Czechach, w których mieszkał stryj Leonard, nie wiedzieliśmy o Ropie której właścicielem był Stryj Felicjan – nie wiedzieliśmy, że istnieje ordynacja i że pewni Mieroszewscy, choć nie wszyscy – posiadają tytuł hrabiowski.

Znaliśmy natomiast dokładnie zapatrywania naszego Ojca na herby, tytuły, szlachtę, ziemiaństwo. Herby i tytuły to były feudalne przeżytki, ziemian należało zlikwidować drogą reformy rolnej bez odszkodowania, w sprawach społecznych mój Ojciec był znacznie bardziej radykalny niż PPS. Patrząc przez lata na ubóstwo małorolnych górali a przede wszystkim na rozpaczliwą nędzę Limanowskich Żydów – Ojciec był niezmiernie uczulony na nierówności majątkowe. Mówił nam zawsze, że jeżeli kiedyś w Polsce wybuchnie rewolucja – my jako młodzi powinniśmy w niej wziąć czynny udział.

Życie prowadziliśmy szczęśliwe lecz ciężkie. Po wojnie polsko-ukraińskiej nie wróciliśmy już do Chyrowa tylko

dojeżdżaliśmy koleją do Nowego Sącza. 30 kilometrów w jedną stronę i 30 kilometrów z powrotem do domu. Wstawaliśmy codziennie o 4.30 rano by zdążyć na pociąg o 5.40. Ojciec na prymusie gotował nam śniadanie, ponieważ uważał że Hanusia tak ciężko pracuje, że musi się wyspać. Hanusia protestowała lecz bezskutecznie. Piliśmy herbatę – jedliśmy nasz wspaniały czarny chleb z wędzonką a czasem dostawaliśmy po jajku. Masło było rzadkością.

W zimie – bywało – nasz dom był tak zasypany śniegiem, że drzwi nie można było otworzyć. Do stacji było półtora kilometra i często bez nart nie można było do niej dobrnąć. Wracaliśmy o 3.15 po południu. Jedliśmy obiad i natychmiast zabieraliśmy się do nauki. Ojciec wieczorami pomagał nam zwłaszcza w łacinie i w grece. Był zamiłowanym klasycznym filologiem i mawiał, że jego ulubionymi autorami są Homer i Conrad. Był znakomitym conradystą. Wybaczył nawet Conradowi, że nie był oficerem marynarki wojennej i źle się wyrażał („Korsarz”) o wojskowych żeglarzach. Którejś zimy ojciec przetłumaczył dla nas „Murzyna z Załogi Narcyza”. O maszynach do pisania w Limanowej nikomu się jeszcze nie śniło. Lecz mój Ojciec miał bardzo wyraźne pismo.

Nasz dom był kombinacją gazdowskiego gospodarstwa i baraku marynarki wojennej. Spaliśmy pod marynarskimi kocami – bez poduszek tylko na podgłówkach napchanych końskim włosiem. Studiowaliśmy fotografię, rysunki i przekroje techniczne okrętów, na których pływał Ojciec. Ożaglowanie, olinowanie, manewrowanie żaglami – Ojciec jak zaczynał mówić na ten temat stawał się innym człowiekiem. W długie wieczory zimowe przy lampie naftowej „Aurora” podnosiła kotwicę i na rozłożonych na stole jałdalmym mapach odbywaliśmy z Ojcem podróż naokoło świata.

Gdy byłem w czwartej klasie gimnazjalnej wybuchła na Podhalu epidemia tyfusu plamistego. Zarazek był wyjątkowo zjadliwy. Chorzy do dwóch godzin tracili przytomność i więcej jej nie odzyskiwali. Umarło wówczas bardzo wielu lekarzy i księży. Umarł doktor Trełski z Tymbarku, nim stracił przytomność – napisał na recepcie dwa słowa: „rower Julkowi”. W ten smutny sposób dorobiłem się wspaniałego

roweru marki Styria. Rower był specjalnie dostosowany do górskiej turystyki.

Któregoś wieczoru Ojciec wrócił z objazdu swych tyfusowych pacjentów w dziwnym stanie. Miał wypieki na policzkach i przekrwione błyszczące oczy. Gdy przy kolacji oświadczył że nie będzie nic jadł tylko prosi o szklankę herbaty – było oczywiste, że jest chory.

Gdy mój młodszy brat poszedł spać Ojciec wezwał mnie do gabinetu. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przedzieleni biurkiem. Ojciec spojrzał na mnie uważnie i odezwał się rzeczowym spokojnym tonem oficera, który wydaje zlecenie podwładnemu. W chwilach kryzysu mój Ojciec był nie tylko lekarzem, lecz przede wszystkim wojskowym wysokiego stopnia – przywykłym do opanowywania groźnych sytuacji i do wydawania rozkazów.

Ojciec powiedział: „zaraziłem się tyfusem i do kilku godzin stracę przytomność. Nim to się stanie chcę napisać krótki list, który ty jutro rano nadasz na poczcie w Limanowej jako przesyłkę poleconą. Dowód nadania położysz na biurku pod przyciskiem. To wszystko.”

Następnego dnia rano ubrałem się szybko i natychmiast poszedłem do gabinetu Ojca. Na biurku leżał list zaadresowany następująco: „J. Wielmożny Pan, Leonard Hr. Mieroszewski, Majątek Czechy, Poczta Słomniki, Powiat Miechów”.

Byłem do tego stopnia zdumiony, że na kilka sekund zapomniałem o chorobie Ojca. Nigdy do tej pory nie słyzałem o majątku Czechy ani o Leonardzie Mieroszewskim. Nie mogłem również pojąć, że mój Ojciec – radykał i socjalista – użył tytułu hrabiowskiego. Nie zdawałem sobie również sprawy że ów list oznacza koniec pewnej epoki w moim życiu.

Siadłem na rower i pojechałem do Limanowej. Nadałem na poczcie list i wróciłem do domu. Dowód nadania umieściłem pod przyciskiem na biurku w gabinecie.

Mój Ojciec nie miał tyfusu. Po kilku dniach gorączka spadła i odzyskał apetyt. Po dziesięciu dniach ku naszej nieopisanej radości – był zdrow jak ryba. Lecz tajemniczy list odszedł.

W kilka dni później Ojciec wezwał nas obu do gabinetu

i opowiedział nam pełną historię swojego życia. Dowiedzieliśmy się, że Ojciec urodził się w Czechach, że po bankructwie swego ojca zerwał z zamożną częścią rodziny, ponieważ był zbyt dumny, by o cokolwiek prosić. Mieroszewski w owych czasach, który nie był właścicielem ziemskim czy kapitalistą przestawał być Mieroszewskim. Przystawał przynależeć do klasy społecznej, z której pochodził. W Limanowej nikt Ojca nie znał – była wojna – i Ojcu przychodziło łatwo utrzymywać nas w niewiedzy, że poza jego bratem istnieją jeszcze inni Mieroszewscy. Chciał nas wykształcić i wychować na ludzi pracy, którzy gardzą feudalnymi przeżytkami. Gdy zachorował był pewien, że tak jak wielu jego kolegów lekarzy – zaraził się tyfusem. Napisał list do swojego kuzyna Leonarda prosząc by się nami zaopiekował. Ojciec przypuszczał, że umrze na tyfus, bo był już w starszym wieku. Prosił tylko o opiekę, ponieważ posiadał oszczędności, które powinny być wystarczające na zapłacenie nam wykształcenia.

Instynktownie pragnąłem by nie znany mi stryj Leonard nie odpowiedział na list Ojca – by wszystko pozostało po dawnemu. Lecz odpowiedź stryja Leonarda nadeszła. List był ujmująco szczerzy i serdeczny. Stryj pisał, że cała jego nadzieja związana jest ze mną i z moim bratem, ponieważ jesteście jedynymi męskimi potomkami rodu. Prosił Ojca by pozwolił nam spędzać wszystkie letnie wakacje w Czechach.

Gdy przyjechaliśmy w pierwszych dniach lipca tegoż pamiętnego roku – postanowiono nas pospiesznie rozkuć. W Limanowej nosiliśmy buty z podkówkami. Podeszwy mieliśmy nabite gęsto specjalnymi gwoździemi. Owe buty w Limanowej spełniały swoje zadanie lecz w Czechach rysowały niepokalane parkiety polerowane codziennie przez chłopca kredensowego i lokaja.

Za czasów dzieciństwa mojego Ojca dwór czeski był modrzewiowym obszernym dworem szlacheckim. Stryj Leonard dobudował dwa piętrowe skrzydła – tak że Czechy były czymś pośrednim pomiędzy dworem a pałacem. Czułem się jak na obcej planecie. W Limanowej wszyscy pracowali. W czasie wakacji Hanusia zapędzała mnie do żaren i gdy zmieliłem ile było potrzeba dostawałem kromkę chleba z powidłami. Chodziłem koło mułów – furmaniłem mojemu

Ojcu i ani godziny nie siedziałem nigdy z założonymi rękami. Nagle odkryłem że są ludzie, którzy nie robią nic przez cały dzień a nawet przez całe życie.

Stryj do 12-iej w południe siedział w swojej ubieralni przed mahoniową toaletą. Ubrany był w długi szlafrok, który oglądałem po raz pierwszy w życiu. Stryj golił się, polerował paznokcie – pił nieskończoną ilość herbat i rozmawiał z ludźmi, którzy go tam odwiedzali. Spędzaliśmy codziennie dłuższy czas w ubieralni a Stryj wykladał nam historię naszej rodziny. Mój Ojciec cenił tylko jednego z naszych przodków – Jana Krzysztofa, który był kolejno sekretarzem trzech królów polskich i założycielem szkoły rycerskiej. Wszystkich innych Mieroszewskich uważał za „przeciętniaków”.

W wykładzie Stryja – Mieroszewscy byli wybitną rodziną ponieważ kiedyś posiadali wielkie majątki. Ordynacja Mysłowicka nim ją przekształcono na fundusz pieniężny obejmowała kilka kluczów wsi.

Słuchając tych dziejów – odkryłem, że Stryj identyfikuje wartość majątku z wartością człowieka. Osiąga się wybitność niejako automatycznie jeżeli posiada się znaczny majątek. Jeżeli ktoś dziedziczy duży majątek jest kimś od urodzenia nie wkładając w to żadnej pracy. To była dla mnie nowa filozofia i odpychająca.

O dwunastej – jeżeli była pogoda Stryj obchodził ogród kwiatowy i obcinał kwiaty na bukiety. Oczywiście był zawsze w panamie i w jelonkowych rękawiczkach. Czeskie bukiety porostawiane w pięknych wazach w całym domu, były słynne w całej okolicy. Trzeba przyznać, że w tej dziedzinie Stryj wykazywał wiele arcyzmu.

O pierwszej było drugie śniadanie a niemal bezpośrednio po drugim śniadaniu obiad. Czarną kawę podawano na werandzie. Poźniej był podwieczorek obfity i różnorodny i ani człowiek się spostrzegł gdy mu podawano kolację. Jedzenie było formą towarzyskiej zabawy, okazją do skupienia gości przy stole i prowadzenia konwersacji.

W Limanowej wyglądało to zupełnie inaczej. Obiad był centralnym punktem dnia. Ojciec krajał chleb Hanusia nalewała zupę. Jedliśmy wolno i ze skupieniem jak ludzie ciężko pracujący, dla których obiad jest bardzo ważną i poważną sprawą. Tak obiadują chłopci, którzy znają cenę

trudu jaki trzeba wycisnąć z mięśni by zdobyć kawałek chleba.

Skłamałbym jednak twierdząc, że ów pański styl życia nie imponował mi. Tym bardziej, że Stryj traktował mnie jak syna. Stryj był reakcjonistą i snobem, lecz równocześnie był człowiekiem niezmiernej dobroci. Był odwrotnością obszarnika-krwiopijcy z komunistycznych broszurek. Wszystkie herby, karety, dziewięciopalkowe korony – w zestawieniu z jego dobrocią traciły swój jad. Nie wyobrażam sobie by Stryja ktokolwiek nienawdził. Wystężeni fornale i stangreci otrzymywali po 10 morgów czeskiego czarnoziemiu za połowę ceny. Chłopi nie lubią darmochoy i dlatego symboliczna zapłata musiał być utrzymana. Stryj każdemu z nich pomagał pobudować się, obsiać pole. W tym wypadku nie chodziło tyle o 10 morgów – co było pięknym gospodarstwem – ile o spełnienie życiowego marzenia każdego chłopca by być na swoim. Jeżeli kiedy istniał dobry pan dziedzic – to stryj Leonard był mim na pewno. Nie wspomnę już o rzeszach kuzynów zwłaszcza stryjenki, która pochodziła z Litwy – których Stryj latami kształcił i wyprowadził na ludzi, choć nie byli... Mieroszewskimi.

Może to się wydać paradoksem lecz fakt, że Stryj był takim jakim był, utrudniał moją sytuację. Gdyby Stryj był zimnym, egoistycznym wyzyskiwaczem moje stanowisko byłoby łatwe do określenia. Wszystko zgadzałyby się z socjalistyczną teorią tak jak rozumiał ją mój Ojciec. Lecz po latach – pokochałem mojego Stryja i byłoby dziwne gdyby było inaczej.

Do Czech jeździłem bardzo często. Na wszystkie święta i wakacje a czasem wyjeżdżałem na tydzień lub dwa by w ciszy i w spokoju przygotować się do egzaminów. Przyjeżdżał po mnie stangret Łukasz, który miał do załatwienia mnóstwo zleceń w Krakowie. Wyjeżdżaliśmy późno, czasem o 11-tej w nocy. Za Michałowicami, dawną granicą austriacko-rosyjską, wjeżdżało się w inny kraj. Już nie było kilometrów tylko wiorsty i nie jechaliśmy gościńcem tylko szosą. Łuna świateł Krakowa powoli gaśła. Zanurzaliśmy się w inną epokę i w inną Polskę. Dwory – pałace – wsie – wszystko zachowane od pradawnych czasów.

Budziło mnie z drzemki ujadanie czeskich psów, które

wskakiwały do powozu, żeby mnie powitać. Była już zwykle druga w nocy, bo z Krakowa do Czech jechało się końmi trzy godziny. Walek – chłopiec kredensowy otwierał cicho drzwi i stojąc ze świecą w ręku z zazdrością patrzył na moją latarkę elektryczną. Szedłem amfiladą pokoi na piętro gdzie mieszkałem. W moim pokoju kamyczkowy piec emanował ciepło i swojskość. W pięknym srebrnym lichtarzu paliła się gruba woskowa świeca po środku stołu. Obok na tacy przygotowane były kanapki z przepysznych czeskich wędlin. Spory kielich węgierskiego wina migotał na krawędziach złoto-zielonawym refleksem. Było cicho, przytulnie, domowo.

Polska pańska, feudalna, dworska – miała wprost nieodparty urok i było trudno uwierzyć, że to wszystko oparte było na krzywdzie.

Nawet w Czechach tzw. czworaki były w okropnym stanie. Pomiędzy kuchnią dworską a czeladnią była przepaść. Jedna z moich ciotek (nie stryjenka Leonardowa) twierdziła, że jedzenie w czeladnej nie może być zbyt tłuste bo chłopi nie są do tego przyzwyczajeni i chorowaliby na żołądek.

„Z polską szlachtą polski lud” – to był schemat uświęcony tradycją. W Czechach od czasu do czasu Stryj przyjmował naszych sąsiadów, bogatych gospodarzy Popiołka i Szopę. Lecz obaj musieli być w sukmanach, w białych koszulach bez krawatów spiętych u szyi koralem i w wysokich butach. Stryj nie zdawał sobie sprawy jaką gorycz ów staropolski „demokratyzm” budził wśród służby folwarcznej. Stary karbowy Rogala powiedział mi kiedyś: „pracuję dla dziedzica 30 lat ale nigdy nie zaprosił mnie do swojego stołu. Prosi przecie tych „twardźców” (lokalne określenie na kułaka) – bo mają własne gospodarstwa i mogą wystroić się w sukmany, a ja jestem tylko sługa, który pracuje na pańskim i nic więcej.

Lud to byli chłopi w sukmanach na swoim, lecz nie służba folwarczna. Dla tych ostatnich Polska feudalna nigdy nie była łaskawa.

Na Wielkanoc stół czeski uginał się pod stosami mięs, wyszukanych wędlin i bab wielkanocnych. Do takiej baby idzie podobno 60 jajek.

W czeladnej był kołacz z ciemnej razowej mąki posmarowany nie przesadnie słodzonym krowim serem. A przecież

Stryj Leonard i Stryjenka to byli anielskiej dobroci ludzie. To nie była wina ludzi tylko wina systemu.

Gdyby Stryj Leonard chciał być człowiekiem społecznie sprawiedliwym – zbankrutowałby do trzech miesięcy. System w którym żył opierał się na wyzysku i likwidacja wyzysku musiałaby oznaczać likwidację systemu.

Gdy dziś z perspektywy niemal pół wieku patrzę na formatywne lata mojej wczesnej młodości – muszę stwierdzić, że wpływ mojego ojca okazał się decydujący. Ojciec pokonał Chyrów, Jezuitów, katechetów, Czechy, Stryja Leonarda, ordynację, herby, sygnety – wszystko.

Podobnie jak mój Ojciec jestem socjalistą. Podobnie jak On jestem nie-konformistą. Ojciec – podobnie jak ja – nie przynależał do żadnego zorganizowanego kościoła lecz modlił się codziennie. Ilu katolików modli się codziennie?

Inaczej mówiąc po długiej podróży wróciłem do mojego drewnianego domu pod Limanową, który gdy szedł halny, lub zimą kurniawa – krzypiał jak „Aurora” w czasie sztormu.

c.d.n.

Trzyzęściowa panorama

W ostatnich latach coraz częściej wspomina się w humanistyce o utracie jednego centrum i o rosnącej roli wszelkiego rodzaju kresów, pograniczy, tych więc obszarów, które funkcjonują na styku różnych kultur. Mamy my nasze Kresy wschodnie i ich mitologię, mają podobne obszary i inni. Zresztą nawiasem mówiąc, byłoby rzeczą niezwykle interesującą poznanie poglądów naszych wschodnich sąsiadów na nasze kresowe mity: przedstawienie czytelnikowi polskiemu jakiegoś wyboru tekstów pozwalających zobaczyć ten świat niejako z drugiej strony. To tylko dygresyjna uwaga, lecz

wyduje się, że warto takie badania podjąć: słuchając innych lepiej wszak możemy poznać samych siebie.

Tak właśnie czynią Austriacy. Dotarła do mnie ostatnio trzynomowa panorama o wspólnym tytule „Das Buch der Ränder”, co można od biedy przetłumaczyć jako „Księga obrzeży”. Austriacy, obchodzący w zeszłym roku 1000-lecie swej państwowości, przejawiają czasami swego rodzaju „kompleks obrzeży”: w ich kulturze dopływy węgierskie i polskie, włoskie i czeskie, słowackie i serbskie, ukraińskie i rumuńskie – tą wyliczankę można by długo kontynuować – odgrywają rolę ogromną – tak dalece, iż można by zasadnie pytać o to, co w kulturze austriackiej stanowi o jej narodowej specyfice. To, rzecz jasna, stwierdzenie wyostrzone na użytek niniejszego felietonu, lecz przecież nie tak dalekie od prawdy. Jedno jest pewne – właśnie Austriacy w sposób wyjątkowy wyczuleni są na problematykę środkowo- i wschodnio-europejską: ich kraj, znajdujący się na przecięciu wpływów wschodu i zachodu, ale także po części północy i południa, jest jakby zwornikiem procesów kulturalnych naszego kontynentu.

Bez wątpienia też ma rację Karl-Markus Gauss, autor pierwszego wyboru, na który składają się opowiadania 42 autorów środkowoeuropejskich, gdy pisze: „Świadectwo ich literatury przynosi więcej niż wszelkie polityczne komentarze o życiu w tej przestrzeni, ponieważ w ich przekazie chodzi nie tylko o to, co da się zmierzyć i zważyć, o podział bogactwa i nędzy, lecz również o marzenia i koszmary, ideały i obsesje ludzi, o upór i małoduszność, o miłość i nienawiść oraz nieskończoną wielość odczuć”. Mamy tu próbę oddania – w wielkim skrócie – XX-wiecznych doświadczeń Europy Środkowej: obok utworu Ivo Andrića z Bośni odnajdujemy tu opowiadanie węgierskiego pisarza Gyorgy Dalosa, spotykają się tu proza Bułgarki Blagi Dimitrowej i Polki Hanny Krall.

To jedyna w tej antologii przedstawicielka naszej literatury. W wydanym przed dwoma laty tomie poezji prezentującym 127 pisarzy, jest już Polaków więcej - włączono tu wiersze Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, Zbigniewa Herberta, Ewy Lipskiej, Ryszarda Krynickiego, Adama Zagajewskiego, Jerzego Harasymowicza i Juliana Przybosa.

Oczywiście – zawsze można w takim wypadku pytać o zasadność doboru tych właśnie a nie innych autorów, badać proporcje, w jakich prezentowane są poszczególne literatury narodowe, lecz są to rozważania jałowe, tym bardziej, że podobnych przeglądów literackich jest całe mnóstwo i każdy z antologistów dobiera utwory wedle własnego klucza: w końcu nie są to tomy-monstra, lecz jedynie sondy.

W tym wypadku sonda ta – zmierzająca przede wszystkim do pochwycenia stanu świadomości kulturowej narodów Europy Środkowo-Wschodniej u schyłku tego stulecia – siłą rzeczy musi działać wybiórczo. Tym bardziej, że obejmuje pisarzy wielu generacji i wielu narodów. Nie jest też przypadkiem, że ową próbę syntezy podjęto właśnie w latach dziewięćdziesiątych, wówczas, gdy po środkowoeuropejskiej Jesieni Ludów, można było rozpocząć rachunek strat, dokonać wstępnego podsumowania doświadczeń. Podział kontynentu i dążenie do jego scalenia – a właśnie w utworach literackich najwyraźniej widać, iż to był podział sztuczny i zbrodniczy – jest jednym z centralnych doświadczeń współczesności. Warto też podkreślić, iż jest to doświadczenie doskonale znane Austriakom, których kraj dopiero po roku 1955 odzyskał swą jedność i suwerenność, przedtem podzielony na sowiecką i zachodnią strefę wpływów.

Widać w obu tomach tej antologii, że mimo rozdarcia politycznego, na całym tym obszarze dochowywano wierności tradycji i że, paradoksalnie, ciśnienie ideologii nie tylko nie zmiażdżyło sfery wartości, lecz ją umocniło. Zachowana też została specyfika kulturalna całego obszaru Europy Środkowej, ta specyfika, o której w latach osiemdziesiątych interesująco pisał Milan Kundera, którego esej stał się ośrodkiem niezwykle żywej wówczas, choć prowadzonej poza oficjalnymi mediami dyskusji.

Tom trzeci owego cyklu, przygotowany przez Barbarę Neuwirth to jakby feministyczny aneks do dwóch poprzednich. Opatrzony podtytułem „Kobieca księga obrzeży”, zatytułowany zaś „Dźwigam ten kraj”, zgromadził teksty 28 autorek, wśród nich zaś trzech pisarek polskich, dość głośnych debiutantek ostatnich lat – Manueli Gretkowskiej, Nataszy Goerke i Olgi Tokarczuk. Autorka antologii podkreśla, iż chciała ukazać, „jak z kobiecego punktu widzenia

odróżnia się załamaniem systemów, świata totalitarnych reżimów i codziennej rzeczywistości od ujęcia męskiego”. Przyznać trzeba, że jest to propozycja – gdy chodzi o wybór prezentowanych utworów, nie zaś dopisywaną do nich ideologię – interesująca.

I na koniec jeszcze jedna uwaga. Ten typ literackich panoram i przeglądów jest od lat na świecie niezwykle popularny, także dobrze odbierany przez czytelników. Może czas i u nas pomyśleć o podobnych antologiach?

Leszek SZARUGA

Das Buch der Ränder. Prosa. Hrsg. Karl-Markus Gauss, Wieser Verlag, Klagenfurt - Salzburg 1992, s. 422; Das Buch der Ränder. Lyrik, Hrsg. Karl-Markus Gauss, Ludwig Hartinger, Wieser Verlag, Klagenfurt-Salzburg 1995, s. 232; Ich trage das Land. Das Frauen-Buch der Ränder, Hrsg. Barbara Neuwirth, Wieser Verlag, Klagenfurt - Celovec 1996, s. 362

„Polesie, jakiego nie znamy”

Na pewno po raz pierwszy zagraniczna wystawa na Białorusi rozpoczęła swoje *tournee* nie od stolicy, a od prowincji. Otwarcie fotograficzno-etnograficznej wystawy pt. „Polesie, jakiego nie znamy” zgodnie z zamierzeniami organizatorów najpierw na Polesiu z pewnością ma swój sens.

W ubiegłym roku wystawa ta była prezentowana przez kilka miesięcy w Warszawie, w Muzeum Niepodległości. Wydarzenie, które miało miejsce w życiu kulturalnym sąsiedniego państwa spotkało się z oddźwiękami i u nas. Fotografie z wystawy i duży artykuł poświęcony poleskiej wystawie drukowała gazeta *Zwiazda* (30.04.98), informację zamieściło czasopismo *Kontakty i dialogi* (nr 4, 1996).

Zainteresowanie wystawą na Białorusi nie jest przypadkowe. Przedstawiono na niej 200 zdjęć wybitnego polskiego etnografa Józefa Obrembskiego, które wykonał w

latach 1934-37 na Polesiu Zachodnim. Poleskie archiwum uczonego znajduje się w Ameryce, na uniwersytecie stanu Massachusetts w Amherście.

O utworzeniu tego wielkiego i kosztownego archiwum materiałów o zachodnim Polesiu lat 30-tych nasi badacze dowiedzieli się od amerykańskich Białorusinów. Nieprzypadkowo znajduje się ono na liście „Wiartannie” (*Zwrot*) w kategorii tych materiałów, które miały istotne znaczenie w nauczaniu historii i kultury naszego państwa i które należy przywieźć na Białoruś w postaci kopii. Niestety zrealizowanie takiego przedsięwzięcia, ze względu na trudną sytuację finansową w naszej nauce w najbliższym terminie nie jest możliwe. Pojawiła się natomiast możliwość obejrzenia na Białorusi poleskiego archiwum Józefa Obremskiego.

Kopie zdjęć oraz manuskrypty Obremskiego poświęcone Polesiu przywiezione zostały do Polski przez młodego etnologa, wykładowcę Uniwersytetu Warszawskiego Annę Engelking. Materiały te są podstawą wystawy, która pokazana jest na Białorusi pt. „Polesie, jakiego nie znamy”.

Przywiezienie tej wystawy na Białoruś stało się możliwe dzięki sprzyjającemu okresowi zmian w życiu społeczno-politycznym obu naszych państw, a także dzięki aktywizacji kontaktów naukowych i kulturalnych. Pragnienie pokazania wystawy na Białorusi było wzajemne tak ze strony białoruskich, jak i polskich naukowców. Demokracja ludowa albo ściśle naukowa znalazła poparcie w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej na Białorusi. Właśnie dzięki staraniom i pomocy finansowej Ambasady wystawa „Polesie, jakiego nie znamy” otrzymała wspaniale wykonany poligraficznie plakat i przetłumaczony na język białoruski folder. Za zgodą naszego Ministerstwa Kultury, w marcu wystawa rozpoczęła swoją wędrowkę po Białorusi.

Obecnie wystawa prawie pokonała poleską trasę: Brześć-Kobryń-Pińsk. Droga ta była niełatwa. Niespodzianie dla organizatorów pojawiły się komplikacje.

W Brześciu dzięki wspólnym wysiłkom pracowników Wojewódzkiego Muzeum Krajoznawczego wystawa była udana. Widza pociągały ku sobie starannie rozwieszane zdjęcia i autentyczne eksponaty etnograficzne wzięte z zasobów muzeum. Potężny ul z kłody, drewniane narzędzia pracy, skromny ale majestatyczny w swoim kształcie sprzęt domowy poleszuków, wymalowany ogowski kufer z posągami narzeczonej spod Małoryty, krzyż autentycznych wymiarów, ude-

korowany zgodnie z tradycją, wyróżniającymi się zachodniopoleskimi ręcznikami z czerwonymi pasami jakby zmaterializowały się ze starych zdjęć w przestrzeń wystawy.

Miasto było poinformowane o wystawie, czekało na nią i impreza otwarcia była bardzo udana. Cudowne piosenki brzmiały w wykonaniu autentycznego zespołu folklorystycznego „Andarak” ze wsi Opał rejonu iwanowskiego, uczestniczki którego były ubrane w stroje swych matek i babć, kuźelne kaszule, fartuchy, czepce. Obecni na otwarciu goście, wśród których należy wymienić I Sekretarza Ambasady RP pana Pawła Przeciszewskiego oraz goście z Warszawy mieli możliwość przekonać się, że ludzie Polesia zachowali swoją odrębną kulturę.

O tradycyjnej również kulturze ludzi Polesia mówiło się na seminarium naukowo-krajoznawczym w muzeum wojewódzkim zorganizowanym z okazji otwarcia wystawy. W seminarium wzięli udział pracownicy naukowcy z Warszawy, Mińska, wykładowcy Uniwersytetu w Brześciu, miejscowi krajoznawcy, działacze kulturalni.

Niestety organizatorzy wystawy zachowali nie tylko dobre wrażenia. Wrócili z Brześcia z pewnym poczuciem goryczy. Przyczyną tego było nieoczekiwane zaniepokojenie wśród władz wojewódzkich tym, że wystawa nie odzwierciedla dzisiejszego Polesia: nie ma tu obrazów ciągników, współczesnych szkół, pałaców kultury... Były próby cenzury materiałów ekspozycji z tej przyczyny, że niektóre zdjęcia „mogą obrazić” dzisiejszych Poleszuków. Była to absolutna niespodzianka dla autorów wystawy. Przecież wystawa była przywieziona na Polesie najpierw jako podziękowanie tym ludziom, z którymi się spotykali, rozmawiali w wioskach poleskich, którzy mile przyjmowali ich jak swoich, gościli, śpiewali im piosenki... Nieprzypadkowo przecież tekst podziękowania wraz z autografami autorów wystawy wieńczy ekspozycję.

Należy podkreślić, że oprócz czarno-białych zdjęć archiwalnych Obremskiego na wystawie przedstawiono tyle samo kolorowych zdjęć, zrobionych na Polesiu w latach 1986-1996.

A teraz kilka słów o autorach wystawy. Jest to grupa studentów Katedry Etnologii i Antropologii Kultury oraz Wydziału Socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. Niektórzy z nich posiadają stopień magistra lub pracują jako wykładowcy. Pod kierownictwem pani Anny Engelking

grupa ta odbyła szereg ekspedycji na Polesie, przeszła tymi samymi drogami, którymi 60 lat temu szedł Obrebski.

Ich pomysł był wspaniały! Postanowili odnaleźć ludzi, którzy kiedyś spotykali się z Obrebskim, porozmawiać z nimi i sfotografować ich. Na Polesiu poszukiwali niepowtarzalnych pejzaży, które jeszcze w latach 30-tych przyciągały turystów z całej Europy, poszukiwali tych niezmiennych praw kultury materialnej i duchowej, które w języku etnologii noszą nazwę „kultury tradycyjnej”. Byli pełni podziwu dla polskiego dziedzictwa Obrebskiego, jego poglądów na temat kultury i samoświadomości Poleszucków wychodzących poza przyjęte standardy. Ci młodzi ludzie – dzieci współczesnych zurbanizowanych megapolis, w których panuje kultura kosmopolityczna, poszukiwali na Polesiu tego, co świadczy o integralności, niezmienności i odrębności kultury.

Jak widać, w tym leży przyczyna nieporozumienia. Masowa świadomość w krajach postsowieckich pojmuje kulturę wyłącznie w kategoriach nieuchronnego postępu. Do takiego sposobu myślenia przyzwyczajono już kilka pokoleń, kontynuują one nieugiętą wiarę w to, że tylko zburzywszy to co stare, można zbudować nowy świat. Obecnie ulega to pewnym zmianom. W ostatnich latach powracamy do rozumienia wartości autentycznego, albo inaczej mówiąc prawdziwego folkloru, a nie jego oficjalnie-ludowego wariantu scenicznego. Próbujemy wiele rzeczy odrodzić i zachować w swojej kulturze. Zachodzi jak gdyby proces narodowego dowartościowania naszych wartości kultury. W tym okresie niesłychanie ważna jest umiejętność widzenia siebie oczami ludzi o innej mentalności i innych tradycjach kulturalnych.

Taką możliwością stwarza wystawa „Polesie, jakiego nie znamy”. Polesie jest regionem unikalnym ze względów przyrodniczych i kulturowych. W czasach sowieckich przeżyło ono ogromne przemiany. Jego los symbolizuje zmiana nazwy muzeum w Pińsku, gdzie teraz eksponowana jest wystawa. W latach dwudziestych było ono założone jako „Muzeum Poleskie”. Po wojnie otrzymało nazwę „Muzeum Socjalistycznego Przekształcania Polesia”. Obecnie zamieniono ją na mniej tendencyjną – „Muzeum Polesia Białoruskiego”.

Niestety razem ze zmianą nazwy nie runęły nasze stereotypy, przyzwyczailiśmy się bowiem do upolitycznionego

i zideologizowanego podejścia do kultury. Wszystko to ilustruje los, jaki spotkał polską wystawę na Polesiu Białoruskim.

W Kobryniu wystawa ta została umieszczona w salach Muzeum Historyczno-Wojskowego im. Aleksandra Suworowa. Na skutek czujnego ideologicznego podejścia jego dyrektora pani N. Plisko, była wystawiana tylko przez dwa tygodnie, zamiast przeznaczonego dla niej całego miesiąca. „Ludzie pracy” Kobrynia, nie zważając na gorący sezon prac wiosennych wykazali wielką aktywność – wpisywali swoje negatywne opinie do księgi pamiątkowej muzeum, które drukowano w prasie miejscowej i nawet wysłano do Administracji Prezydenta. Zwraca uwagę jednakowy swoisty statystycznie grozący styl wszystkich tych „sygnałów”. W rezultacie wystawa została zdemontowana, nawet bez uprzedzenia autorów i organizatorów.

Ministerstwo Kultury – decydując o dalszym losie wystawy – zdobyło się na dyplomatyczną decyzję – dalszą prezentację wystawy, ale bez zdjęć współczesnych. Autorzy wystawy byli zmuszeni do pogodzenia się z tym faktem. Rezygnując z ambicji autorskich, dokonawszy całościowej analizy swoich poglądów dotyczących funkcjonowania praw autorskich w warunkach rzeczywistości białoruskiej, uznali, że mimo wszystko warto pokazać najwartościowszą część wystawy.

Z wystawą „w archiwalnym wariacie” zapoznają się mieszkańcy Pińska i goście wielu imprez kulturalnych poświęconych 930 rocznicy stolicy Polesia.

Na dzień 14 sierpnia zostało zaplanowane otwarcie wystawy „Polesie, jakiego nie znamy” w Muzeum Narodowym Historii i Kultury w Mińsku. Wystawa jest tu od dawna oczekiwana. Jednak kwestia tego, czy stołeczni naukowcy, pracownicy muzeów, studenci i po prostu zainteresowani, będą mogli zobaczyć całą wystawę, nie została do tej pory wyjaśniona.

Mamy nadzieję, że końcowy etap ekspozycji „Polesie, jakiego nie znamy” na Białorusi przyniesie polskim autorom i organizatorom prawdziwe zadowolenie z tego, że ich szczerze dążenie do podzielenia się z nami rezultatami swojej pracy naukowej i wspólne rozważanie losu prawdziwych, odwiecznych, a nie tymczasowych wartości kultury, zostanie zrealizowane, a przed nami – wiele nowych owocnych kontaktów.

Wolha ŁABACZEUSKA

Tłum. Hanna Ciszuk

KONKURS NA SZTUKĘ

Wrocławski Teatr Lalek z okazji 50-lecia swego istnienia wraz z wrocławskim oddziałem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Wydziałem Kultury i Sportu Urzędu Wojewódzkiego i Wydziałem Kultury Urzędu Miejskiego we Wrocławiu ogłaszają

KONKURS OTWARTY

- na sztukę dla dzieci o treści nawiązującej do tematów i motywów baśni, legend, mitów polskich;
- adaptację sceniczną (scenariusz widowiska muzycznego) na podstawie wybranego utworu klasyki polskiej i zagranicznej literatury dla dzieci.

Celem konkursu jest poszerzenie i unowocześnienie repertuaru dramaturgicznego przeznaczonego dla widowni dziecięcej, a także zwrócenie uwagi autorów na atrakcyjny a nie doceniany współcześnie rodzaj twórczości scenicznej. Organizatorzy pragną zainteresować piszących twórczym powrotem do skarbcza rodzimej mitologii i ludowej klechdy, a również do szeroko rozumianej klasyki baśniowej itp., od narracji antycznych poprzez Andersena, braci Grimm po motywy utworów XX wieku. Organizatorzy pragną zwrócić przy tym uwagę na fakt rozmijania się zapotrzebowania współczesnej młodszej publiczności z proponowanym na scenach kanonem sztuk, premiujących styl, można powiedzieć, archaiczny w zetknięciu zwłaszcza z wyobraźnią dziecka kształtowanego od małego na kreskówkach Cartoon Networks i Wieczorynkach. Godny podkreślenia jest też fakt niedostatecznego wykorzystania szerokiej palety środków ekspresji teatru zwanego kiedyś „marionetkowym”, a dziś inspirującego swymi multimedialnymi możliwościami (lalki, maski, pacynki, aktor w żywym planie, muppety, kukły itd.).

Na konkurs należy nadsyłać teksty sztuk lub scenariusze adaptacji pełnospektaklowych w 3 egz. maszynopisu, opatrzone godłem, dołączając w zamkniętej kopercie oznaczonej godłem swoje dane, z dopiskiem „Konkurs” na przesyłce, pod adresem:

Wrocławski Teatr Lalek
Plac Teatralny 4
50-051 Wrocław

Termin nadsyłania prac upływa 15 grudnia br.

Prace oceni jury powołane z grona członków wrocławskiego SPP i pracowników Teatru.

Proponowane nagrody:

I – 5.000,00 zł

II – 3.000,00 zł

dwie III po 1.000,00 zł

dwa wyróżnienia po 500,00 zł

Jury zastrzega sobie prawo do innego podziału sumy nagród.

Najlepsze sztuki będą honorowane i prezentowane na scenie WTL.

POLCUL FOUNDATION

P.O. Box 193, Rose Bay, 2029 AUSTRALIA

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 23.8.1997 r. Dyrekcja Fundacji przyznała dalszych 17 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Maryla ALEKSIEJEW – za pracę z ludźmi chorymi psychicznie, Ks. Andrzej AUGUSTYŃSKI – za pracę z młodzieżą w Krakowie, Adam BŁASZKIEWICZ – za działalność na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej, Zbigniew CHŁAP – za pracę w Stowarzyszeniu „Lekarze Świata”, Zbigniew GAJEWSKI – za działalność na rzecz przyjaźni polsko-serbołużyckiej, Zofia JANKOWSKA – za pracę w Fundacji „SANUS” w Ostródzie, Zbigniew MACIEJEWSKI – za działalność na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej, Włodzimierz MOKRY – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej, Fiodor NIUNKO – za działalność na rzecz współpracy polsko-białorusko-litewskiej, Janusz PLAPIS – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej, Aleksander SOKOŁOWSKI – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej, Selim SZAKIR – za propagowanie kultury polskiej wśród Tatarów Krymskich, Magdalena TYSZKIEWICZ – za pracę na rzecz pacjentów psychiatrycznych, Barbara WĄSOWICZ – za pracę z młodzieżą upośledzoną w Krakowie, Maciej WĄSOWICZ – za pracę z młodzieżą upośledzoną w Krakowie; Stanisław WIDTMANN – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej, Helena WIĘCKOWSKA – za działalność na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Krakowie,

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania

kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

– Jan HANASZ

ul. Krasieńskiego 57 m.10, TORUŃ, tel. 2–82–06

oraz

– Anna KONDRACKA

ul. Bogusławskiego 20 m.80, WARSZAWA, tel. 663–26–39

lub też zwracając się wprost do:

POLCUL FOUNDATION,

P.O.Box 193,

ROSE BAY, 2029 Australia

tel. (61–2) 9326 2863 fax (61–2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

KOMUNIKAT KOMISJI FUNDACJI STYPENDIALNEJ IM. JANA I SUZANNE BRZĘKOWSKICH

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1998 r. upływa z dniem **28 lutego 1998 r.**

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w **historii Polski**. Chodzi o kandydatów, którym do kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie w pierwszym rzędzie ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Jana i Suzanne Brzękowskich nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Fundacja im. Jana i Suzanne Brzękowskich

Société Historique et Littéraire Polonaise

6, quai d'Orléans

75004 PARIS

Notatki Redaktora

Zwrócenie mi akt Służb Specjalnych dotyczących *Kultury* przez min. Siemiątkowskiego wywołało szereg komentarzy jak np. list otwarty do mnie Zespołu do spr. Reformy Służb Specjalnych Akcji Wyborczej Solidarność i artykuł „Cienka teczka” p. Arkadiusza Siwko, dyrektora gabinetu min. Spraw Wewnętrznych w rządzie Jana Olszewskiego. Muszę wyjaśnić szereg powstałych nieporozumień i nieścisłości. W swoim czasie zwróciłem się do min. Spraw Wewnętrznych Macierewicza z prośbą o udostępnienie mi akt dot. *Kultury* z okresu PRL. Otrzymałem odpowiedź, że akta w dużym stopniu zostały zniszczone, zachowała się jedynie jedna teczka, która nie może mi być udostępniona gdyż jest jeszcze „operatywna”. Minister zapewnił mnie o poleceniu poszukiwań. Gdy min. Siemiątkowski zapowiedział ujawnianie tego rodzaju akt zwróciłem się do niego z analogiczną prośbą. Min. Siemiątkowski posunął swoją uprzejmość tak daleko, że obiecał te akta dostarczyć mi osobiście. Co nastąpiło 11 lipca br. Wizyta była nagłośniona, zawiadomiono telewizję warszawską i prasę. Moim pierwszym pytaniem skierowanym do Ministra było: Czy doręczenie mi tych akt jest rzeczą wyjątkową, zrobioną specjalnie dla mnie, czy też wszyscy zainteresowani będą mogli swoje akta odzyskać. Minister zapewnił mnie, że wszyscy zainteresowani, którzy zwrócą się do UOP, będą mogli się ze swymi aktami zapoznać i że będą im zwrócone wszystkie przedmioty skonfiskowane, z wyjątkiem tych, które uzyskały sankcję sądową przypadku mienia. Zacytował mi również szereg przykładów.

Po zapoznaniu się z doręczonymi mi aktami stwierdziłem, że nie ma w nich nic interesującego, a wręcz przeciwnie wiele dziwnych informacji wyspanych z palca, nie dotyczących ani mnie ani *Kultury* jak np. wymienianie szeregu osób

noszących moje nazwisko, z którymi nie mam żadnego pokrewieństwa i których nie znam. Moje powiązania rodzinne są powszechnie znane i wydaje mi się, że ich ustalenie nie wymagało pracy Służb Specjalnych.

Doręczona mi teczka zawierała ponadto szereg dokumentów znanych od dawna z prasy, jak np. proces Tatarników.

Najzabawniejsze, że opracowanie zaopatrzone nadrukiem „tajne” pt.: „Rozpracowanie emisariuszy paryskiej *Kultury*” nie tylko posiadaliśmy w naszym archiwum, ale ponadto jego fragmenty zamieściliśmy w książce „Anty-Kultura” wydanej w 1992 roku. „Rozpracowanie” ma około 200 stron – dostaliśmy tylko 23, reszta miała jakoby zaginać.

O tych wszystkich sprawach napisałem do min. Siemiatkowskiego wyrażając przypuszczenie, że podległe mu Służby wprowadziły go w błąd dostarczając tego rodzaju „akta” i zasugerowałem, że ci ludzie winni być nie tylko zwolnieni ze swoich posad, ale w ogóle ze służby państwowej.

W tej sytuacji zrezygnowałem z dalszych poszukiwań moich „teczek”.

Moim zdaniem powinna być dokonana radykalna operacja – usunięcia wszystkich pracowników Służb Specjalnych i odbudowanie ich na nowych zasadach, powierzając ich zorganizowanie fachowcom. Przykładem jest chyba najlepszy z wywiadów światowych, wywiad izraelski Mossad, kierowany przez wybitnego biznesmana.

Chciałbym jeszcze jedną rzecz sprostować, tj. informację p. Siwka w jego artykule pt. „Cienka teczka”: Nigdy nie atakowałem ani min. Macierewicza ani premiera Olszewskiego z powodu nie dostarczenia mi dokumentów dot. *Kultury*, a jeżeli pisałem o nich krytycznie to jedynie w związku z ich działalnością polityczną, niezwiązaną ze sprawą moich „teczek”.

Katastrofa powodziowa ujawniła szereg niedociągnięć. Okazało się, że nie tylko rząd nie był przygotowany do walki z żywiołem ale że zemściła się zbytnia centralizacja i brak odpowiednich kompetencji władz samorządowych. Nie zdało również egzaminu wojsko ani sprzęt, którym dysponowało.

Poszczególni ministrowie wydawali oświadczenia grzeszące optymizmem, które nie pokrywały się z rzeczywistością i powodowały jedynie irytację społeczeństwa. Jednocześnie katastrofa ujawniła szereg ludzi czy instytucji, które z miejsca, nie oglądając się na żadne zarządzenia rozpoczęły swoją działalność. Ofiarność społeczeństwa była ogromna ale niestety rozstrzelona. Praktycznie biorąc wszystkie instytucje zbierały pieniądze i już z pierwszych obliczeń widać było że są to ogromne sumy.

Pomoc Zachodu a więc instytucji międzynarodowych i poszczególnych państw – nie mówiąc o społeczeństwach – też była ogromna. Wszystko to wymaga skoordynowania i ustalenia planu działania. Idzie przecież nie tylko o usunięcie skutków powodzi, ale również o odpowiednie inwestycje. Paradoksalnie ta klęska mogłaby być początkiem wielkiego ożywienia gospodarczego kraju i przeprowadzenia inwestycji, na które zawsze brakowało pieniędzy. Chociażby sprawa budownictwa mieszkaniowego, która jest jedną z najbardziej palących. Trzeba, żeby to budownictwo nie było prowizorką, ale rzeczą trwałą. Taki plan rekonstrukcji i inwestycji powinien być zrobiony jak najszybciej przez kompetentnych fachowców. Powierzenie poszczególnych inwestycji firmom, które należy wybierać na podstawie konkursów i przetargów – powinno być przeprowadzone pod bardzo ścisłą kontrolą. Do takiej pracy winny być zaproszone nie tylko firmy krajowe, ale także zagraniczne, które mają większe kompetencje i doświadczenia. Inaczej będzie to seria afer, w których od dłuższego czasu Polska się specjalizuje.

Trzeba przede wszystkim obliczyć wszystkie zbiórki i skontrolować na co pieniądze były wydane. W każdym razie by uniknąć zmarnowania pieniędzy, najważniejszą rzeczą jest ustalenie planu odbudowy kraju, ustalenie priorytetów i powierzenie tej działalności konkretnemu człowiekowi niezależnie od jego poglądów politycznych a jedynie ze względu na jego kompetencje. Utworzenie bowiem jakiegoś ciała, jakiejś nowej instytucji według klucza parlamentarno-partyjnego spowoduje jedynie, nie wyjście z kryzysu, ale jego pogłębienie.

Osobiście widziałbym na tym stanowisku profesora Balcerowicza.

Właśnie dziś, 25-go sierpnia, kiedy piszę te „Notatki”, otrzymałem wiadomość z Wrocławia, że po opadnięciu wód dosłownie nic się nie robi. Nie wiadomo, co robić z workami z piaskiem etc. Natomiast nie brakuje „stawiania koni przed wozem”, np. ogłoszenie zbiorów książek dla uzupełnienia zniszczonych zbiorów bibliotek, nie myśląc że w pierwszym rządzie należy lokale biblioteczne doprowadzić do porządku, zainstalować nowy sprzęt na miejsce zniszczonego. Poza tym, jeśli mowa jest o bibliotekach, to w pierwszym rządzie należy odbudować biblioteczki wiejskie wraz ze szkołami.

Do spraw priorytetowych należy również reforma samorządowa, nad którą od lat toczą się jałowe dyskusje.

15-go sierpnia obchodzono uroczyste Dzień Wojska Polskiego i rocznicę wojny bolszewickiej 1920 r. Szkoda, że w tych obchodach zapomniano zaznaczyć wysiłek sprzymierzonych wojsk ukraińskich atamana Petlury, które m.in. przyczyniły się do zahamowania ofensywy Budionnego.

W walkach przeciwko nacierającej armii bolszewickiej odznaczyła się szczególnie 6. Dywizja Strzelców Siczowych – niekiedy nazywana również „Żelazną Dywizją” – pod dowództwem generała Marka Bezruczka. Był to doświadczony oficer frontowy, pochodzący z Chersonszczyzny na południu Ukrainy. W 1914 roku ukończył Akademię Sztabu Generalnego w Petersburgu. W armii ukraińskiej objął stanowisko dowódcy departamentu operacyjnego w Sztabie Generalnym. W 1920 roku objął dowództwo nad Korpusem Siczowych Strzelców; w pogoni za uciekającymi bolszewikami kierował Środkową Grupą Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, która rozgromiła Pierwszą Armię Konną Budionnego i doszła do linii rzeki Murachwa. Przedtem dowodził obroną Zamościa.

Za te zasługi Petlura mianował generała Bezruczkę ministrem spraw wojskowych. Piastował to stanowisko do czasu rozwiązania i internowania armii ukraińskiej w Polsce.

Mieszkał w Warszawie, kierując do 1939 roku pracą Ukraińskiego Wojskowego Towarzystwa Historycznego. Zmarł w 1944 roku w wieku 61 lat.

Bieżące kłopoty nie zwalniają rządu od normalnej pracy i informowania społeczeństwa. Co dzieje się ze Stoczną Gdańską? Tak rozreklamowane w swoim czasie, jak wyglądają oferty p. Solorza czy ks. Rydyzka?

W związku z artykułem p. Piotra Skórzyńskiego na temat tzw. „fali”, w którym zarzucił on, że władze, a m.in. rzecznik praw obywatelskich, nie zajmują się wystarczająco tym groźnym zjawiskiem, p. Stanisław Wileński, pełnomocnik rzecznika praw obywatelskich, przysłał sprostowanie, że nie odpowiada to prawdzie, gdyż ta sprawa jest przedstawiana w sprawozdaniach rzecznika przedkładanych regularnie sejmowi. Sądzę, że zjawisko „fali”, które niepokojąco rozszerza się nie tylko w wojsku ale i w szkołach, wymaga bardziej skutecznej walki, chociażby wyciągnięcia jej z kompetencji sądów wojskowych i przekazania sądom cywilnym oraz zwrócenia uwagi na niewystarczającą działalność duszpasterstwa wojskowego, które powinno zająć się tym w pierwszym rządzie, zamiast poświęcać uwagę sprawom politycznym lub organizacji pielgrzymek.

Od dawna poruszamy sprawę biskupa polowego Sławoja Leszka Głódzia, domagając się przeniesienia go w stan spoczynku i reorganizacji ordynariatu polowego, w którym panuje niestychany bałagan. Duszpasterstwo polowe jest nadmiernie rozbudowane, dysponuje 306 etatami, z których 123 sprawują żołnierze zawodowi, w tym 2 generałów, 9 pułkowników i podpułkowników, 11 majorów, 80 kapitanów, 2 poruczników i 20 podporuczników. Ponadto w parafiach wojskowych zatrudnionych jest 59 cywilnych kapelanów

pomocniczych. Trzeba ten nadmiernie rozbudowany aparat doprowadzić do normalnych rozmiarów, ujednoczyć stopnie wojskowe kapelanów i wzmocnić nadzór ministra Obrony Narodowej, który w tej dziedzinie nie przejawia specjalnej aktywności. Czyżby w obawie przed konfliktami z władzami kościelnymi?

W Polsce przystąpiono do realizacji filmu opartego na „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza. Koszt tego filmu jest ogromny, a jednocześnie rozpętano kampanię reklamową. Nie wydaje mi się by ten pomysł był szczęśliwy. „Ogniem i mieczem” było w swoim czasie sfilmowane, a nie ulega wątpliwości, że ukazanie się nowej wersji tego filmu spowoduje niepotrzebne zadrażnienia z Ukraińcami. Wyobrażam sobie, jaka byłaby reakcja w Polsce, gdyby Ukraińcy przystąpili do sfilmowania „Tarasa Bulby” Gogola. W obecnej sytuacji geopolitycznej takie posunięcie jest niezmiernie szkodliwe. Rozumiem, że bardzo kuszące jest zarobienie wielkich pieniędzy, ale można by szukać innych tematów atrakcyjnych finansowo a przy tym nieszkodliwych politycznie.

Jednocześnie wybuchła zenująca afera w Toruniu z usunięciem pomnika wdzięczności armii sowieckiej. Posunięcie to doprowadziło do wspólnego protestu nie tylko Rosji, ale i Ukrainy i Białorusi. Czyż nie można zrozumieć, że ci żołnierze ginęli w wojnie z Niemcami i, mimo koszmaru sowieckiego i PRL-u, zasługują na szacunek. W pewnym sensie żołnierze ci ginęli również za nas. Rada Miejska Torunia, która tę decyzję podjęła w marcu br., może nie zdawała sobie sprawy ze swego postępowania, ale niezrozumiała jest brak reakcji zarówno ze strony rządu jak i czynników społecznych. Coraz bardziej jest widoczny brak polityki wschodniej i robimy wszystko by zadrażniać stosunki z naszymi sąsiadami. Drobną ilustracją jest chociażby reakcja na gest rządu rosyjskiego, który zaproponował pomoc ofiarom powodzi. Te gesty zrobiły chyba kraje całego świata.

W znakomitej większości była to pomoc bardzo duża. Możliwe, że ze strony rosyjskiej był to gest czyto formalny, ale w każdym razie należało za taką propozycję podziękować, a nie odpowiedzieć, że dajemy sobie sami radę i żadna pomoc nie jest potrzebna. Głupia arogancja.

Dowiedziałem się ostatnio, że archiwa o. Bocheńskiego, wybitnego filozofa, logika i sowietologa, znalazły się w gestii polskich dominikanów. Prowincjał tego zakonu natychmiast po przejściu archiwów podjął decyzję o zamknięciu ich dla badań naukowych na 50 lat. Jest to chyba pierwszy wypadek w Europie zamknięcia w całości spuścizny naukowej wybitnego filozofa. Archiwum, obejmujące ok. 45 tysięcy stron rękopisów, maszynopisów, różnych dokumentów i korespondencji, było podzielone na kilka działów. Dział pierwszy obejmował dokumenty osobiste ułożone w kilku segregatorach oraz specjalnych tekach biurowych. Dział drugi to ponad 20 albumów ze zdjęciami oraz szereg dokumentów rodzinnych. Kolejny dział to ogromna korespondencja posegregowana w 20 grup. Oddzielnie ułożone były dzienniki o. Bocheńskiego, w tym także jego relacje i zapiski lotnicze. Kolejna część archiwów to rękopisy i skrypty do wykładów uniwersyteckich (łącznie ponad 60 oprawionych i skatalogowanych tomów). Inny dział archiwaliów stanowią rękopisy różnych prac, odczytów, studiów itp. nie opublikowanych dotychczas, a ułożonych w trzy grupy: prace polskie, logicalia i marxistica – również kilkadziesiąt tomów. Ostatnim zaś działem archiwum były opera omnia o. Bocheńskiego, czyli wszystkie publikacje od najwcześniejszych z lat 30-tych aż do ostatnich artykułów. Należy mieć nadzieję, że decyzja Ojca Prowincjała zostanie zmieniona i archiwa zostaną udostępnione.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Prezydent Władysław Raczkiewicz

6-go czerwca br. minęło 50 lat od zgonu śp. Prezydenta Raczkiewicza. Władysław Raczkiewicz urodził się na Kaukazie. Studiował prawo na uniwersytetach w Petersburgu i w Dorpacie. Po ukończeniu studiów zamieszkał w Mińsku i pracował jako adwokat. W 1917 r. był współtwórcą i prezesem Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego (Naczpól). Po odzyskaniu niepodległości Władysław Raczkiewicz był kilkakrotnie ministrem spraw wewnętrznych oraz wojewodą (nowogródzkim, wileńskim, krakowskim, pomorskim). W 1930 r. został marszałkiem senatu, a od 1934 r. był prezesem Światowego Związku Polaków Zagranicą. Po klęsce wrześniowej prezydent Ignacy Mościcki na podstawie 24 artykułu Konstytucji mianował go prezydentem RP. Funkcję tę sprawował we Francji (1939-1940), a potem w Anglii. Dnia 6-go czerwca 1947 r. zmarł po ciężkiej chorobie w Ruthin (północna Walia) i został pochowany na cmentarzu polskich lotników w Newark.

Po śmierci prezydenta Marian Hemar przesłał na ręce wdowy Jadwigi swój wiersz, który – zdaje się – do tej pory nie był nigdzie publikowany. W 50-tą rocznicę śmierci rodzina zdecydowała się na ogłoszenie tego utworu.

Pierwszy zginął od kuli bratobójczej. Drugi,
W dobie klęski zdał urząd, grzechy i zaślugi.
Trzeciemu na obczyźnie śmierć zamknęła oczy
Chorobą, co nas wszystkich jednakowo toczy,
Gdy wygnañcom – od ziemi swej i od plemienia
Oddartym – krew serdeczną w wodę w żyłach zmienia.

Tu, na tej obcej ziemi, król go kiedyś witał,
Dłonie ścisnął przyjaźnie i o zdrowie pytał
I w oczy patrzył mile onieśmielonemu
I ziemię tę otworzył – jemu, i wszystkiemu,
Czego przybysz był częstką drobną, i zarazem
Symbolem nieśmiertelnym i wielkim nakazem:

Na ręce tego pana złożonej przysiędze,
Którą się wierne serce obcego żołnierza
Oddało pod komendę brytyjskiej potędze,
By wypełnić i słowo i ducha przymierza.

Pięknej chorągwi, której przybysz był piastunem,
Którą w dłoni unosił, wolną, choć tułaczą.
Gdy burza czarne niebo rozedrze piorunem –
Niech w Londynie wiejąca, z Warszawy zobaczą.

Więc król tej obcej ziemi powitał to wszystko,
Witając pana, który trudne miał nazwisko,
Twarz bladą, oczy smutne, uśmiech bardzo miły
I urząd ciężki bardzo. Ponad ludzkie siły.

Tu, na tej obcej ziemi, w pewne piękne rano,
W pięknej darni zielonej czarny dół wybrano.
Wzięła ziemia w gościnę wieczną, bezpowrotną,
Umarłego człowieka i trumnę samotną.

A kiedy pozwolono, żeby nad mogiłą
Stała garść żołnierzy na baczność – bo przecie
Nie wszystko można zmasać z historii na świecie,
Nie o wszystkim powiedzieć można, że nie było –
choćbyś wszystkie wspomnienia jak upiory przegnał,
Lecz król go tutaj witał.

Więc go król pożegnał.

Nie odmówił gościowi ostatniego prawa:
Garść żołnierzy żałobnym sprzężyła się gestem.

Przeciw temu gestowi z gniewem i protestem
Wystąpiła Warszawa – Warszawa – Warszawa –

Żołnierskiego ukłonu nad trumną Polaka
 Pozazdrościł z Warszawy polski rząd najemny.
 A w tem jest taka hańba, w tem jest podłość taka –
 I coś więcej – strach taki. Strach taki nikczemny –

Chociaż się schowali za moskiewskim szańcem
 Nie ma dla nich zbawienia i nie ma ratunku.
 Świat, w końcu, zawsze schyli głowę przed wygnańcem.
 Wszystkiego mu odmówi, ale nie szacunku.

Najsrożej mu dokuczy, skrzywdzi go najbardziej –
 Ale mu się ukłoni. Choćby na ostatku.

A nimi – nawet Moskal na końcu pogardzi.
 A to już dno pogardy, samo dno upadku.

A ty, który się wahasz – a wciąż nie rozumiesz,
 Która Polska prawdziwa? Która Polska prawa?
 Tam patrzysz i tu patrzysz – i wybrać nie umiesz,
 Co żal a co nadzieja, co sen a co jawa?

Wśród wątpliwości zmiennych i w tęsknocie płynnej –
 Ogarnij prawdę sercem i myślą rozumną:

Polska jest tylko jedna. Ta, co nad tą trumną
 Schyliła głowę z żalem. Nie ma Polski innej.

Londyn, lipiec 1947

Marian HEMAR

Wspomnienie o Leo Lipskim

Trudno pisać o pisarzu, o którym materiały dopiero właściwie zaczęłam zbierać. Jego wieloletnie przykucie do łóżka dawało poczucie pewności, że zawsze i w tym samym miejscu będę go mogła zastać, że tak łatwo jest dostępny w domu, gdzie zawsze miło i życzliwie jestem przyjmowana. Tymczasem nic przecież nie było tu łatwe, a zwłaszcza samo porozumienie. Pisarz praktycznie był niemy. Paraliż, który go dotknął w wieku dwudziestu kilku lat, zaatakował również mowę i w ostatnim okresie zrozumieć go mógł tylko ktoś przyzwyczajony. Sprzeczność między unieruchomieniem i bezradnością autora a niespotykaną siłą i ekspresją jego dzieła była dla mnie dodatkowym źródłem fascynacji. I zmarł tak nagle: od wiadomości, że zachorował na zapalenie płuc do chwili, kiedy zobaczyłam jego śmiertelnie poszarzałą twarz minęły niespełna 24 godziny.

W 1991 roku zamówiono u mnie wywiad z Leo Lipskim, autorem, o którym nic do tej pory nie słyszałam. Jechałam właśnie do Izraela i instrukcje zleceniodawcy skierowały mnie do pani Łucji Gliksman, wieloletniej przyjaciółki i opiekunki pisarza, poetki i emerytowanej profesor amerykańskich uniwersytetów. U niej akurat Lipski przebywał i ona też mogła być tłumaczem jego zniekształconej wymowy.

Nie udało mi się przed wyjazdem kupić, wydanego właśnie w Lublinie zbioru „Śmierć i dziewczyna”, zawierającego niemal wszystkie, wydane dotychczas utwory Lipskiego. Na pierwsze spotkanie stawiałam się więc nie najlepiej przygotowana, ale też zupełnie oszołomiona po lekturze krótkiego tomiku opowiadań pt. „Dzień i noc”. Zabierałam się zresztą do czytania niechętnie – tytułowe opowiadanie traktowało o łagrze, a tego tacy jak ja byli funkcjonariusze solidarnościowego podziemia mieli już powyżej uszu. Tymczasem okazało się to przeżyciem usuwającym w cień wszystkie wcześniejsze lektury. Miałam nagle wrażenie, że sama prze-

zywam wszystko, o czym przecież tylko czytałam. Oszło-
mienie było tak silne, że nie byłam w stanie zadawać pytań
– o co tu pytać skoro przyszliliśmy przez to samo piekło i tyle
samo wiemy? Zdołałam wówczas zapytać jedynie o życiorys
pisarza oraz pożyczyć jego następne książki – mini-powieść
„Piotruś”, 200. numer *Kultury* z opowiadaniem „Miastecz-
ko”, będącym właściwie nigdy nie skończoną powieścią oraz
tom „Śmierć i dziewczyna”.

Atmosferę dziwnej przygody, jaka towarzyszyła temu
pierwszemu spotkaniu, wzmagał wygląd mieszkania, parte-
rowego, ale jakby piwnicznego, gdzie z każdego lichutkiego
mebla osypywały się książki, ściany oblażyły z farby i tynku,
migotał nieustannie czarno-biały „zaśnieżony” ekran zabyt-
kowego telewizora, ale herbata z ciastem była podana przez
gospodynię z najwyższym wykwintem.

Z całego, nagrywanego przeze mnie spotkania udało się
później wybrać do reportażu radiowego zaledwie 5 zdań,
które Lipski wymówił wyraźnie i zrozumiale. Wówczas to
zresztą widziałam go po raz ostatni siedzącego w fotelu. Po
kilku dniach nie czułam się już na tyle dobrze, by wstać z łóżka.
W trakcie następnego krótkiego spotkania zdołałam go wy-
pytać o ulubione lektury, po czym trzeba było przerwać
rozmowę, gdyż nie miał siły na jej kontynuowanie. Wszystkie
kolejne wizyty w Alejach Chen, w mieszkaniu pani Łucji,
gdzie w ostatnich latach Lipski stale przebywał, polegały na
rozmowach z gospodynią, którym Lipski często przysłuchiwał
się przez rozsunięte drzwi drugiego pokoju. Czasem dobiegał
zza nich przeciągły okrzyk: „Łuuuuucjaa! Łuuuuucja!”, kiedy
chciał coś sprostować lub prosić panią Łucję o zadanie mi
jakiegoś pytania. Pytania były techniczne i dotyczyły różnych
moich posunięć związanych z wydawaniem jego książki, dzia-
łań promocyjnych, czy organizacji seminarium poświęconego
jego twórczości na uniwersytecie telawiwskim.

Jego kontakt ze światem od wielu już lat nie był bez-
pośredni. Bezpośrednio stykał się tylko z książkami. Ale jeśli
przyjąć, że lektura nie jest wyłącznie procesem przebiegania
wzrokiem tekstu, lecz także dyskusją z innymi, o tym co się
przeczytało, a Lipski miał tylko jedną dyskusantkę do
dyspozycji, to być może i czytanie należało u niego do sfery
świata zapośredniczonego i przefiltrowanego przez czyjąś

świadomość. I to świadomość bynajmniej nie obojętną, ale
przez wyrazistą, twórczą i silną osobowość pani Łucji
Gliksman, która wprawdzie jako jedna z pierwszych doceniła
literacką wybitność i oryginalność Lipskiego, ma jednak swoje
własne gusty, kryteria i w swojej własnej twórczości nie jest
bynajmniej pod wpływem Lipskiego.

Coraz trudniej spotkać ludzi, którzy pamiętają Lipskiego
z dawnych czasów, kiedy chodził z laską po mieście, prze-
siadywał w telawiwskich kawiarniach, godzinami rozmawiał z
przyjaciółmi, pił wódkę. Większość poumierła, z innymi
kontakty się pozrywały, ci, którzy mieszkają za granicą za-
chowali jedynie kontakt listowny i telefoniczny. Podczas
częstych dość wizyt u niego i pani Łucji nie spotkałam
nikogo. Może myśleli, że nie jest mu to potrzebne? A może
tak trudno patrzeć na cudze nieszczęście, które na odległość
tym bardziej deprymuje i przestrasza, choć z bliska wydaje się
łatwiejsze do oswojenia? Ale być może to ja właśnie zbyt
łatwo do tego nieszczęścia przywykłam? Lipski tak dobrze wy-
dawał się znosić swoją sytuację, przychodzących zawsze nie-
mal witał przez otwarte do przedpokoju drzwi pogodnym wy-
razem odwróconej na chwilę od książki, zadziwiając młodej
twarzy i skinięciem ręki. Rzadko miało się wrażenie, że cier-
piał. Choć zdarzało się, że spoza zasuniętych wówczas drzwi
dobiały jęki bólu. Tak było kilka miesięcy temu, gdy zła-
mał sparaliżowaną rękę. Ale najczęściej mogłam go widzieć z
drugiego pokoju, kiedy czytał i co jakiś czas, może zmęczony,
gasił sobie światło, by po paru minutach znowu je zapalić
i sięgać po książkę.

Nigdy nie przestało mnie niepokoić zestawienie zakoń-
czenia, pisanego w latach pięćdziesiątych „Piotrusia” z póź-
niejszym życiem autora. Tkwił w tym dramat i zagadka,
której bałam się dotknąć choćby myślą. Ale też obraz czło-
wieka „zamurowanego we własnym cieple”, a jednak piszącego,
prowokował do refleksji nad źródłami niezwykłego stylu tego
pisarza. Wyobrażam sobie, głównie na podstawie lektury jego
wczesnej powieści „Niespokojni”, do której miałam dostęp w
rękopisie, że stan fizyczny Lipskiego wyostrzył i skondensował
jego późniejszy styl. W porównaniu z dojrzałą twórczością, ta
pierwsza powieść, zawierająca w sobie wiele piękna, wydaje
się zarazem lekko przegadana.

Po sześciu latach takiej osobliwej znajomości nie mam pojęcia jakim był naprawdę. Można próbować rekonstrukcji na podstawie wspomnień, niezwykle listów najbliższego przyjaciela, nieżyjącego już muzyka, Jana Holcmana, do jakich miałam dostęp (nie było ich wprawdzie wiele, ale materiału dostarczają dość obficie, jeden list do Leo Lipskiego liczy sobie bowiem ok. 600 stron znormalizowanego maszynopisu, zaś inny, do Józefa Czapskiego, zawierający także kilka cytatów z listów samego Lipskiego, ma takich stron blisko 300), listów do niego i o nim, a przede wszystkim na podstawie opowieści pani Łucji.

Z listów można wnosić, że wobec przyjaciół bywał wymagający, że nie ułatwiał im i tak nieprostego zadania pomagania mu. Jeśli czegoś potrzebował, a były to, trzeba przyznać, potrzeby dość elementarne, nie miał zrozumienia dla trudności, z jakimi jego przyjaciele będą się musieli borykać realizując zamówienie. Pani Łucja utrzymuje, że nigdy nie zależało mu na sławie ani publikacjach. Z listów można wnosić, że w pewnym momencie liczył bardzo na opublikowanie swoich tekstów i zdobycie w ten sposób pieniędzy na leczenie. Pisał w tej sprawie do Iwaszkiewicza, a Holcman rozmawiał w Nowym Jorku z Józefem Wittlinem. Nic wtedy z tych planów nie wyszło i w dalszym ciągu był skazany na finansową i rzeczową pomoc bliższych i dalszych znajomych.

Przyszły biograf Lipskiego stanie przed zadaniem pasjonującym, a zarazem niezwykle trudnym. Nie powinna go jednak zniechęcić pozorna monotonia tego życiorysu, przez pół wieku naznaczonego chorobą. Historia życia Leo Lipskiego jest zarazem skondensowaniem dwudziestowiecznych doświadczeń, którym to doświadczeniom pisarz zdołał dać równie skondensowany wyraz. Kiedyś wydawało mi się, że powiedział wszystko, więc nie ma co się zżymać na szczupłość tego dorobku. Teraz, w obliczu jego niespodziewanej śmierci, śmierci, z którą ciągle jeszcze nie mogę się pogodzić, ale także po ponownej lekturze tego, co napisał, myślę, że miał nam jeszcze wiele do powiedzenia. To zaś iście beckettowskie niedopowiedzenie – dzieło przypadkowego nieszczęścia – urasta w tragiczny symbol, który sam w sobie jest dziełem sztuki.

Agnieszka MACIEJOWSKA

Książki

„Wyszalnia”

O „DZIENNIKACH” STEFANA KISIELEWSKIEGO

„Dał w końcu w swej książce jakiś rodzimy obraz – tyle że i rodzimego smrodu wcale a wcale nie poskapał.” („Dzienniki”, 7. 12. 1970, à propos wspomnień Jana Dobraczyńskiego).

Pośmiertne wydanie „Dzienników”* Stefana Kisielewskiego (1911-91) prowadzonych przezeń dość systematycznie w latach 1968-78 i uzupełnionych krótkimi zapiskami w latach 1978-82 zostało przyjęte w Polsce z tzw. mieszanymi uczuciami, czyli naprzemian (a nawet równocześnie) z zaciekawieniem, oburzeniem, rozczarowaniem, *Schadenfreude*, urazą, rozbawieniem i znudzeniem. Nie wpłynęło to na fakt, że dwa szybko po sobie następujące wydania zostały rozchwywane jak przysłowiowe za czasów PRL-u cytryny. Książka zresztą istotnie zawiera zarówno kwasy (mnóstwo!) jak i witaminy, a ocena tego co w niej jest czym, w dużym stopniu zależy od dystansu dzielącego poszczególne kategorie czytelników od epicentrum wybuchów złego humoru Kisielea. Rządzi ogólna zasada „im bliżej, tym kwaśniej”, a więc większość osób bezpośrednio w dziele opisanych (w sumie ok. 1500 nazwisk!) zdecydowanie nie ma powodów do entuzjazmu. Niepoehlebne epitety (por. np. str. 739: „...zawistny grafoman, idiota kompletny, do tego cham...”) padają gęsto i we wszystkich kierunkach. W następnej kolejności idą charakterystyki zbiorowe wg różnych kryteriów: politycznych („komuchy”

* Stefan Kisielewski, „Dzienniki”, Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1996, 952 str., ISBN 83-207-1516-4.

etc.), socjalnych („średnia Polska’ ... ci nowi ludzie z chłopskimi psimi gębami”, narodowościowych („Francuzi, zdezoriorowani egoiści i szkodnicy”; „...zrobił ją [serię telewizyjną ‘Cztery pancerni i pies’] płk Janusz Przymanowski, tzw. ‘Żyd pancerny’ (a Centkiewicz to ‘Żyd polarny)’”; „...Polacy nie mają już odwagi cywilnej (tej zresztą nigdy nie mieli) ani godności...”, zawodowych („muzyka ogłupia, dlatego zawodowi muzycy są takimi...”; „nienawidzę tych [dziennikarskich] pismaków, to najgorsze co Polska ma”) i innych. Autor zresztą zdaje się być swojej postawy świadomy (przynajmniej od czasu od czasu) bo np. dnia 24 lutego 1971 notuje:

„Podobno cechą wszelkich pamiętników jest to, że krytykuje się w nich wszystkich wokół, a wywyższa autora, czyli siebie. Tak dzieje się na przykład w modnych obecnie w Warszawie wojennych pamiętnikach Nałkowskiej. Czy i w tych zapiskach ja wychodzę na świetlaną postać? Hm. Staram się tu mało pisać o sobie, a może to źle, trzeba by zrobić samokrytykę, że staję się coraz bardziej zawistny (nawet w muzyce!), niechętny ludziom, stetryczały, leniwy, nierówny i – co najgorsze – niedobry dla wszystkich, nawet dla własnych dzieci. Do tego obrzydliwieję fizycznie i siódmego marca kończę sześćdziesiąt lat, co samo przez się jest ohydą. Nie bardzo umiem już siebie kochać, zazdroszczę pederastom, którzy to umieją doskonale (...). A co do niniejszego dziennika, to w zasadzie nie traktuje on o mnie, swoich spraw ‘prywatnych’ w nim nie poruszam, nawet o sprawie paryskiej [tzn. o wydawanych tam „Stalińskich”]; MB] nic prawie nie piszę. Wolalbym, żeby ewentualnego czytelnika zainteresował tutaj ‘obraz epoki’, niż obraz autora. Tylko czy można wyzbyć się subiektywizmu?! Łaskawy czytelnik ocenić raczy! Już w samym stylu zawiera się pewno apodyktyczność autora”.

No, istotnie, nie da się zaprzeczyć... Ale nie da się też zaprzeczyć, że zarówno „obraz epoki” jak i mimowolny autoportret autora (to zwłaszcza i przede wszystkim!) są wyraziste, miejscami świetne, a personalne animozje i inwektywy dodają koloru choćby w tym sensie, że „Dzienniki” Kisiela jaskrawo – a więc prowokująco, stymulująco – naruszają hipokrytyczną konwencję polskiego życia intelektualnego polegającą na tym, że „wśród swoich” i na gębę można o wszystkim i wszystkich

mówić jak najgorzej (byle z jadem i „dowcipnie”), ale publicznie – broń Boże, tu już obowiązuje nudnawa „odpowiedzialność za słowo”, „wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu” i w ogóle Sokrates ze św. Franciszkiem pospół. A w tej książce inaczej: z jednej strony istotnie stwarza ona sytuację jak w Tuwimowskim „O wiersz, panie generale, obrazili się kaprale, a także księży z plockiego dotknięci są do żywego...” etc., z drugiej zaś – mimo wszystko dostarcza sporo informacji i zabawy, byle nie traktować jej tak serio, jak uczynił to Marcin Król w chmurnej i nabołej recenzji-deklaracji w *Tygodniku Powszechnym* („Maski rozpaczy”, TP 19.2.97). Jakże tedy określić tę rzecz „jako taką”? Moim zdaniem tak jak to proponuję w tytule niniejszego omówienia, czyli jako wyszalnę.

Twórcą tego terminu jest Stanisław Lem. W jednej ze swoich „kosmicznych” grotesek z dawnych lat opisał planetę, na której wszyscy są zawsze łagodni i odprężeni. Bohater (imieniem Ijon Tichy) tylko raz staje się świadkiem kontrowersji naukowej, w której jeden z uczestników zaczyna tracić cierpliwość, ale szybko przeprosza, wychodzi i po chwili wraca spokojny i uśmiechnięty. „Profesor użył wyszalni” wyjaśnia Ijonowi przewodnik. Cóż to takiego? – a, to takie specjalne pomieszczenia, jak budki telefoniczne, wyściełane w środku i izolowane akustycznie, gdzie każdy kto się zdenerwuje może się swobodnie wyszaleć, okładając wyimaginowanego antagonistę pięściami i obrzucając go obelgami. Bardzo praktyczne...

Tak też trochę zaplanował swoje „Dzienniki” sam Kisielowski zabierając się do ich pisania wiosną 1968 r.; dnia 7 czerwca zapisał: „[mają one] być czymś w rodzaju ‘pamiętników żółciowca’, gdzie wyładowuje się drobne wściekłości, których nie sposób wylać gdzie indziej. Zwłaszcza od czasu wydarzeń marcowych, od kiedy przestano mi puszczać felietony czy cokolwiek [...]”. Innymi słowy „Dzienniki” są wyszalną Kisiela, zaś to, że ich wyściółka i izolacja akustyczna tak spektakularnie puściły wynika stąd, iż autor nie miał możliwości tego surowego materiału wygładzić. Wyraźnie to zamierzał *vide* wzmianka w „Pośłowiu” z sierpnia 1982 r.: „Bruliony są ukryte, trzeba by je przepisać, może trochę poprawić pospieszny styl? Nie widziałem ich dawno, dołączyłem

tylko jeszcze ten szesnasty z kolei. Ciekawym, czy to się kiedyś ukaze? (...) Czy znajdzie pieczołowitego wydawcę, tak jak znalazły go w osobie Grydzewskiego 'Dzienniki' Lechonia? Wobec obecnego pogromu i *debacle'u* – diabli wiedzą!". Teraz już wiemy, że „tak” a więc pozostaje jedynie ewentualna debata, czy forma i moment wydania były „właściwe”. W sensie edytorskim wydawcą książki jest Ludwik B. Grzeniewski (autor wprowadzenia i przypisów), ale w sensie szerszym - tzn. decyzji „jak” i „kiedy” - „Dzienniki” zostały parafowane przez pp. Krystynę Kisielewską-Sławińską i Jerzego Kisielewskiego. W ich krótkiej przedmowie czytamy: „Pomimo pokus i sugestii nie dokonaliśmy w tekście oryginalnym żadnej zmiany, żadnej ingerencji uważając, że byłoby ironią losu, gdyby człowiek, który przez całe życie walczył z wszelkimi formami cenzury [...] został po śmierci oceniany przez swoje dzieci. Oddajemy w ręce Państwa zapis wydarzeń, wrażeń i ocen poczyniony przez naszego Ojca w przekonaniu, że będzie to źródło wiedzy o tamtym czasie. Czy powinniśmy uzasadniać bądź usprawiedliwiać oceny i sądy zawarte w tekście, a które z perspektywy czasu wydać się mogą zbyt surowe? Stefan Kisielewski – Kisiel – bronił się sam, bronił prawa do własnego zdania, do własnych sądów, bronił wreszcie prawa do błędu [...]. Naszym obowiązkiem było udostępnienie Czytelnikom pełnego tekstu”.

Jasno powiedziane i książka jest jaka jest. Mniej jasne jest natomiast, jak się winien do tej jakości ustosunkować recenzent. Ustalić listę „zbyt surowych ocen i błędów”? Byłaby bardzo długa... Bo trudno zgodzić się z takim np. zapiskiem (4.08.71): „...nie wierzę w grupę *Tygodnika*: to jeszcze gorsze od PAX-u – robi tę samą robotę, a udaje coś lepszego. Nieuzasadnione roszczenia – PAX przynajmniej ma odwagę, komunizuje otwarcie, dorabia do tego uzasadnienia, filozofię. A u nas tylko taktyka i obłuda, tudzież własny interes – żeby jeździć za granicę i reprezentować tam 'prawdziwy' polski katolicyzm. Nie lubię ich, choć sam to współtworzyłem”. Nie idzie mi tu o zbędne moralizowanie (w sensie „żyje z nich, a psioczy”), lecz o to, że trudno akceptować zawartą w tym stanowisku sprzeczność pomiędzy sytuacją Kisiela – bardzo odważnego, ale bądź co bądź indywidualnego wolnego strzelca – a sytuacją instytucji, która winna trwać (taki jest właś-

nie sens słowa „instytucja”), bo gdyby ją zlikwidowano, to niewiele by już zostało. Trudno zgodzić się też z masą innych rzeczy. Bardzo zabawnie dziś brzmi np. stałe utyskiwanie autora, że „stary Książę w Paryżu” (*vel* Redaktor *Kultury*) jakoby „nic nie rozumie” i utopijnie liczy na to, że komunizm rozłoży ruchy robotnicze w demoludach a narodowościowe w Związku Sowieckim, gdy tymczasem on, Kisiel, obserwując z bliska młodzież tych stron wie doskonale, iż „żadna polityka nic ich nie obchodzi, żadna wolność czy demokracja – nie wiedzą, co to znaczy, stan 'zastany' jest dla niej święty. Ale by się zdziwił Książę z Paryża”. W ogóle diagnozy i prognozy także już wówczas niemłodego „Autora w Warszawie” nie były jego mocną stroną. W rok po zacytowanej powyżej uwadze czyli w 1976 musi on już trochę – ale nie za bardzo – odstać od swego pesymizmu:

„Jaki cel tych wszystkich opozycyjnych poczynań [mowa o KOR i drugim obiegu wydawniczym]? Osobiście zakreśliłem sobie 'plan minimum'. Ustroju się nie zmieni, trzeba jednak działać, aby wychowywać zarazem rządzących i rządzonych. (...) Trzeba wychowywać jednych i drugich, pierwszym przypominając, że są tu tylko z łaski Rosji, że nie są właścicielami tylko dzierżawcami, drugim, że nadmierny strach i potulność nic im nie dadzą. A więc działalność pedagogiczno-propagandowa, oczywiście tylko do pewnych granic, aby nie doszło do sowieckich czołgów i drugiej Czechosłowacji. Aby ta działalność pedagogiczna była skuteczna, musi mieć swój instrument informacji – dotąd była nim 'Wolna Europa', teraz zaczynają się tajne biuletyny, czyli 'samizdat' (...). Oczywiście, tacy co to wszystko robią, jak Kuroń czy Lipski, ponoszą koszt, żyją w napięciu nerwowym, nic nie mogą robić dla siebie, na pozór marnują życie. Dlatego ja się trzymam trochę na boku, chcę przecież pisać, no i mam *Tygodnik*, który swą pępowiną łączy mnie z życiem 'normalnym'. Ale i to się skończy – nie wątpię. W końcu wszyscy oberwiemy” (19.11.76).

Tu oczywiście znów nasuwa się łatwa (może zbyt łatwa?) refleksja, że autor nie jest całkiem konsekwentny: tajne biuletyny i „trzymanie się na boku”; tak niesympatyczny mu *Tygodnik* i „pępowina”... No i ten apetyt na działalność pedagogiczną przy wyraźnej – nawet w czasie objętym notat-

kami – słałości wspomnianych już diagnoz i prognoz. A poza tym ta pedagogia ma charakter wyłącznie konserwatywny. Na tle komunistycznego rozkładu wartości cywilizacyjnych konserwatyzm był niewątpliwie zdrowym odruchem, ale hasło *zuruck zu Kant* nie zawsze jest panaceum uniwersalnym. Jakże anachronicznie brzmi choćby następujący zapis (2.3.71):

„Wczoraj obserwowałem młodzież na koncercie Schöffera w Filharmonii – drugi to taki koncert w tym roku po Cage'u. (...) Swoją drogą dziwna jest jakaś szyba między nami a nimi, młodymi – przegroda pokoleń. Młodzież to zresztą miła, tylko pozbawiona przewodników – do czego właściwie ma dążyć, w tym ustroju, gdzie ktoś za nią z góry o wszystkim zdecydował? W dodatku tak strasznie płaczą jej i mieszają w głowie! Wczoraj zrobił to Schöffler – szlag mnie trafił na niego i artystycznie, i 'światopoglądowo'. Utwór 'How' z tekstem zwariowanego amerykańskiego Żyda Allena Ginsberga to ohyda: antyamerykańskie bredzenia narkomana, aktorzy naturalistyczni i rozhisteryzowani jak z Przybyszewskiego, orkiestra 'robi nastrój' hałasując ile się da – w sumie tanizna i łatwizna, bezmyślny ekspresjonizm za wszelką cenę – jakież to przegłupie!”

Może ten fragment jest właśnie kluczem do pytania o co właściwie Kisielowi naprawdę chodziło – tak naprawdę, że może sam sobie tego nie uświadamiał? Myślę, że mimo całej dotkliwości i głupoty komunizmu najostrejszy kolec pobudzający autora „Dzienników” do wypowiedzi i „działań krytycznych” (także wobec przyjaciół) był w swej istocie bardziej egzystencjalny niż polityczny i że był to podświadomy ale dotkliwy żal, że świat nie jest już taki jakim był czy zdawał się być za czasów jego młodości. „Pamięć – element wyobcowania” jak określa w pewnym momencie swą sytuację Roman Zaleski, protagonista i *alter ego* najambitniejszej powieści Kisielewskiego, „Cieni w pieczarze” i formuła ta zdaje się rzucać też światło na omawianą tu książkę a raczej jej niedotworzony, niedopracowany, a więc tym wyrazistszy zrab. To jest zapis uczuć, nie przemyśleń, a dominuje w nim nostalgia za jakimś rajem utraconym. Konserwatyzm autora, jego wręcz zapiekły polonocentryzm („głupi Zachód jak zwykle nic nie rozumie...”), jego zadziorność

i brak tolerancji wobec bliskich skądinąd osób, to w dużym stopniu podświadomy protest przeciw ciągłemu upływowi czasu, procesowi, którego był boleśnie świadom i któremu starał się przeciwstawić „wstrzymując jego ślepy pęd choć na chwilę” (własne sformułowanie we „Wszystko inaczej”) w powieściach i kompozycjach.

Ta ukryta na spodzie Kisielowych „Dzienników” nostalgia ustanawia płaszczyznę porównawczą z dziełem pozornie całkiem odmiennym – „Dziennikami” Lechonia, w których ta sama jakość jawi się otwarcie. Mimo różnicy wieku, sytuacji, temperamentów (no, i słownictwa!) łączy bowiem obu autorów wiele: podobna apodyktyczność, podobne zamurowanie w nieco wymaginowanej idealnej polskości, podobna niezgoda na odmiany czasu. Może to „podobieństwo pomimo odmienności” tłumaczy też, czemu Kisielewski z niezwykłym jak na siebie entuzjazmem zachwyca się lekturą „Dzienników” Lechonia (choć gdyby spotkali się osobiście, to pewnie drzazgi by poleciały!), zaś autor „Srebrnego i czarnego” mimowolnie i *a priori* skreślił w swych zapiskach coś w rodzaju apologii książki Kisielewskiego. Będzie to ostatni cytat w tym i tak już przydługim omówieniu. Otóż Lechoń przytacza w zapisie z dn. 19.4.1950 fragment listu Balzaca do pani Hańskiej, w którym ten zapewnia wybrankę, że wszystkie swe odruchy uczuciowe podporządkuje jej antypatiom i sympatiom i że będzie kochał wszystko co ona kocha, z jednym wyjątkiem: – *excepté ce singe de Liszt!* A oto komentarz Lechonia: „Indywidualność polega na tym również, że można uważać za małpę Liszta, który małpą bynajmniej nie był. I nie wolno się powstrzymywać od tych uczuć, bo one są tylko częścią namiętnego czucia świata, bez którego nie może być sztuki czyli deformacji – idealistycznej lub karykaturalnej. Ale oczywiście wyrażać to można tylko w listach lub tajnych dziennikach, bo ogół nie rozumie co takie wybuchy znaczą i gotów by je brać dosłownie, z krzywdą dla najlepszych, do których mimo wszystko Liszt należał.”

Tak się złożyło, że tajna „wyszalnia” Kisielewskiego przestała być tajna i wprawiła wielu w rozgoryczenie. Różnie można o tej książce myśleć, ale nie sposób zaprzeczyć, że nader wyraziście oddaje niecodzienną indywidualność autora i jego rzeczywiście namiętne „czucie świata”. Już choćby z

tęgo względu dobrze więc, że „Dzienniki” się ukazały – Kisiel był zbyt ważną postacią w polskim życiu, by chować pod kocem taki kęs wiedzy o nim, nawet jeśli nie zawsze jest to „wiedza radosna”. No, a poza wszystkim książka dostarcza też sporo zabawy opartej na prostej acz mało budującej zasadzie, że czytanie o cnotach bliźnich nikomu nie sprawia szczególnej przyjemności, natomiast, hm... *C'est la vie*.

M. BROŃSKI

Literaturoznawczy horror

Adolf Rudnicki przed wojną „jako pisarz przyjęty był dobrze, stał się kimś w literackim świecie”. W „Pamiętniku z Powstania Warszawskiego” Białoszewskiego doświadczenie jest „zapisane chaotycznie, nerwowo, nieporządnie. Jest to przykład literatury ‘żytej’”, Ksawery Pruszyński ma pióro „żwawe”. Żukrowski jest „prozatorem z Bożej łaski”. Poeci okresu wojennego „mówili tak, ponieważ żyli w kotle, więc szykowali mowę, która ich krzepiła szerszym horyzontem”. Bereza, jako student prawa „rozumiał znacznie więcej od przeciętnego śmiertelnika z tego, co się działo przed wojną”, zaś jego powieści: „Nie dadzą się (...) streścić, gdyż nie mają prowadzącego wątku, brak im fabularnych, całkujących ujęć”. Cytat dłuższy: „Rzeczywistość, jak wiadomo, nie znosi próżni, wypełnia się – na zasadzie jakiegoś wewnętrznego ssania – czymkolwiek. Nie ten, to inny znalazł się w polu przyciągania dyrektywnych idei programu kulturalnego lat pięćdziesiątych, próbując pisać pod dyktando teoretyków kultury (sic!), polityków, administratorów życia artystycznego. Do dziś nie jest to zagadnienie rozwiązane, odpowiednio naświetlone. Nie wiadomo w ogóle, czy jest to możliwe i czy w związku z tym kiedykolwiek do niego dojdzie” – to o socrealizmie. A oto uzupełnienie „w tym temacie”: – „teoretycznie głoszono pluralizm estetyczny, praktycznie jednak robiono wszystko, aby zniszczyć wszelkie typy sztuki, która od

tęgo idealnego wzorca odstawała”. Adolf Rudnicki stosował „regułę autentyzmu”: „Żydzi, zresztą nie tylko oni, umierali w tej wojnie tak często i na tyle rozmaitych sposobów, że nie trzeba się było wcale wysilać, aby zaszokować”. Kisielewski buduje paradoksy i oto mamy ocenę: „Ba, ale paradoks jest honorowym wyjściem z każdej sytuacji!”. Uczucia u Buczkowskiego „wydobywają się na zasadzie wulkanicznej lawy”, zaś jego utwory to „po prostu szereg obrazów, w których nie do końca rozumiemy układ poszczególnych elementów i osób”.

Co wówczas robimy? Wówczas zabieramy się do pisania o literaturze powojennej i tworzymy książkę zatytułowaną „Literatura polska 1945-1995”*. W niej zapisujemy takie oto rewelacje o Różewiczu i jego rytmie pisarskim: „Kiedy pauzuje – odzywają się coraz głośniejsi jego naśladowcy, uczniowie, epigoni”. Piszemy o „Poemacie dla dorosłych” tak, jakby nie istniała żadna literatura na ten temat. O literaturze rozrachunkowej piszemy zaś tak, jakby nie było szkicu Burka o zapomnianej literaturze polskiego Października (ale koniecznie w bibliografii umieszczamy tom „Literatura źle obecna”, w którym ten szkic się znajduje). Wymieniamy Nagrody Kościelskich, ale nie wszystkie. Piszemy o poezji Białoszewskiego starając się ani razu nie użyć pojęcia „poezja lingwistyczna”. Piszemy rozdział zatytułowany „Obrachunki powojenne”, w którym nie piszemy o literaturze łagrowej, dzielimy bowiem całą literaturę powojenną na dwie części, ważniejszą, obejmującą „teksty podstawowe” i mniej ważną, obejmującą „teksty uzupełniające” – dla literatury łagrowej znajdujemy nieco miejsca w części drugiej. Opisujemy literaturę lat pięćdziesiątych, nie uwzględniając literatury emigracyjnej tego okresu, by kilka stron dalej poświęcić jej jeden akapit.

Dlaczego tak robimy? Robimy tak dlatego, że jesteśmy, jak głosi informacja o autorze „prof. dr hab. z Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego”, a zatem możemy sobie na to pozwolić. Tym bardziej, że dzieło recenzowali, zapewne pozytywnie, prof. dr hab. Bolesław Faron i doc. dr Janusz Rohoziński. Gdy rzecz już pozytywnie recenzowano, poszukujemy sponsora, dzięki któremu ją wydajemy. Sponsorem jest w tym wypadku Ministerstwo Edukacji Narodowej. I tak oto za pieniądze podatników rzucamy na rynek chłam literaturoznawczy.

* Mieczysław Dąbrowski: „Literatura polska 1945-1995. Główne zjawiska”. Wyd. Trio, Wyższa Szkoła Humanistyczna w Pułtusku, Warszawa 1997, s. 282.

Przyznam, że przystępowałem do lektury książki Miecysława Dąbrowskiego pełen dobrej woli, a nawet wiedziony popędem poznawczym, który wydobywał się ze mnie na zasadzie lawy. Wydałem na nią 33,60 zł, co przy moich uniwersyteckich, acz nie profesorskich poborach stanowi sumę znaczną. Jako człowiek wykładający problemy literatury współczesnej bowiem poszukuję wciąż książki, która mogłaby pełnić rolę podręcznika pozwalającego studentom przygotować się do egzaminu z mojego przedmiotu. Są opracowania poszczególnych problemów, nie ma zbornej panoramy całości. W uczonych skądinąd pracach pojawiają się natomiast jakieś horrory, na skutek których moi studenci zaliczają Gajcego do „pokolenia wojennego”, Rózewicza do „pokolenia ocalonych”, Woroszyłskiego zaś do „pokolenia przyszczatych”, Herberta i Białoszewskiego zaliczają do „pokolenia 56”. Zważywszy, iż wszyscy oni należą do jednej generacji – jest byczo. Liczyłem więc na to, że tym razem wreszcie ukazała się książka miana rzetelnego podręcznika godna. Przybył jeszcze jeden horror. Przy czym uczciwie podkreślam: przeczytałem jedynie trzecią część tego skandalu, którego poziom merytoryczny kwalifikuje autora co najwyżej do szkoły podstawowej, zaś stylistyczny jeszcze niżej. Infantyizm podejmowanych tu „analiz” poraża, zaś rozkoszna paplanina, z której wynika, iż Dąbrowski nie rozumie tego, co czyta – jak choćby w przytoczonym cytacie na temat twórczości Buczkowskiego – obezwładnia. O obrazie literatury powojennej, jaki się z tego wszystkiego wyłania, lepiej milczeć.

Doskonale rozumiem, że w systemie demokratycznym każdy ma prawo pisać i drukować to, co mu jego żwawe pióro na papier wychłapie. Nie mam też pretensji o to, że w taki właśnie sposób ujawnia się publicznie totalny brak profesjonalizmu wybranych pracowników naszego literaturoznawstwa: to nawet dobrze wiedzieć, kto uczy dziś młodzież i kogo powinna ona starannie omijać na swej akademickiej drodze. Na jedno się nie zgadzam. Nie zgadzam się, by takie książki wydawano za moje pieniądze. Byłoby zatem – to już wniosek końcowy niniejszego felietonu – rzeczą rozsądną, by o dotacjach ministerialnych (w wypadku prywatnych niech sponsorzy robią, co chcą – to ich własne pieniądze) decydowali profesjonalści. Nie każdy bowiem tytuł naukowy jest gwarancją naukowego poziomu.

Leszek SZARUGA

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

28.5.97

Towarzystwo Demokratyczno-Społeczne przyznało nagrody i wyróżnienia im. Jana Józefa Lipskiego za prace magisterskie obronione w roku 1996.

Trzy równorzędne nagrody pierwszego stopnia po 1.500 zł otrzymali: Krzysztof Gajda (Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu) za pracę „Poza państwowym monopolem”. Piosenki Jana Krzysztofa Kelusa na tle biografii autora”; Łukasz Kamiński (Uniwersytet Wrocławski) za pracę „Wydarzenia majowe w 1946 r. Geneza – przebieg – konsekwencje”; Sylwia Panek (Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu) za pracę „Spór o postmodernizm”.

Dwie równorzędne nagrody drugiego stopnia po 1.200 zł otrzymali: Paweł Błażewicz (Uniwersytet Wrocławski) za pracę „Wokół dziesięciolatki. Z genezy uchwały o systemie edukacji narodowej z 13 X 1973 r.”; Agata Urbańska-Chałupnik (Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie) za pracę „Motyw kobiety fatalnej przełomu wieków na tle ówczesnego mizoginizmu i tradycji romantycznej”.

Trzy wyróżnienia po 700 zł otrzymali: Izabela Radoń (Uniwersytet Szczeciński) za pracę „Twórczość literacka w getcie warszawskim na tle życia kulturalno-artystycznego i umysłowego”. Dionizy Smoleń (Uniwersytet Warszawski) za pracę „Tłum czy społeczność zorganizowana? Strajkujący w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980”; Anna Zdanowicz (Uniwersytet Warszawski, filia w Białymstoku) za pracę „Motyw ogrodu w literaturze polskiej końca XIX i początku XX wieku”.

Powyższy konkurs jest niewątpliwie swoistym przesłaniem Jana Józefa Lipskiego dla młodszych pokoleń. Apelujemy do Czytelników o wpłaty na ten cel. Numer konta w Banku Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych (BISE) w Warszawie: Towarzystwo Demokratyczno-Społeczne nr 612014-500584-2711-1 z dopiskiem: Fundusz Nagród im. J.J. Lipskiego.

19.6.97

Jeszcze jeden pomnik: przy zbiegu ulic Obozowej i Ostroroga w Warszawie został odsłonięty obelisk Electio Viri, upamiętniający pole elekcyjne na Woli, gdzie szlachta wybierała królów polskich. Pomnik poświęcił prymas Józef Glemp. Niektóre pisma z naciskiem podkreślały, że każdy prymas w Polsce nosi tytuł interrexa – osoby panującej w okresie bezkrólewia.

27.6.97

Puńsk, zwany stolicą polskich Litwinów (80% mieszkańców miasta), obchodzi 400-lecie istnienia. Odsłonięty został pamiątkowy obelisk.

1.7.97

W Mińsku ukazało się pierwsze wydanie „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza, w języku białoruskim w przekładzie Michała Kieński, pracującego w Instytucie Literaturoznawstwa białoruskiego Uniwersytetu Państwowego. Książka została wydana przez oficynę „Asar” w nakładzie 15 tysięcy egzemplarzy.

4.7.97.

W Kijowie wydawnictwo „Libra” wydało w tłumaczeniu na język ukraiński książkę Mieczysława Pruszyńskiego „Dramat Piłsudskiego – wojna 1920”.

10.7.97

Kanclerz Niemiec Helmut Kohl odznaczył Władysława Bartoszewskiego, byłego ministra spraw zagranicznych RP, Wielkim Krzyżem Zasługi z Gwiazdą. Bartoszewski otrzymał to zaszczytne odznaczenie za wkład w porozumienie i pojednanie między narodami polskim i niemieckim oraz za aktywność w budowie nowej Europy.

1.8.97

Ministerstwo Edukacji Narodowej zakwalifikowało jako obowiązkową lekturę szkolną dla ósmych klas szkół podstawowych książkę Andrzeja Kalinina „... i Bóg o nas zapomniał”. Książka ta otrzymała przedtem nagrodę Czesława Miłosza.

10.8.97

Zmarł w Polsce w wieku 79 lat Robert Satanowski. W czasie wojny dowodził własnym niezależnym oddziałem partyzanckim na Wołyniu. Karierę wojskową przerwał w 1949 r. by poświęcić się muzyce. Był światowej sławy dyrygentem.

ZACHÓD

7.6.97

W Schondorf (Bawaria) został odsłonięty pomnik wybitnego polskiego uczonego, filologa, filozofa i znawcy antyku, profesora Tadeusza Zielińskiego. Prof. Zieliński, który mieszkał w Warszawie, wyjechał w połowie września 1939 r., gdyż w wyniku nalotu bombowego został zniszczony jego księgozbiór i rękopisy. Osiedlił się w Schondorf, gdzie mieszkał i pracował jako nauczyciel gimnazjalny jego syn, Feliks. Zmarł 8 maja 1944 r. i został pochowany na miejscowym cmentarzu. Wzniesienie pomnika i odbudowę grobu zainicjowała bawarska Polonia przy poparciu Bawarskiej Akademii Nauk.

18.6.97

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 73 lat redaktor Jerzy Pańciewicz, działacz polityczny i społeczny, dyrektor Instytutu im. Romana

Dmowskiego w Ameryce. ● Zmarł w Kolonii w wieku 85 lat Lew Kopelew, germanista, pisarz, obrońca praw człowieka, laureat pokojowej nagrody księgarzy niemieckich.

27.6.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt Janusza Odrowąż-Pieniążka na temat „Nowe muzeum Adama Mickiewicza w Zaosiu”.

4.7.97

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. Arcybiskup Henryk Muszyński wygłosił odczyt na temat „Znaczenie i aktualność przesłania świętego Wojciecha dla współczesnego człowieka”. Poprzednio, 30-go czerwca, miał miejsce wieczór urodzinowy Czesława Miłosza, w czasie którego jubilat czytał swoje najnowsze wiersze.

5.7.97

Zmarł w Paryżu w wieku 75 lat Jean-Marie Domenach. Redagował znany miesięcznik *Esprit* od 1956 do 1976. ● Stefan Soboniewski zrezygnował z funkcji przewodniczącego Fundacji Kulturalnej i dyrektora *Dziennika Polskiego* i *Tygodnia*. Prezes Soboniewski nadal pozostaje we władzach Fundacji jako doradca zarządu. Zarząd powierzył wyżej wspomniane stanowiska p. Tadeuszowi Walczakowi.

10.7.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt prof. Macieja Grabskiego, członka PAN, prezesa zarządu Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej na temat „Komu służy Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej”.

16.7.97

Zmarł w Kanadzie w wieku 83 lat prof. Zbigniew Fallenbuehl. W czasie wojny brał udział w powstaniu warszawskim, a później był w trzeciej dywizji 2 Korpusu we Włoszech. Wybitny ekonomista, kierownik wydziału ekonomicznego Uniwersytetu Windsor. Był doradcą rządu Gujany do spraw ekonomicznych, ale przede wszystkim interesował się zagadnieniami gospodarczymi Polski i Europy Wschodniej. Współpracował również z *Kulturą*.

28.7.97

W ogłoszonym komunikacie Rady Powierników Polonia Aid Foundation Trust (PAFT) o przyznanych dotacjach, jedna pozycja wzbudza zdziwienie, a mianowicie przyznanie tysiąca funtów artyście plastykowi Mariuszowi Kałdowskiemu jako częściowe honorarium za namalowanie portretów osób zasłużonych na emigracji w akcji niepodległościowej, politycznej, społecznej i artystycznej. Czy nie za wcześnie na tworzenie takiej galerii i czy nie ma ważniejszych wydatków?

4.8.97

Zmarła w Monachium w wieku 87 lat Stanisława z Korolkiewiczów Mikiciukowa, żona znanego działacza polskiego w Niemczech Stanisława Mikiciuka, który był wieloletnim przedstawicielem *Kultury* w tym kraju.

31.8.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się spotkanie z Lechem Wałęsą z okazji 17-tej rocznicy podpisania umowy gdańskiej.

KULTURA

PRENUMERATA NA II PÓŁROCZE 1997:

Cena prenumeraty na II półrocze 1997
(numery 7-12) wynosi 40 zł.

ZESZYTY HISTORYCZNE

PRENUMERATA NA ROK 1997:

Cena prenumeraty za cztery numery (119, 120, 121, 122)
wynosi 50 zł (wraz z przesyłką).

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu
Bank Zachodni SA II O/Warszawa, Nr 11201027-7520-132-3000
z zaznaczeniem: *prenumerata KULTURY* lub *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*

Od numeru 6/97 *Kultura* jest do nabycia
we wszystkich salonach EMPIK na terenie całego kraju.

Archiwalne numery *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*
dostępne są w siedzibie Towarzystwa.



Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, p. 0103
tel./fax 668 35 88, tel. 668 38 00

Listy do Redakcji

20 sierpnia 1997

Szanowny Panie Redaktorze!

Blisko 1/3 Polski zatonała w tegorocznej powodzi. Dziesiątki ludzi straciło życie, dziesiątki tysięcy cały życiowy dorobek, władza – dotychczasowy prestiż, a skutków wtórnych tego kataklizmu nie da się jeszcze obliczyć.

Powodzi towarzyszył zalew wzajemnych oskarżeń, morze atramentu, w którym można by zatopić całą resztę kraju wraz z istotą sprawy. A istota rzeczy polega na tym, że była to klęska ogólnonarodowa, której nie wolno wykorzystywać dla celów partyjnych, ani manipulować nią dla doraźnych politycznych zysków. Żadna retoryka nie jest w stanie zastąpić ogólnonarodowego działania, jeśli chce się stawić czoła coraz bardziej nieobliczalnym kaprysom natury. Że jest to możliwe, dowiedli Holendrzy w konfrontacji z morzem, Japończycy w strefie wstrząsów sejsmicznych i Izraelczycy w walce z pustynią.

Nikt poważny nie może się pocieszać, że była to „powódź stulecia” ani zagwarantować, że nie powtórzy się ona w przyszłym roku. Polska powódź ma wymiar międzynarodowy, a nawet europejski – dotknęła boleśnie trzy sąsiedzkie zaprzyjaźnione kraje, położone w centrum naszego kontynentu. Stwarza to wielką historyczną szansę – bez przesady – na miarę XXI wieku. Polska, Czechy i Niemcy są w stanie wspólnymi siłami opracować i zrealizować koncepcję zagospodarowania dorzecza Odry i Nysy, jednocząc swój potencjał naukowy, techniczny i ludzki, i korzystając ze wsparcia instytucji ogólnoeuropejskich.

Nie trzeba wyjaśniać, jak wielkie byłoby to dokonanie i jak bardzo zbliżyłoby wszystkich jego uczestników. Tej szansy nie wolno nikomu utopić!

Z głębokim szacunkiem

Andrzej ALBRECHT

Warszawa, 7 lipca 1997

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pani Ewa Berberyusz w „Kartkach ze skażonej strefy” (*Kultura* nr 6/97) wspominając swoją bytność na chrzcinach w podwarszawskich Pęcicach (Dwór Polski) napisała tak oto: „Dom jest w gestii wojewody warszawskiego i dobrze, że swoją działalnością pomnaża dochody samorządu. Gdy jednak niegdyś wojewoda wydał tam superbankiet dla tak zwanych prominentów kultury, czyli zaprosił po uważaniu gości na koszt budżetu samorządowego, w

prasie zaszumiało. Wara, za nasze podatki! Hula ten, kto płaci z własnej kieszki. Słusznie”.

Po pierwsze wojewoda to nie samorząd i goście nie jedli (szaszłyków i kielbasek z rusztu) na koszt budżetu samorządowego ani nawet budżetu Urzędu Wojewody tylko – po prawdzie – za pieniądze sponsorów. Po drugie nie był to superbankiet dla tak zwanych prominentów kultury, tylko wieczór poświęcony pamięci Bitwy Warszawskiej (odbył się 17 sierpnia 1993 r.) a zaproszeni goście to Prezydent R.P., korpus dyplomatyczny, członkowie rządu i dopiero potem ludzie kultury. Był to jeszcze okres, kiedy warto było a zwłaszcza członkom korpusu dyplomatycznego przypomnieć jak to uczynił wtedy prof. dr Andrzej Ajnenkiel, „że gdyby nie tamta bitwa i tamto zwycięstwo, totalitarne komunistyczne imperium bolszewików już w latach dwudziestych objęłoby całą Europę i rozciągało się od Atlantyku po cieśninę Beringa”. Natomiast dużym wydarzeniem artystycznym tamtego wieczoru była – pominiawszy piękny koncert pieśni polskich – wykonana przez zespół Warszawskiej Opery Kameralnej Stefana Sutkowskiego „Muzyka na wodzie” i „Muzyka sztucznych ognii” G.G-F. Haendla odegrana na platformie pęćckiego stawu w dodatku istotnie ze sztucznymi ogniami, co w szumiącej prasie uznano niemal za prowokację i szczyt rozrzutności. A że jadącym na spotkanie samochodom (często niezłych marek) przyglądały się miejscowe dzieci, ktoś znany poczuł się źle psychicznie i skojarzyło mu to się zaraz z koszmarnymi czasami sanacji kiedy to, jak opisywał Gombrowicz, stojące pod oknem dworu na biesiadujące państwo patrzyły się dziecka. „Przeciwko komu oni jedli? – pytał Gombrowicz – Przeciwko dzieckom”. Ton wypowiedzi prasowych był właśnie taki, że puszczano sztuczne ognie przeciwko dzieckom. Rozbrajające. Nie taję, że wyraziłem wtedy publicznie odmienne zdanie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Janusz ODRWAŻ-PIENIAŻEK

4 sierpnia 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając relację Mariusza Wilka o pobycie Johna Steinbecka w Rosji Sowieckiej wkrótce po wojnie (*vide* „Zapiski solowieckie V”, *Kultura* nr 7-8, 1997, str. 16-17) przypomniałem sobie wrażenia tego amerykańskiego laureata Nobla (1962 r.) z jego przylotu, w towarzystwie żony Elaine, z Moskwy do Warszawy, 15 listopada 1963 r. „Dla Steinbecków odlot z Moskwy do Warszawy był jak otwarcie drzwi i wyjście na świeże powietrze” – tak to określił Jackson J. Benson, biograf Steinbecka.

Później polscy dysydenci słusznie wyrażali swe żale, mówiąc: „Dlaczego przysyłają do nas ludzi, którzy najpierw byli w Sowietach. *Anything looks free after Moscow, and of course we are not*

free”. John i Elaine Steinbeckowie zwiedzali Warszawę. Pojechali też do Kętrzyna i obejrzeni znadujący się w pobliżu tzw. wilczy szaniec, gdzie była kwatery główna Hitlera, na którego tam właśnie, 20 lipca 1944 r. płk Claus Stauffenberg dokonał nieudanego zamachu.

Steinbeckowie byli też w Krakowie, Wrocławiu i w Łodzi. Po powrocie do Warszawy, 22 listopada, późnym wieczorem, dowiedzieli się o zamordowaniu Prezydenta Kennedy’ego.

John Steinbeck i jego żona pozostali jeszcze kilka dni w Warszawie, w ambasadzie USA, asystując przy książce, do której Polacy wpisywali kondolencje.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Wiesław F. TOPOROWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Prezydium Zarządu Stowarzyszenia Warszawa-Kijów na swym zebraniu w dniu 16 lipca 1997 r. zdecydowało zwrócić się do Pana z prośbą o opublikowanie poniższego tekstu:

„Odnosimy się zdecydowanie krytycznie do projektu nakręcenia filmu na podstawie ‘Ogniem i Mieczem’ H. Sienkiewicza. Powieść ta odegrała swego czasu pozytywną rolę w budzeniu polskiej świadomości narodowej, szczególnie na wsi, oraz uczuć patriotycznych o charakterze militarnym. Z drugiej jednak strony rozbudzała ona uczucia wzajemnej niechęci, a nawet niekiedy i wrogości, u Polaków i Ukraińców. Obecnie, w okresie usilnych starań elit politycznych obu narodów, by znormalizować ich wzajemne stosunki, obalić negatywne stereotypy, przebaczyć krzywdy przeszłości i nawiązać współpracę, film ‘Ogniem i mieczem’, nawet jeśli reżyser stonuje i pominię najbardziej drastyczne sceny, może na nowo rozbudzić wzajemne niechęci, utrwalić uprzedzenia, rozdrapać gojące się powoli rany...; tym samym zaszkośli rozwijającym się powoli dobrym sąsiedzkim stosunkom między obu narodami.

Z tych względów Zarząd Stowarzyszenia Warszawa-Kijów wypowiada się przeciwko ekranizacji powieści ‘Ogniem i Mieczem’”.

Za Zarząd Stowarzyszenia:

Prof. Florian NIEUWAŻNY, red. Antoni SEREDNICKI, prof.
Zbigniew T. WIERZBICKI, mgr Ryszard MILCZAREK

STOWARZYSZENIE
WARSZAWA-KIJÓW
(-) Zbigniew Wierzbicki

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Anna M., Francja – Kolejny raz daje Pani dowód swej wrażliwości i zarazem niedostatków warsztatowych – np. „drobne drobiazgi” to może najbardziej wymowny przykład cechującego Pani próby nadmiaru słów.

Helena W., Polska – Pisze Pani, że „Identyczność jest sama dla siebie Królową, nie dzieli się z nikim ani nie daje nikomu nic ze swego ubioru”. To oczywistość. Lecz może Królowa jest po prostu naga?

Anna W.-O., Norwegia – Wiersze Pani bez wątpienia świadczą o delikatności uczuć, ale poezja nie z samych uczuć powstaje.

Marian K. – Zbyt łatwo kojarzy się Panu przeżycie z przeżuciem oraz „Niebyt” z „Odbytem”. Z wiersza nie skorzystamy.

Monika M., Francja – Wiersze Pani nie pozbawione, przynajmniej niektóre (np. „Czas”), pomysłowości, są zarazem obrazowo niespójne i przegadane. Prosimy za jakiś czas o nowe próby.

Andrzej L., Wrocław – Umiejętność wynajdywania rymów nie zaświadcza talentu poetyckiego, zaś obarczanie bohaterki „wnucznością” to dziwactwo.

Jerzy C., Polska – Ani cykl „Jaskółki”, ani pozostałe wiersze nie przekonują, że mamy do czynienia z poezją oryginalną, lub choćby tylko poruszającą.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^{ème} trimestre 1997.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-rocznia roczna

Ceny na rok 1997

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessastr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5, ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00

Tom 500 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY PIERWSZY

zawiera opracowania: A. Grzywacz: *Wojna obronna Polski 1939 roku w relacji polskiego sztabowca*; K. Bieniecki: *Współpraca SOE z NKWD i Polacy*; T. Wyrwa: *Studium Polski Podziemnej w Londynie*; A. Ziolkowska Boehm: „Złamana strzala”. (Rozmowa z Januszem Żurakowskim, legendarnym „Żurą”, pilotem Bitwy o Anglię i Arrow); R. Socha: *Wszystkie teczki „Bolka”*; *Marszałek Rydz-Śmigły a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Proces Taterników*; *Deklaracja polsko-ukraińska z 1979 r. na tle historycznym Relacja o śmierci Marszałka Piłsudskiego*; *Zaznałam w życiu tyle dobroci. (Z Mychajlyną Kociubynską rozmawiają Bogumiła Berdychowska i Aleksandra Hnatiuk)*; Z T. Wierzbicki: *Antoni Peretiatkowicz 1884-1956*; T. Wyrwa: *Od Napoleona do De Gaulle’a*; E. Halicz: *Problem Niemcy-Polska*; T. Mianowicz: *Oceny i zalecenia: Wizyta Michaila Susłowa w Warszawie w kwietniu 1981 r.*; M. Rudzki: *Winiетки drugiej okupacji i emigracji*; J. Słubicki: *Katedra historii Polski na Kanadyjskim Uniwersytecie* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00